M.B. im. L. W. w Łodzi

- Czym naprawdę jest joga hinduska — str. 4
- Skąd Marek Kotański ma dolary? — str. 7
- Wideonotes dla wideomanów — str. 10
- Betlejem ▽ Jerozolima ▽ Nazaret — str. 12
- „Sodoma" Jacka Krakowskiego — str. 16

Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź
Odgłosy
tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 10 (1510) ROK XXX 7 MARCA 1987 ROKU CENA 25 ZŁ

Dziewczynkom,
dziewczętom,
kobietom
— więcej powodów do uśmiechu
życzą „Odgłosy"

Fotos: Grzegorz Gałasiński

Nie walczę z wiatrakami

Rozmowa z DANIELEM PASSENTEM — zastępcą redaktora naczelnego tygodnika „Polityka"

— Zdecydowana większość czytelników „Polityki" rozpoczyna lekturę tygodnika od pańskiego felietonu. To dowód autentycznej popularności. Ale czy nadmierna popularność — szczególnie felietonisty — nie powoduje, że zaczyna on wierzyć w swoją nieomylność?

— To podstępne pytanie. Mnie się wydaje, że popularności nie należy przeceniać, ale i nie należy też jej się wstydzić. Popularność świadczy o tym, że nie pisze się w próżnię, że ktoś to czyta, że nie jest się dziennikarzem, którego teksty są omijane bądź bez czytania wyrzucane do kosza. Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że człowiekowi przewróci się w głowie i zacznie uważać siebie za nieomylnego. Jednakże na szczęście jest wiele osób i instytucji, które czuwają nad tym, żebym ja nie nabrał takiego przekonania. Przede wszystkim mam na myśli kolegów z „Polityki", którzy czytają moje teksty przed drukiem i poprawiają je oraz inne redakcje, które często ze mną polemizują. Najpierw pokazuję tekst kolegom w redakcji i oni są pierwszymi weryfikatorami, pierwszymi sędziami. Po drugie — jeśli nawet oni ten tekst przepuszczą i przejdzie on również przez cenzurę, to wówczas poglądy moje są weryfikowane przez czytelników. Bo działając na niwie publicznej człowiek takich „towarzyszy walki i pracy" również ma. Oni wychwytują wiele błędów, a nawet dorabiają je, jeśli ktoś ich nie popełnił. Ponieważ sam należę do ludzi, którzy z kolei polemizują z innymi, więc się temu nie dziwię. Uważam, że istnieje pewien mechanizm — nazwijmy to demokracji prasowej — który powoduje, że żaden z nas, a przede wszystkim popularni autorzy, nie jesteśmy wyjęci spod krytyki. Dzięki temu otrzymujemy codziennie w poczcie oraz z innych gazet lekcje skromności i przypomnienie, że to, co piszemy nie zawsze jest mądre, albo że są ludzie o innych poglądach, którzy się z nami nie zgadzają. Następnie czytelnik poprzez konfrontację moich poglądów z poglądami moich krytyków wyrabia sobie własne zdanie. Może niebezpieczeństwo takie — o którym pan mówi — istniałoby, gdyby nie fakt, że wiele jest zabezpieczeń, które przed tym hamują. Na szczęście felietonistów wolno krytykować...

— Ale często występuje pan ex catedra...

— Proszę pana, ja występuję zawsze ex catedra w tym sensie, że moja katedra jest ustawiona na ostatniej stronie „Polityki". To jest jedno. Po drugie: felieton jest taką formą prywatną, w pewnym sensie osobistą, że z samego założenia jest trochę kategoryczny. Nie można bez przerwy czynić zastrzeżeń, wszystkiego wyważać, rozważać, bo wtedy nie byłby to felieton, powiedzmy sobie Kisielewskiego czy Toeplitza, tylko byłby to bardzo wyważony dokument w rodzaju komunikatu z obrad kolegium redakcyjnego, albo jakaś sążnista, długa publicystyka. Każdy, kto występuje z własnymi poglądami, do pewnego stopnia występuje ex catedra.

— Nie bez powodu zadałem powyższe pytanie. W swoich felietonach krytykuje pan na lewo i na prawo z pozycji zdrowego rozsądku człowieka środka. Ale kiedyś powiedział pan, że jedynym pana światopoglądem jest maszyna do pisania. Co zatem jest podstawą ocen, których pan dokonuje? Czy tylko zdrowy rozsądek?

— Musiałbym się bardziej zastanowić nad swoim światopoglądem, nad swoją postawą, bo to jest bardzo obszerne pytanie. Kiedy powiedziałem, że wierzę tylko w maszynę do pisania, to był to rok chyba 1982, okres bardzo ostrej walki politycznej w Polsce, kiedy część ludzi łamała pióra, niektórym odbierano pióra, niektórzy nagle ogłaszali się patriotami, katolikami, prawdziwymi Polakami, podnosili różne sztandary. Wtedy zapytany przez dziennikarkę powiedziałem, że wierzę tylko w maszynę do pisania, mając na myśli to, że moim obowiązkiem jest pisać, że ja nie odkrywam tutaj nagle w sobie ani prawdziwego Polaka, ani prawdziwego komunisty, ani prawdziwego katolika. Ja widzę w sobie prawdziwego dziennikarza, który ma pisać i w miarę możliwości własnych, redakcyjnych, swobód ogólnych i innych, dawać świadectwo temu, co się dzieje, ustosunkowywać się do tego, co się dzieje. I tak faktycznie jest. Zostałem wtedy zarówno w prasie katolickiej jak i w organie betonu, a więc na dwóch różnych skrajnościach, obwołany cynikiem, bezideowcem, który nie ma wyższych ideałów ponad maszynę do pisania. Ja uważam, że maszyna do pisania, jako skrót pewnej postawy dla dziennikarza, to ideał dość ważny. Ponadto być może ja nie mam się za takiego ideowego człowieka jak niektórzy dziennikarze, publicyści czy pisarze, którzy mają temperament polityczny czy temperament wielkich moralistów, co to chcieliby Polskę zbawić, stać na czele jakichś ruchów, organizacji, partii. Ja mam dużo mniejsze ambicje.

Nie będąc człowiekiem papierowym, to znaczy nie rozpatrując wszystkiego przez pryzmat jakiejś ideologii katolickiej, marksistowskiej, burżuazyjnej, ateistycznej, tylko będąc bardziej obywatelem ideologicznie mniej rozbudzonym, o mniejszym temperamencie, mniej zobowiązanym, patrzę na sprawy siłą rzeczy przez pryzmat tego, co możemy nazwać zdrowym rozsądkiem. A właściwie usiłuję patrzeć, bo czy mój rozsądek jest zdrowy, oceniają już czytelnicy. Mój światopogląd został przez coś ukształtowany: przez rodzinę, przez szkoły do których chodziłem, przez kraje w których przebywałem. To w sumie składa się na moją percepcję tego, co się

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Bohdan Gadomski, Jacek Głębski, Witold Kasperkiewicz, Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski, Maciej Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.
Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00 958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 563. H-2.

Przegląd prasy

Bardzo ciekawe dane statystyczne obrazujące aktualny stan zróżnicowania wyznaniowego ludzkości podaje w „ARGUMFNTACH" (nr 9) Zbigniew Stachowski. Powołuje się na dwa źródła zachodnie: „La documentacion catholique" 1986, nr 1930 oraz Instytut Gallupa w Princeton. Z danych tych wynika, że w 1986 roku

GŁÓWNE RELIGIE ŚWIATA

skupiały: chrześcijaństwo — 1 mld 508 mln członków, islam — 837 mln, hinduizm — 667 mln, konfucjanizm — 310 mln, buddyzm — 300 mln, shintoizm — 85 mln, taoizm — 53 mln, judaizm — 18 mln wyznawców. Niewierzących było 825 mln i ateistów 214 mln. W sumie więc niewierzący i ateiści liczyli 1 mld 39 mln osób, czyli stanowili jedną piątą ludności świata.

W skład religii chrześcijańskiej wchodzą trzy główne odłamy: katolicyzm — 887 mln wiernych, protestantyzm — 450 mln i prawosławie — 171 mln. **Najwięcej członków Kościoła rzymskokatolickiego mieszka w obu Amerykach (416 mln). Natomiast w Europie jest 278 mln katolików (40 proc. populacji kontynentu).**

W Kościele rzymskokatolickim obserwuje się zjawiska **kryzysowe. W latach 1973—1985 liczba księży spadła z ponad 433 tys. do 403 480** (w tym **253 319 diecezjalnych i 150 161 zakonnych). Szczególnie katastrofalny spadek odnotowano we Francji. W 1965 roku było tam 34 tys. kapłanów, w 1975 roku — 28 tys., a w 1985 r. już tylko 17 tysięcy. Gdyby tendencja ta utrzymała się, to w roku 2000 Francja nie miałaby żadnego księdza.**

Prefekt watykańskiej Kongregacji Nauki Wiary, kardynał Joseph Ratzinger tak wyobraża sobie przyszłość katolicyzmu: *„Uważam to za pewnik, że przed Kościołem stoją trudne czasy. Właściwy kryzys jeszcze nie nadszedł. Lecz jestem absolutnie pewny tego, co zostanie na końcu: nie Kościół kultu politycznego, jeno Kościół wiary. Zapewne nie będzie Kościół już nigdy taką siłą panującą w społeczeństwie, jaką był dotychczas. Ale zakwitnie na nowo i stanie się dla ludzi widzialną Ojczyzną, dającą im życie i nadzieję sięgającą poza grób".*

Obok artykułu Zbigniewa Stachowskiego wydrukowano na całej stronie mapę świata ukazującą rozmieszczenie wyznawców poszczególnych religii. Jest to przedruk z wydawnictwa: Atlas Hierarchicus, Collegio del Verbo Divino 1975. Na tej podstawie można sporządzić pomoc naukową dla uczących się religioznawstwa.

Pod koniec ubiegłego roku „TYGODNIK WSPÓŁCZESNY — ARGUMENTY" (nr 49) **podał liczebność związków wyznaniowych**

W NASZYM KRAJU.

W grudniu 1985 r. istniało w Polsce 35 Kościołów. Po Kościele rzymskokatolickim najwięcej wiernych miały: Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny — 851 tys. wyznawców, Kościół Ewangelicko-Augsburski — ponad 75 tys. Kościół Polskokatolicki — ponad 48 tys., Starokatolicki Kościół Mariawitów — ponad 24 tys., Zjednoczony Kościół Ewangeliczny — ponad 17 tys. osób.

W przedziale od ponad 1 tys. do 9 tys. członków znalazły się: Kościół Adwentystów Dnia Siódmego, Kościół Chrześcijan Baptystów, Kościół Chrystusowy, Kościół Ewangelicko-Reformowany, Kościół Metodystyczny, Katolicki Kościół Mariawitów, Muzułmański Związek Religijny, Zrzeszenie Wolnych Badaczy Pisma Świętego, Wschodni Kościół Staroobrzędowy, Świecki Ruch Misyjny „Epifania", Związek Religijny Wyznania Mojżeszowego i Kościół Wolnych Chrześcijan.

Od ponad 100 do 1000 wiernych skupiają: Kościół Nowoapostolski, Kościół Chrześcijan Dnia Sobotniego, Związek Adżapa-Jogi, Stowarzyszenie Buddyjskie „Zen Czogie", Protestancka Wspólnota Regionu Bieszczadzkiego, Stowarzyszenie Badaczy Pisma Świętego, Stowarzyszenie Buddyjskie „Zen-Sangha", Stowarzyszenie Zborów Chrześcijan, Karaimski Związek Religijny i Stowarzyszenie Chrześcijan Nauki.

A poniżej 100 wyznawców mają: Jednota Braci Polskich, Kościół Jezusa Chrystusa Świętych Dni Ostatnich (mormoni), Stolica Apostolska w Jezusie Chrystusie, Stowarzyszenie Brahma Kumaris, „Raja-Joga", Stolica Boża i Barankowa oraz Zbór Panmonistyczny. Razem wszystkie religie nierzymskokatolickie liczyły 31 grudnia 1985 roku 1 mln 67 tys. członków. Nie uwzględniono tu jednak Świadków Jehowy (50—100 tys. osób?).

Nie tylko pod względem wyznaniowym jesteśmy społeczeństwem pluralistycznym. Różnorodność poglądów i postaw powinna więc znaleźć odbicie w nadbudowie politycznej. Niektórzy wiążą duże nadzieje z działalnością Rady Konsultacyjnej powołanej przy przewodniczącym Rady Państwa. Jednym z jej członków jest Władysław Siła-Nowicki, z którym interesującą rozmowę dla tygodnika „WPROST" (nr 9) przeprowadzili Piotr Andrzejewski i Krzysztof Gołata.

MECENAS SIŁA-NOWICKI

wyjaśnia, dlaczego udało mu się zachować życie, choć w okresie powojennym skazany był czterokrotnie na karę śmierci. *„Pozostawałem wówczas* — czytamy — *w bardzo serdecznych stosunkach z siostrą Feliksa Dzierżyńskiego, Aldoną Kojałłowiczową, primo voto Bułhakową. Była ona pięknym i szlachetnym człowiekiem, a przy tym tradycyjną «wielką damą». Pomagała wielu ludziom, gdyż liczono się z nią bardzo, jako z nie tylko rodzoną siostrą, ale i najbliższą osobą Feliksa. Uratowała mnie wtedy — zresztą z największym trudem, a jak powiedział mi obrońca, była jedyną osobą, która mogła ocalić mi życie, gdyż wykonanie wyroku zostało przesądzone przez najwyższe, wszechmocne w ówczesnym okresie błędów i wypaczeń, władze bezpieczeństwa".*

Władysław Siła-Nowicki spędził w więzieniu ponad dziewięć lat. Wpłynęło to na jego psychikę i drogę życiową. *„W moim przypadku* — mówi — *duże znaczenie miał też fakt, że w 1957 roku zostałem całkowicie zrehabilitowany. Uznano, że polskie sądy skazując mnie, mimo mojego wcześniejszego ujawnienia się i amnestii, na karę śmierci, wydały wyrok niesłuszny i tragiczny. Skoro więc władza państwowa zdobyła się na tak odważne przyznanie się do błędu, uznałem, że zobowiązuje mnie to, jako prawnika, do zajmowania się podobnymi sprawami. Przez wiele lat uczestniczyłem jako obrońca w procesach sądowych osób oskarżonych o przestępstwa polityczne. W tych okolicznościach poznałem też niektórych późniejszych działaczy «Solidarności». Kiedy ruch ten powstał, włączyłem się szybko w jego działalność. Przez 16 miesięcy służyłem mu swoją radą".*

W drugiej części książki „Czasy nadziei i rozczarowań" — publikowanej w „Odgłosach" — Mieczysław F. Rakowski pisze, że mecenas prezentował rozsądne spojrzenie na rzeczywistość, lecz nie znalazło ono uznania w kierownictwie „Solidarności". Z opinią tą W. Siła-Nowicki zgadza się. Nie ma wątpliwości, że zwłaszcza w ostatnim okresie „Solidarność" popełniała błędy.

Dlaczego zdecydował się obecnie przystąpić do Rady Konsultacyjnej? Jest bowiem przeciwnikiem poglądu, że „im gorzej tym lepiej" i uważa za bezsensowne hasło „wszystko albo nic". Jego zdaniem, bardzo istotne znaczenie dla demokracji miała ustawa amnestyjna z 17 lipca ubiegłego roku, dzięki której zwolniono więźniów politycznych. *„Rada Konsultacyjna ma być krokiem kolejnym* — czytamy — *płaszczyzną dialogu i porozumienia. Będąc zwolennikiem poglądu, że społeczeństwo nie może żyć bez państwa, podobnie jak państwo nie może prawidłowo funkcjonować bez współdziałania ze społeczeństwem, uważałem, że nie mogę a priori odmówić propozycji dialogu, choć oczywiście nie wiem jeszcze, co z tego wyniknie. (...) Siedemdziesiąt procent członków Rady to bezpartyjni, z tym, że muszę tu podkreślić — są to granice płynne. Często bowiem ludzie należący do partii myślą niezależnie, są nierzadko w «opozycji», zaś bezpartyjni należą do establishmentu".*

Mecenas reprezentuje w Radzie tylko siebie, lecz konsultował swój udział z Kościołem. Żałuje bardzo, że nie przyjęli propozycji uczestnictwa: pani Budzanowska, red. Turowicz, red. Wielowieyski i prof. Stomma. *„Nie mogę im niczego zarzucić* — mówi — *na pewno działali oni w myśl własnych przekonań. Muszę też jednak powiedzieć, że wielu ludziom występującym gwałtownie przeciw tym, którzy propozycję przyjęli, skłonny jestem przypisać pewne, zazwyczaj nieświadome, asekuranctwo. Ma ono w naszej rzeczywistości różne postaci — ot, choćby niechęć do ryzykowania własną pozycją, autorytetem. Co do mnie — uważam, że nie można bardziej cenić swojego autorytetu niż interesu społecznego. Sądzę również, że do Rady wejść winno więcej ludzi z kręgu «Solidarności»..."*

MĄDRZY DORADCY

potrzebni są w każdym systemie ekonomicznym i politycznym. Chińczycy i Węgrzy zatrudniają w charakterze konsultantów emerytowanych menedżerów zachodnich. Czy u nas przydaliby się tacy doradcy? Na to pytanie, zadane przez Sławomira Lipińskiego, odpowiada w „ŻYCIU GOSPODARCZYM" (nr 8) dyrektor Wielkopolskich Zakładów Teleelektronicznych „Telkom-Teletra" w Poznaniu, Jan Kołodziejczak. *„Ja już raz miałem podobnego doradcę. W latach siedemdziesiątych wprowadziliśmy w naszej fabryce francuską licencję na elektroniczne centrale telefoniczne w technice cyfrowej. Szef przebywającej u nas ekipy licencjodawcy próbował nam doradzać nie tylko w sprawach technicznych, ale i ekonomiczno-organizacyjnych. Niektóre jego rady budziły, niestety, śmiech, krążyły niemal jako dowcipy. (...) Po prostu myśleliśmy na zupełnie różnych falach. On miał pomysły dostosowane do gospodarki rynkowej, my tkwiliśmy w systemie biurokratycznym. Był to więc z naszej strony raczej śmiech przez łzy. Tym bardziej, że Francuzi sprzedali nam wtedy technologię i dla nich jeszcze nową. Startowaliśmy więc z niewielkim opóźnieniem. Dziś wiemy, że na tej technologii firma francuska zrobiła światową karierę, stała się trzecim producentem na świecie".* My natomiast dobrze opanowaliśmy licencję, lecz stanowczo za mało produkujemy i wysyłamy na eksport.

Nawet najlepsi menedżerowie zachodni niewiele mogą pomóc polskim przedsiębiorstwom, gdyż często funkcjonują one na absurdalnych zasadach. Bywa nawet i tak, że inżynierowie swoimi pomysłami i wynalazkami przyczyniają się do zmniejszenia zysku. Zamiast sukcesu przedsiębiorstwo ponosi finansową porażkę, a inżynierowie frustrują się.

Na zakończenie wywiadu dyrektor J. Kołodziejczak mówi: *„A teraz ludzie pytają, na kogo w zasadzie państwo stawia? Na elektronikę, na nowoczesne technologie, na efektywność czy na społeczny spokój za wszelką cenę? Krótko mówiąc, stwórzmy mechanizm pozwalający osiągnąć sukces efektywnościowy, równoznaczny z sukcesem materialnym. Całym przedsiębiorstwom, grupom ludzi i jednostkom. Dziś bowiem takie sukcesy materialne odnosić mogą jedynie ci, którzy żyją z nieudolności wielkiej gospodarki".* Dyrektor przedsiębiorstwa prosi więc o pozwolenie na sukces.

F. !.

NA WŁASNY RACHUNEK

Głowy smoka

Nie znam się na zarządzaniu i nie potrafię ocenić czy nasz polski system kierowania jakimkolwiek urzędem lub przedsiębiorstwem państwowym jest, jak głosi opinia, skrajnie zbiurokratyzowany, czemu nieraz zaprzeczają przedstawiciele rozmaitych władz i kierownictw, twierdząc, że ciągle im za mało urzędników do wykonywania rosnących zadań. Nie wiem też, czy dlatego jest ich, powiedzmy, mało, że zadania mają ogromne, czy też dlatego, że rzekomo stale „piją herbatę" i często chorują, tzn. albo im coś naprawdę dolega, albo „biorą sobie zwolnienie".

Biurokracja zresztą, to nie tylko nadmiar zatrudnionych, lecz również powódź najrozmaitszych, często zbędnych formularzy i zaświadczeń, wypełnianych gwoli stale podobno rozrastającej się sprawozdawczości, w tym także narzucanej urzędom i obywatelom prawem kaduka. Oba te nadmiary zapewne doskonale się uzupełniają wzajemnie, a do tego dochodzi jeszcze prawdziwa epidemia różnego rodzaju konferencji i narad, zebrań i debat, które po części pozorują konkretną działalność.

Jak widać, biurokracja jest smokiem o co najmniej trzech głowach, bo może jest ich więcej, ale i tych trzech starczy, gdyż — jak szepcze się po kątach, lubią one po odcięciu odrastać, i to coraz cwańsze. Od czegoś jednak trzeba zacząć i gdyby się udało zlikwidować w całym kraju zbędne „nasiadówki", będące nie tyle szkołą krasomówstwa, ile raczej gadulstwa, byłby to już jakiś krok naprzód.

Otóż, jak słychać, znalazł się najpierw jeden odważny wojewoda, niczym błędny rycerz Lancelot, który postanowił tę głowę, która zawiaduje zbędnymi naradami, po prostu odrąbać. Wojewoda ten uznał, że zamiast tracić czas i pieniądze gadając stale o tych samych sprawach do załatwienia, które nadal nie są załatwiane i pozostawiane w spadku następcom, a przez nich rozpatrywane od nowa, to lepiej już urzędować na miejscu.

Wcale się nie dziwię, że ta inicjatywa, tak głęboko i drastycznie naruszająca ustalony od dawna tryb zarządzania i zarazem pewien wypracowany model działalności publicznej, zmierzająca do tego, by odbywać narady tylko w określone dni tygodnia czy nawet jeden dzień, nie znajduje od razu chętnych naśladowców. Bo musi to być niełatwo przestawić się na inny styl myślenia i działania, wyzwolić się od nieco magicznej wiary, że jeśli powstał impas w jakiejś dziedzinie życia, wystarczy skrzyknąć co najtęższe głowy i jakieś remedium się znajdzie.

Co prawda, nie każdy szef lubi się otaczać tęgimi głowami, niejeden ponadto woli kojące pochlebstwa od gorzkich uwag krytycznych, toteż wiele narad kończy się na niczym, czasem tylko jakąś ogólnikową rezolucją czy apelem, podawanymi nieraz do prasy, to jednak pozostawało po nich poczucie, że zrobiło się co tylko było można.

Myślę, że mania narad i konferencji nie zawsze sprzyja ujawnieniu się administracyjnych i organizacyjnych talentów, częściej bowiem, bo głośniej, przebijają się opinie niezawodnych „żelaznych dyskutantów". Oni też, ci elokwentni, wolni od zahamowań, zyskują przez naradomanię większą szansę wybicia się niż ci, którzy rzetelnie robią swoje, a nie potrafią tego publicznie „sprzedać". Żeby ich docenić, trzeba by nieraz zadać sobie trud zanalizowania konkretnych efektów ich pracy, na czym trzeba się też trochę znać. A na naradzie jakże łatwo dostrzec tego, kto mówi nam akurat to, co pragniemy usłyszeć.

Rozumiem więc obawy i opory znakomitej większości, która nie pospieszyła w ślady inicjatora i nie kwapi się z odpowiedzią na apel o dni bez narad. A swoją drogą, trudno zapewne przewidzieć, jaka jest ta średnia „beznaradowa", poniżej której nie da się zejść w naszych warunkach. A nuż ten, kto ogłasza np, że mu jeden dzień w tygodniu wystarczy, już wkrótce poczuje się zmuszony do ustępstw wobec rzeczywistości, która tak często okazuje się oporna na teoretyczne założenia i wstępne wyliczenia.

No i nie dałbym głowy, czy urzędnik, który co drugi dzień miał całkowicie wypełniony „nasiadówkami" dającymi jednak poczucie dobrze spełnionego obowiązku, będzie teraz wiedział co ma z sobą robić, za co się wziąć, gdy mu się dwa z tych dni w tygodniu odda do jego dyspozycji, żeby je po swojemu „zagospodarował". Może zamknie się w swoim pokoju i zacznie rozwiązywać krzyżówki?

Ciekawe, ilu znajdzie się w najbliższym czasie błędnych rycerzy, zdecydowanych na odcięcie przynajmniej jednej z głów smoka naszej kochanej biurokracji. A jakie będą ostateczne rezultaty?

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— **Dawno już miała być szkoła w Bedoniu. Miały być plany i projekty, ale szafy w Urzędzie Gminy wciąż są puste. Dzieci zaś chodzą do szkoły i po 10 km. Czy tak dalej musi być? — pyta JOLANTA WROŃSKA.**

— **Bełchatów to miasto wielkiej szansy. W projektach przewidziano wszystko. Rzeczywistość nie dorównuje jednak projektom. Pośpiech i kryzys robią swoje — pisze o tym w nagrodzonym reportażu ROMAN KUBIAK.**

— **Trzy lata temu pracownik WOPR w Wieluniu wybrał się na kurs rolnictwa biodynamicznego do Warszawy. Kiedy po tygodniu wrócił do domu, czuł się tak, jakby przyjechał z zupełnie innego świata. Był oszołomiony tym, co usłyszał i zobaczył. Postanowił produkować zdrową żywność. Jak do tego się zabrał? — odpowiada w swoim artykule. PAWEŁ TOMASZEWSKI.**

— **Myślałem, że Polaków będzie mniej w Budapeszcie niż dawniej. Było więcej. Myślałem, że stosunek Węgrów do nas uległ pogorszeniu. Uległ polepszeniu. Hasło „Węgier—Polak dwa bratanki" spotkałem wypisane czerwonym drukiem w podziemiach dworcowych, na wielu głównych ulicach i w kawiarniach — pisze w korespondencji z Węgier ANDRZEJ MAKOWIECKI.**

— **Co dzieje się w kabinie kinooperatora, gdy siedzimy na sali i oglądamy film? Dlaczego u nas nie może być wielkich kin? — można o tym przeczytać w reportażu WŁODZIMIERZA KUPISZA.**

Człowiek epoki socjalizmu miał być mądry, szlachetny i szczęśliwy. A tymczasem na froncie wychowawczym ponieśliśmy największą porażkę. Dlaczego? Jakie mechanizmy decydują o moralnym obliczu ludzi? Co możemy i powinniśmy zmienić?

Traktat o wychowaniu socjalistycznym

EDMUND LEWANDOWSKI

W każdej formacji historycznej świadomość nie tylko odzwierciedla warunki materialne życia ludzi, lecz również tworzy je. Przy czym szczególną rolę w całokształcie systemu społecznego odgrywa świadomość klasy panującej. Charakterystyczne dla niej ideały i wzory postaw kształtują oblicze epoki.

W rozwiniętych społeczeństwach feudalnych dominowała arystokracja ziemska. Preferowane przez nią cele i wartości wpływały na bieg procesu historycznego. Kulturę tej klasy cechowało lekceważenie dla pracy i zdobywania dóbr. Bogactwo traktowano jako środek umożliwiający rozrzutne i wystawne życie, a nie jako cel sam w sobie lub przedmiot akumulacji. Bardzo wysoko ceniono wszechstronne wychowanie i wykształcenie oraz cnoty honoru i wierności. Jednostki i rodziny były podporządkowane szerszej całości: grupie, stanowi, kościołowi, państwu. Typową postawą był kosmopolityzm.

Łatwo zauważyć, że kultura klasy panującej w kapitalizmie stanowi wyraźne zaprzeczenie (negację) wartości rycersko-szlacheckich. U burżuazji obserwujemy przede wszystkim szacunek dla pracy i pracowity tryb życia, w połączeniu z oszczędnością i skąpstwem konsumpcyjnym oraz kultem pieniądza i myśleniem jego kategoriami. Jest to kultura pracy. Zorientowana na gromadzenie i posiadanie jak najwięcej dóbr materialnych. Zdecydowanie odrzucono i potępiono tu „bohaterskie próżniactwo" szlachty oraz chrześcijańską apoteozę ubóstwa. Na miejsce wyrafinowania kulturalnego pojawiły się mierność i przeciętność. Zamiast etyki honoru i obowiązku wobec całości nastała egoistyczna zasada: *„czyń co chcesz"* (laissez faire, laissez passer).

KOSMOPOLITYZM USTĄPIŁ PRZED NACJONALIZMEM.

Istotę przejścia od kultury szlacheckiej do burżuazyjnej najlepiej chyba wyraził Daniel Defoe. W jego powieści lord mówi do kupca: *„Pan nie jest gentlemanem"*. A na to kupiec ze spokojem odpowiada: *„Nie, Sir, ale ja mogę kupić gentlemana"*. Obaj reprezentują przeciwstawne systemy wartości i dwa różne światy.

Panowanie klasowe burżuazji i jej formacja kulturowa zostają stopniowo znoszone przez ruch społeczno-polityczny klasy robotniczej. Zdobywając pozycję panującą klasa ta coraz bardziej zaznacza swą odrębność w sferze wartości duchowych. Można sądzić, że kultura jej będzie negacją burżuazyjnej, jak ta była zaprzeczeniem arystokratycznej. *„Kultura robotnicza* — pisał w latach trzydziestych Stefan Czarnowski — *wytwarza się w naszych oczach, nawet w kapitalistycznym systemie, choć wbrew niemu. I widoczne są w niej zadatki zarówno bardzo wielkiej, jak człowieczeństwem przeniknietej kultury"*.

Praktyka budowy socjalizmu dowodzi jednak, że kształtowanie nowego typu świadomości społecznej jest procesem bardziej złożonym niż przebudowa struktury społeczno-ekonomicznej i politycznej. Poza tym między kulturą duchową a materialną zachodzi ścisły związek. Porządek lub nieład w świecie zewnętrznym wpływają na życie wewnętrzne, i odwrotnie.

Celem tego eseju jest próba odpowiedzi na dwa pytania. Po pierwsze — czym powinien wyróżniać się człowiek epoki socjalizmu? I po drugie — jakie warunki muszą być spełnione dla urzeczywistnienia socjalistycznego ideału wychowawczego?

Nie ulega wątpliwości, że społeczeństwo socjalistyczne kształtuje osobowości swoich członków dwojako: drogą świadomych i celowych zabiegów wychowawczych oraz poprzez sam sposób funkcjonowania jako taki. Ten drugi rodzaj wpływów — mający w pewnym sensie charakter niekontrolowany— rzadko docenia się w działalności ideologicznej. A tutaj właśnie w głównej mierze kryją się przyczyny sukcesów lub niepowodzeń wychowawczych.

Trzeba pamiętać, że wychowanie, w ścisłym tego słowa znaczeniu, stanowi jedynie wąski „strumień" na tle szerokiego pola oddziaływań formujących postawy i osobowości. Stąd też o skuteczności wszelkich przedsięwzięć propagandowych i wychowawczych w społeczeństwie socjalistycznym ostatecznie przesądza to, jak ono funkcjonuje na co dzień, jak działają wszystkie jego instytucje. Socjologowie mówią więc słusznie o wychowaniu i socjalizacji. Wychowanie ma charakter świadomy, intencjonalny. Socjalizacja zaś obejmuje całokształt wpływów społeczno-kulturowych: świadomych i nieświadomych.

Postawy członków społeczeństwa socjalistycznego, co warto jeszcze raz powtórzyć i podkreślić, determinuje sama przez się dobra lub zła jakość pracy i życia wszystkich jego instytucji. Należycie funkcjonujące systemy „pozawychowawcze" sprzyjają kształtowaniu się właściwych postaw. Natomiast świadomościowe skutki bałaganu, marnotrawstwa, korupcji itp. nie dadzą się zrekompensować przez najlepiej nawet prowadzone specjalne formy pracy wychowawczej.

Każde społeczeństwo — o czym wiedzieli już starożytni — jest przede wszystkim systemem zaspokajania potrzeb. W formacjach przedsocjalistycznych baza społeczno-ekonomiczna w niewielkim stopniu zależała od dążeń podmiotowych — „rządziły" nią prawa niezależne od ludzi. Sytuacja ta w socjalizmie miała ulec zasadniczej zmianie. Istotną cechą tego ustroju jest bowiem próba przezwyciężenia żywiołowości i alienacji w historii. Niemniej i tutaj rezultaty świadomych i planowych działań często odbiegają od zamiarów. W niektórych swych aspektach życie społeczne nie daje się sterować i kontrolować w pełni pożądany sposób. Przyczyna tego jest oczywista — są nią

OGRANICZONE MOŻLIWOŚCI ZASPOKAJANIA POTRZEB.

Według materializmu historycznego rzeczywiste sposoby zaspokajania potrzeb warunkują nadbudowę moralną społeczeństwa. Na tej podstawie można przypuszczać, że jak długo społecznie doniosłe i rozbudzone potrzeby materialne nie będą mogły z jakichś względów być zaspokojone przez wszystkich (czy też chociaż zdecydowaną większość), tak długo nie da się całkowicie urzeczywistnić moralności socjalistycznej.

Z niewątpliwą przesadą i właściwym sobie sceptycyzmem Konstanty Grzybowski pisał: *„Bądźmy materialistami: ludzie postępują moralnie wtedy, gdy nie muszą postępować niemoralnie. U większości rodzi się akceptacja moralności wtedy, gdy nie wymaga zbyt wielkich i zbyt sprzecznych z wyobrażeniami ludzi wyrzeczeń"*.

Na potwierdzenie tych słów bez trudu można znaleźć historyczne przykłady ukazujące jak — w sytuacji niedostatku elementarnych dóbr — nawet bardzo surowe sankcje nie były w stanie powstrzymać mas przed łamaniem obowiązujących norm prawnych, moralnych i religijnych. Obserwuje się to szczególnie w okresach głębokich przemian rewolucyjnych, kiedy występuje gwałtowne odczucie i uświadomienie niezaspokojonych potrzeb — rozbudzenie pragnień i oczekiwań. Ludzie „naginają" wówczas do swoich interesów nawet najbardziej uświęcone (przez tradycję czy religię) normy i przekonania.

Potrzeby materialne są wynikiem zależności człowieka od środowiska przyrodniczego i społecznego. I jako takie mają charakter obiektywny. Pojawiają się i istnieją niezależnie od woli i świadomości jednostek. Z drugiej jednak strony, świadomość społeczna — oddziałując zwrotnie na byt — wpływa w pewnym zakresie na charakter potrzeb i sposoby ich realizacji. Dlatego w wielu społeczeństwach z powodzeniem ograniczano lub rozszerzano dany krąg potrzeb drogą propagandy i wychowania. Również w krajach socjalistycznych dąży się do świadomego kształtowania potrzeb ludności. Od efektów tej działalności zależy w znacznym stopniu pomyślność pracy wychowawczej.

Społeczną efektywność wychowania socjalistycznego warunkują zatem: umiejętność kształtowania potrzeb oraz rezultaty doskonalenia instytucji zaspokajających potrzeby. A my w obu tych dziedzinach nie mamy osiągnięć, które by nas satysfakcjonowały. Przez to zaś nie mamy sukcesów wychowawczych.

W każdym społeczeństwie realny proces zaspokajania potrzeb (funkcjonowanie instytucji) jest równocześnie podstawowym procesem formowania postaw i osobowości. W procesie tym, w warunkach społeczeństwa socjalistycznego, najważniejsze znaczenie wychowawcze ma — jak się wydaje — s p r a w i e d l i w y r o z d z i a ł dóbr. W rozmowie z dziennikarką „Trybuny Ludu" pewien młody robotnik powiedział: *„Mogę mniej zarobić i gorzej zjeść, chodzić skromnie ubrany i nie mieć samochodu, ale muszę mieć pewność, że to, co się dzieje wokół mnie, dzieje się sprawiedliwie"*. Pogląd ten podziela najprawdopodobniej większość społeczeństwa.

W naszych warunkach, jak wiadomo, sprawiedliwość oznacza umacnianie związku między ilością i jakością pracy a poziomem wynagrodzeń. Jest to uzasadnione ekonomicznie, ale prowadzi nieuchronnie do określonych nierówności społecznych. Aby powstałe różnice zostały moralnie zaakceptowane muszą być rzeczywiście uzasadnione lepszą i wydajniejszą pracą. Zróżnicowanie dochodów nie powinno przekraczać granic poczucia sprawiedliwości.

Ważnym celem socjalizmu — ściśle związanym ze sprawiedliwością — jest równość. Klasycy marksizmu rozumieli ją jako zniesienie klas społecznych, czyli zlikwidowanie nierówności z tytułu stosunku do środków produkcji, miejsca zamieszkania (miasto — wieś) i charakteru pracy (fizyczna — umysłowa). Równość wymaga stworzenia wszystkim jednakowych szans życiowych. A przede wszystkim oznacza równość wobec prawa.

WOLNOŚĆ A POWINNOŚĆ

Do podstawowych zasad, które winny być — obok sprawiedliwości i równości — urzeczywistniane w socjalizmie należy także wolność. Warto zwrócić uwagę, że o ile sprawiedliwość jest u Karola Marksa niekiedy wręcz utożsamiana z moralnością, to wolność stanowi ostateczny cel jego etyki. Człowiekiem wolnym zaś jest ten, który nie tylko zna i rozumie rzeczywistość, ale ponadto posiada realne możliwości jej współkształtowania. *„W naszym pojęciu* — mówił Lenin — *państwo jest silne świadomością mas. Państwo jest silne wówczas, kiedy masy o wszystkim wiedzą, o wszystkim mogą wydać sąd i wszystko czynią świadomie"*.

Realizacja wolności zakłada więc koniecznie wzrost poziomu wykształcenia i stopnia poinformowania społeczeństwa. A ponadto wymaga doskonalenia systemu prawa i mechanizmów władzy. Wolność to poczucie p o d m i o t o w o ś c i — życie w racjonalnie zorganizowanej rzeczywistości, w której ludzie świadomie przestrzegają rozumnych praw i celowo tworzą swój społeczny byt.

W świadomości mieszczańskiej wolność jest pojmowana w zasadzie jako możność czynienia tego, co się chce. Rozumienie to jest absolutnie nie do przyjęcia w socjalizmie, ponieważ zaprzecza zasadom humanizmu. Prawdziwa wolność nie polega na leseferyzmie działań i zachowań, lecz na możliwości postępowania tak, jak p o w i n n o się postępować. Powinno — z racji bycia c z ł o w i e k i e m.

Sebastian Petrycy z Pilzna pisał niezwykle trafnie: *„Abyśmy mogli wątpliwość dobrze rozsądzić, naprzód mamy wiedzieć, iż wolność dwojaka jest: ludzka i bydlęca. Ludzka wolność jest, której panem jest rozum, baczność, rozmysł, cnota (...). Bydlęca wolność jest, którą i bydło ma: czynić, co chcieć, wedle smysłu i natury swej bydlęcej powodu. Taka nie jest prawdziwa wolność, ale niewola, dlatego, iż rozum, który ma rozkazować, w niewoli jest u namiętności"*. A dalej konstatował: *„Wolność tedy jest dobrych praw słuchać, wolność jest pod dobrym rządem żyć"*.

W stosunkach międzyludzkich nie może panować stan bellum omnium contra omnes, którego podstawą jest właśnie *„wolność"* czynienia według osobistego uznania. Najlepszym wskaźnikiem postępu kultury jest realizacja własnych upodobań w taki sposób, aby nie naruszać prawa do swobodnego rozwoju innych.

Narastanie wolności kapitalistycznej powodowało — zdaniem Ericha Fromma — że *„jednostka stawała się coraz bardziej osamotniona i przepojona poczuciem swej znikomości i niemocy"*. Warto w związku z tym i trzeba podejmować wysiłki na rzecz zbudowania odmiennego niż kapitalistyczne środowiska socjalizującego.

W społeczeństwie socjalistycznym najlepiej kształtuje pożądaną moralność stan faktycznej sprawiedliwości, równości i wolności. A odwrotne sytuacje rodzą niewłaściwe postawy. Przy czym pozytywne rezultaty wychowawcze daje też a k t y w n y u d z i a ł w walce o sprawiedliwość, równość i wolność. Świadczą o tym liczne przykłady różnych ruchów społecznych.

Urzeczywistnianie socjalizmu w Polsce trwa przeszło 40 lat. Wciąż jednak nie widać postępu w kształtowaniu świadomości socjalistycznej. Można natomiast zaobserwować postawy, które są wytworem naszego systemu, lecz nie służą jego dalszemu rozwojowi. Mirosława Marody dostrzega w Polsce siedem systemowo uwarunkowanych nastawień: 1) całkowitą dewaluację pracy w systemie państwowym, 2) dążenie do asekuracji socjalnej, 3) postawę wyuczonej bezradności, 4) zwężenie horyzontu czasowego podejmowanych działań, 5) zawistny egalitaryzm, 6) nastawienie na przeciętność, 7) kolektywistyczny egoizm (postawy roszczeniowe wobec państwa, walka o przywileje grupowe. Tak ludzie zachowują się w sferze makrospołecznej, czyli w relacjach publicznych; zupełnie inaczej zaś postępują w życiu prywatnym. Ludzie u nas ciągle oscylują między *„przekonaniem, że wszystko jest możliwe, a przekonaniem, że nic nie da się zrobić"*.

W społeczeństwie polskim niemało jest ludzi, którzy zdołali dorobić się i żyją na dość wysokiej stopie. Awans materialny objął przede wszystkim robotników i chłopów. Towarzyszyło temu jednak nasilenie postaw drobnomieszczańskich, a nie socjalistycznych. Wyższy poziom życia związany jest często z nastawieniem na kumulację dóbr materialnych i równoczesnym ubóstwem uczuciowym. Obserwujemy ponadto wyraźny kryzys ideałów. Nawet socjalizm jako ustrój stopniowo przestaje być wartością.

W kraju, gdzie olbrzymie masy ludowe w krótkim czasie radykalnie zmieniły swoją pozycję społeczną, nie da się uniknąć przejściowego zafascynowania dobrami materialnymi. Przez jakiś okres ludzie ci — jak przewidywał Włodzimierz Lenin — *„wszystkie myśli"* i *„siły duchowe"* skierują ku temu, by *„skorzystać z najbardziej bezpośrednich dobrodziejstw życia"*. Rzecz jednak w tym, aby ograniczanie się wyłącznie do sfery materialnej nie trwało zbyt długo i nie utrwaliło się w postawach i kulturze.

Aby stworzyć wysoko rozwiniętą cywilizację socjalistyczną twórcy jej muszą być zainteresowani materialnie. Społeczeństwa bagatelizujące z jakichś względów sprawę wzrostu dobrobytu cechowała zawsze mała dynamika rozwojowa. Toteż trzeba przyznać rację Janowi Szczepańskiemu, że *„najpoważniejszym czynnikiem wychowania w naszym społeczeństwie jest przygotowanie do pełnego uczestnictwa w życiu poprzez odpowiednie rozwijanie racjonalnych zainteresowań materialnych. Potęga nowoczesnych narodów w XIX i XX w. nie została zbudowana przez idealistów"*.

Ale w jaki sposób właściwie powiązać szybki rozwój gospodarczo-konsumpcyjny z postępem wychowawczo-kulturalnym? Co zrobić, by w postawach narodu kształtował się socjalistyczny, a

NIE DROBNOMIESZCZAŃSKI SPOSÓB ŻYCIA

Z pewnością nie wystarczą zwykłe apele i pogadanki moralne, lecz są konieczne działania kompleksowe, oparte na solidnych podstawach naukowych. W tym celu należałoby dokładnie zbadać i przemyśleć, jakie czynniki warunkują proces urzeczywistniania ideału wychowawczego socjalizmu.

Cele stawiane przed wychowaniem socjalistycznym są niezwykle ambitne i trudne do realizacji. Heliodor Muszyński ujmuje je następująco: 1) w zakresie stosunku do naczelnych wartości — postawy: humanizmu, internacjonalizmu, egalitaryzmu, demokratyzmu, zaangażowania, ideowości, umiłowania wolności, szacunku do pracy; 2) w zakresie stosunku do społeczeństwa — postawy: społecznego zaangażowania, patriotyzmu, społecznej użyteczności, gospodarności, dyscypliny, odpowiedzialności, kolektywizmu, społecznej otwartości; 3) w zakresie stosunku do drugiego człowieka — postawy: poszanowania godności, poszanowania życia i zdrowia, tolerancji, opiekuńczości, poszanowania własności, rzetelności informacji, współodczuwania, poszanowania autonomii jednostki; 4) w zakresie stosunku do samego siebie — postawy: osobistej godności, samokontroli, perfekcjonizmu, odpowiedzialności za siebie, optymizmu, samodzielności, osobistej odwagi, dzielności. W sumie wymienione typy postaw składają się na bardzo ogólny i dalekosiężny cel — model.

W zarysowanym wyżej ideale wychowawczym socjalizmu wszystkie postawy są równie ważne. Przez to ideał ten ma charakter ahistoryczny. A przecież w poszczególnych okresach budowy nowego ustroju odmienne są wymagania społeczne i jednostkowe. Znajduje to wyraz w preferowaniu odpowiednich cech osobowości. W związku z tym spośród wielu różnorodnych postaw akceptowanych przez etykę socjalistyczną należałoby wskazać pewne takie, które a k t u a l n i e są najważniejsze. Na przykład obecnie trzeba wyeksponować cechy związane z dobrą pracą: solidność, punktualność, terminowość, odpowiedzialność itp.

Cele pedagogiczne muszą każdorazowo uwzględniać potrzeby „czasu". Winny być ideologiczną odpowiedzią na konkretne wyzwania, wobec których stanęło dane pokolenie. I nie mogą zbytnio odbiegać od występujących aktualnie wzorów rzeczywistych. Nadmiernie wyidealizowany model wychowawczy łatwo może zostać odebrany jako coś, co powtarzając za bohaterem Wyspiańskiego — *„ma się nie stać nigdy"*.

Ideał wychowawczy socjalizmu to dynamiczny system postaw zapewniający w danych warunkach szybki postęp społeczny oraz wszechstronny rozwój i szczęście jednostek. Pojawia on się najpierw w działaniach osób i grup najbardziej zaangażowanych w budowę ustroju. A później stopniowo rozpowszechnia w następstwie oddziaływań socjalizująco-wychowawczych.

Wbrew pozorom określenie ideału człowieka socjalizmu nie jest sprawą prostą. Trzeba uprzednio zbadać, które z realnie możliwych i rzeczywiście występujących postaw najlepiej sprzyjają rozwojowi całości systemu, a równocześnie gwarantują względnie szczęśliwą egzystencję jednostkom. Identyfikacja tych postaw wymaga współdziałania naukowców różnych dyscyplin: ekonomistów, socjologów, psychologów, pedagogów i innych. Chodzi bowiem o uchwycenie wielu złożonych powiązań przyczynowych i uświadomienie rozległej c a ł o ś c i. Ideał nie może być sprzeczny z obiektywnym biegiem rzeczy. Musi się mieścić w strukturze procesu społeczno-historycznego.

Nasuwa się tu pytanie: czy istnieje jakaś jedna ogólna postawa, która w sposób niewątpliwy umożliwia połączenie interesów jednostki i historii? To znaczy taka, która jednocześnie stanowi źródło szczęścia człowieka oraz siłę napędową rozwoju i postępu społecznego. Na pewno nie jest nią buddyjska zasada redukcji pragnień i wyrzeczenia się tego świata. Można wprawdzie przez nią osiągnąć tak wiele, jak radość i spokój wewnętrzny, lecz niestety nie wywołuje zmian i rozwoju. Nie jest też nią bez wątpienia mieszczańska postawa wiecznego nienasycenia i pogoni za rzeczami. Wyzwala ona rozwój, ale z kolei nie daje poczucia spokoju i radości. Czy w takim razie prawda leży pośrodku? Czy wystarczy, po prostu, jakoś pogodzić obie ogólne dyrektywy postępowania i znaleźć umiarkowany „złoty środek"? Nie wydaje się, aby droga ta prowadziła do właściwego rozwiązania.

Poszukiwana postawa musi być przede wszystkim zgodna z zasadą poruszającą świat. Według dialektyki marksistowskiej taką napędową siłą wszelkiego rozwoju jest walka. Stąd też najbardziej znaczącą w osobowości modelowej powinna być chyba postawa w a l k i. Jak wiadomo, właśnie jako walkę Marks pojmował szczęście, a za synonim nieszczęścia uznawał kapitulację. Może zatem o s o b o w o ś ć w a l c z ą c ą — o sprawiedliwość, równość, wolność, pokój — należałoby przyjąć za ideał wychowawczy socjalizmu. Wieczne niezadowolenie z dotychczasowych dokonań (*„absolutna negatywność"* — jak powiedziałby Hegel), zamiast mieszczańskiego nienasycenia, byłoby istotą człowieka w ustroju socjalistycznym.

Postawa negatywna nie oznacza tu oczywiście zwyczajnego, potocznego malkontenctwa i narzekania, lecz twórczy, aktywny stosunek do świata. Negacja (dialektyczna) jest procesem utrwalania (afirmacji) pozytywnych stron rzeczywistości i eliminowania przeżytków. Jest rewolucyjnym, a nie konserwatywnym i reakcyjnym nastawieniem do dorobku minionych pokoleń. Ludzie o takim nastawieniu zawsze przyczyniali się do zmian i rozwoju społeczeństw. I sami byli raczej szczęśliwi — jeśli szczęściem jest celowe i twórcze życie oraz poczucie przydatności.

C.D.N.

Czym innym jest technika jogi, a czym innym jej filozofia. Joga propaguje określony sposób życia. Na czym to polega?

Tajemnice jogi

MAREK TARAN

W ostatnich kilkunastu latach jesteśmy świadkami wzmożonego zainteresowania ludzi Zachodu filozofią orientalną. Również w Polsce obserwujemy wzrost zainteresowania tą problematyką. Szczególnie niektóre wątki z bogatej tradycji i myśli Wschodu, budzą żywy oddźwięk w umysłach ludzi współczesnych. Dla przykładu można wymienić niezwykłą „karierę" buddyzmu Zen na Zachodzie. Jednak chyba największy rozgłos i zasięg oraz niezwykłą popularność zdobyła sobie joga.

Niestety w ślad za tym masowym zainteresowaniem nie zawsze idzie rzetelność i zrozumienie w przekazywaniu i przyswajaniu pewnych podstawowych kwestii z jogą związanych. Rozpowszechnianie jogi, szczególnie na Zachodzie, przybiera nazbyt często charakter skomercjalizowany, dostosowany do swoistej *„mody na Orient"*. Ponieważ ludzie Zachodu są z reguły niecierpliwi, dla nich to wydaje się masowo broszury traktujące o jodze, prowadzi przyspieszone kursy rzekomej jogi, zakłada liczne szkoły jogi nowoczesnej, aplikując przy tym najczęściej wyrwane z całości poszczególne ćwiczenia, które mają jakoby w krótkim czasie poprawić nasze samopoczucie, zrelaksować nas, uzdrowić, a nawet odmłodzić.

Należy wyraźnie podkreślić, że takie przedstawianie i upowszechnienie jogi jest

OBCE DUCHOWI JOGI ORYGINALNEJ.

Jogi nie można traktować w oderwaniu od szerszego kontekstu — filozoficznego, psychicznego, mdralnego — gdyż jest ona ściśle związana z określonym systemem filozoficznym, z określonym sposobem myślenia, ze specyficznym spojrzeniem na świat i na człowieka. Praktykowanie jogi w oderwaniu od owej szerszej całości jest po prostu jałowe, a często może wywołać wręcz odwrotne skutki od zamierzonych — zamiast nam pomóc może jedynie zaszkodzić.

Dla bliższego zrozumienia czym jest w swej istocie joga należałoby zacząć od wyjaśnienia samego terminu, gdyż jest on złożony i wieloznaczny. Sam rzeczownik *„joga"* pochodzi od sanskryckiego pierwiastka czasownikowego *„yuj"*, który znaczy m.in. *„nakładać jarzmo, ujarzmiać, okiełznać"*. Stąd też termin joga w tłumaczeniu dosłownym znaczy *„ujarzmienie"*, a klasyczna definicja jogi jest następująca:

„Joga jest to powściągnięcie (ujarzmienie) zjawisk świadomości".

W tym znaczeniu joga może oznaczać ujarzmienie swojego ciała (poprzez odpowiednią praktykę i określone ćwiczenia) jak i swoich popędów i uczuć, a także myśli (poprzez zwrócenie się w głąb siebie i medytację).

W innym znaczeniu, charakterystycznym dla indyjskiej tradycji filozoficznej i religijnej, joga oznacza osiągnięcie najwyższego stanu świadomości, czy też ponadświadomości, wzniesienie się na wyżyny doskonałości duchowej, przejawiającej się w obcowaniu i zjednoczeniu z Bogiem, najwyższą Prawdą, Absolutem.

W kolejnym znaczeniu, najbardziej rozpowszechnionym w Indiach, poprzez *„jogę"* rozumie się wszelką praktykę duchową, wszelkie doskonalenie się wewnętrzne na drodze do określonego celu wytyczonego przez dany system filozoficzny czy religijny. W tym sensie prawie wszystkie indyjskie systemy religijne czy filozoficzne posiadają swoją *„jogę"*.

Joga oznacza także konkretny sposób czy metodę stosowaną w praktyce dla realizacji określonych celów. W tym też sensie jest ona najczęściej pojmowana u nas — przeciętny człowiek identyfikuje jogę z określonym zespołem technik psychosomatycznych, zaczyna się ona i kończy dla niego na „uprawianiu" (dość dowolnym) pewnych ćwiczeń cielesnych i oddechowych. Wreszcie nazwą *„jogi"* oznacza się odrębny system filozoficzny, jeden z wielu systemów indyjskich, który został dogłębnie i szczegółowo opracowany w *„Jogasutrach"*, autorstwo których przypisuje się Patandżalemu, a okres powstania datuje się na około II wiek przed naszą erą.

Jak już wspomniałem jogi nie sposób pojąć w oderwaniu od szerszego kontekstu filozoficznego. Jest ona nierozerwalnie związana z duchem mistycyzmu indyjskiego, z najważniejszymi pojęciami myśli indyjskiej, a swą tradycją zakorzeniona jest w świętych księgach Indów — Wedach, których powstanie datuje się na co najmniej 1500 lat p.n.e.

Aby przybliżyć zrozumienie tego

CZYM JEST JOGA

niezbędne jest przedstawienie (chociażby w bardzo ogólnym zarysie) najważniejszych wątków myśli indyjskiej.

W wielkim skrócie i uogólnieniu można by powiedzieć, że główny nurt myśli indyjskiej, opierającej się na autorytecie Wed, jest próbą rozwiązania jednego i tego samego problemu, którego fundamentalną treść stanowi równanie: atman = brahman. Co oznacza owo równanie będące kwintesencją doktryny filozoficznej Upaniszad? (Upaniszady to najpóźniejsza część Wed).

Atman (dosł. oddech, tchnienie) w znaczeniu filozoficznym oznacza nasze *„ja"*, naszą jaźń, ciało, duszę, jest to pierwiastek subiektywny przejawiający się zarówno w mikrokosmosie jak i makrokosmosie. **Atman jest subtelną esencją wszystkiego co istnieje.**

Brahman — to najwyższy pierwiastek obiektywny, twórcza, uniwersalna potencja przenikająca wszystko, wieczna i niezmienna. Brahman — to jedyny, bezosobowy duch wszechświata. Absolut.

Powyższe równanie jest więc stwierdzeniem, że oba pierwiastki — subiektywny i obiektywny — są tym samym. Wynika z tego następująca konstatacja: nasza dusza indywidualna jest tożsama z duszą wszechświata, głębia naszej istoty jest identyczna z najwyższym absolutem. O tym właśnie starają się przekonać nas Upaniszady w słowach — *„tat tvam asi"* — (ty jesteś tym). Słowa te zawierają następującą myśl: to właśnie ty, zagubiony człowieku, jesteś owym brahmanem — absolutem, którego poszukujesz. Według filozofii indyjskiej każdemu z ludzi dane jest odkryć pewnego dnia tę wielką prawdę. Każdy z nas może kiedyś powiedzieć o sobie *„jam jest absolut"* stając się samemu boskim. Kiedy na podstawie własnego doświadczenia dochodzimy do odkrycia tej prawdy, osiągamy całkowite wyzwolenie i pełnię szczęścia poprzez stopienie się i zjednoczenie z bezmiarem przestrzeni i wiecznością czasu.

Ale nie jest to możliwe dopóty, dopóki cała **nasza uwaga nie zostanie skierowana** ku wnętrzu **naszej** istoty. W tym zwróceniu się i zapatrzeniu w głąb, nasz umysł zatraca swe wrodzone pojęcie dualizmu, dzięki czemu jesteśmy zdolni do zniweczenia ułudy naszej osobowości i zatracenia poczucia własnego *„ja"*, które to poczucie jest przeszkodą na drodze do wyzwolenia.

Zgodnie z tradycją indyjską owo skupienie i zwrócenie się w głąb jest warunkiem sine qua non wszelkiego duchowego i mistycznego życia. Jest to, jeśli nie jedyna, to na pewno najszybsza droga wiodąca nas ku wyzwoleniu z cierpienia.

Jednocześnie charakterystyczne dla filozofii indyjskiej jest to, że jej wszystkie systemy głoszą, iż ważny jest jedynie cel praktyczny. Teoria jest ważna o tyle, o ile służy praktycznemu poznaniu, które można osiągnąć intuicyjnie czy też doświadczalnie. Dlatego też zarys mistycznej drogi, jaką znajdujemy w Wedach został rozwinięty w praktyczną naukę, o pokaźnej ilości szczegółów psychologiczno-etycznych, zawierającą konkretne zalecenia odnośnie określonego sposobu postępowania, oraz wskazującą konkretne metody, których stosowanie ma nam ułatwić oderwanie się od świata zewnętrznego i zwrócenie się w głąb siebie. Owa praktyczna nauka, dzięki której mamy odkryć nieznany nam dotąd stan świadomości (czy też nadświadomości) to właśnie joga.

Zainteresowanie jogą koncentruje się przeważnie wokół technik psychosomatycznych przez nią zalecanych. Istnieje wiele różnorodnych metod mających ułatwić nam proces

PRZECHODZENIA W INNY WYMIAR LUDZKIEJ EGZYSTENCJI.

Owa różnorodność, w stosowaniu najrozmaitszych środków, dała podstawę do wyodrębnienia różnych szkół jogi.

Na przykład: w Hathajodze zalecana jest metoda polegająca na doprowadzeniu do doskonałości ciała fizycznego dzięki zastosowaniu różnych ćwiczeń oddechowych zwanych pranajamą oraz dzięki przybieraniu różnych postaw ciała zwanych asanami.

Mantrajoga — czyli kult mowy — związana jest ze słowem, a ogólnie mówiąc z dźwiękiem. U podstaw mantrajogi tkwi przekonanie, że niektóre dźwięki powtarzane w rytmiczny i regularny sposób w połączeniu z pewnymi psychofizycznymi ćwiczeniami wywołują określone wibracje i wyzwalają ukryte siły duchowe człowieka.

Natomiast Lajajoga jest metodą zalecającą skupienie całej uwagi na tzw. czakrach czyli swoistego rodzaju ośrodkach energii. (Organizm ludzki posiada siedem czakr). Poprzez odpowiednie skupienie i medytację budzimy uśpioną w czakrach energię kosmiczną, a tym samym wyzwalamy nie znane nam dotąd zdolności psychiczne.

Niestety popularyzując jogę nazbyt często eksponuje się rolę owych metod i technik, przesuwając jednocześnie na dalszy plan — lub całkowicie pomijając — znaczenie innych bardzo ważnych czynników. W konsekwencji prowadzi to do tego, że wielu ludzi utożsamia jogę z określoną techniką, której stosowanie zaleca dana szkoła. (Często kojarzy się jogę z technikami zalecanymi przez szkołę Hathajogi, a więc z gimnastyką i specyficznym sposobem oddychania).

Stosowanie owych technik ma nam jedynie dopomóc w stworzeniu jak najkorzystniejszych warunków dla osiągnięcia wyższych stanów doskonałości duchowej przynoszącej wyzwolenie. Dwa pierwsze szczeble obejmują

ZARYS DYSCYPLINY MORALNEJ

i dają obraz wymagań, jakim musi sprostać każdy, aby móc wspinać się wyżej. Dopiero na dalszych szczeblach znajdują się sprawy związane z uprawianiem określonych technik (asany, pranajama), z rozwijaniem umiejętności poddawania umysłu kontroli naszej woli, z rozwijaniem zdolności koncentracyjnych i medytacyjnych, co w końcu prowadzi do odkrycia naszej właściwej natury (nadświadomość). Ale zanim to nastąpi musi dokonać się „oczyszczenie moralne" na dwóch pierwszych szczeblach.

Pierwszym szczeblem jest Jama i obejmuje ona pięć zakazów. Na wstępie jest ahinsa — naczelna zasada etyczna wśród reguł postępowania jogi. Nakazuje nieczynienie krzywdy żadnej żywej istocie oraz powstrzymanie się od wszelkich form przemocy i gwałtu. Przy czym trzeba podkreślić, że zasadę tę należy rozumieć bardzo szeroko tzn. nie tylko jako powstrzymanie się od zabijania czy przemocy fizycznej. Powinniśmy powstrzymywać również złe myśli i uczucia, jakie zdarza się nam żywić w stosunku do innych. Do wszystkich ludzi winniśmy odnosić się z jednakową życzliwością i sympatią, nasze postępowanie powinna charakteryzować umiejętność współżycia z innymi ludźmi bez konfliktów, kolizji i antagonizmów. W zasadzie do wszystkich, bez wyjątku, powinniśmy żywić uczucia braterskie. Jeśli przerasta to nasze siły, to starajmy się chociaż wyzbyć się uczucia nienawiści czy pogardy. Wobec tych, których naprawdę trudno tolerować należy wzbudzać w sobie uczucie obojętności. Widzimy więc, że w tej naczelnej zasadzie etycznej jogi przewija się motyw *„miłości bliźniego"*, czyli głównej zasady chrystianizmu.

Drugą z *„jam"* jest satja — czyli wstrzymanie się od kłamstwa. Przy czym należy pamiętać, że kłamać można nie tylko ustami, lecz także myślą, uczuciami i postępkami.

Następną *„jamą"* jest asteja — wstrzymanie się od wszelkiego przywłaszczenia cudzego dobra. Znów *„jamę"* tę należy rozumieć nie tylko jako wstrzymanie się od kradzieży wartości materialnych. Kraść można również cudzy czas, lub czyjąś energię.

Z kolei brahmaczarja — to wstrzymanie się od nieuporządkowanej aktywności seksualnej, czyli takiej, której jedynym celem jest zaspokojenie naszych seksualnych pożądań. W jodze bardzo wyraźnie przestrzega się przed niekontrolowaną aktywnością płciową, gdyż takie postępowanie przynosi ujemne skutki. Życie rodzinne jest dozwolone, ale z licznymi ograniczeniami, sprowadzającymi współżycie seksualne do minimum.

Ostatnią z *„jam"* jest aparigraha — wstrzymanie się od pożądania czegokolwiek. Tym, co najbardziej wiąże nas ze światem zewnętrznym jest właśnie chęć posiadania czegoś. Człowiek ciągle czegoś pragnie i pożąda — najczęściej wszelkich dóbr materialnych. Chodzi jednak o to, aby wyzbyć się wszelkiej chciwości i przywiązania do tego, co nieistotne i nietrwałe.

O ile pierwszy szczebel Radżajogi — *„jamę"* można uważać za usuwanie z osobowości zbędnych i szkodliwych właściwości, o tyle drugi szczebel Nijama, jest wbudowaniem w tę osobowość nowych potrzebnych i konstruktywnych właściwości i zalet. Nijama obejmuje następujące nakazy, związane z nabywaniem pewnych cnót:

1. Sama — kontrola myśli. Polega na usunięciu ze świadomości wielu myśli nieistotnych i niepotrzebnych, **powodujących jedynie roztargnienie.**

2. Dama — kontrola działania. Podobnie jak należy wyzbyć się niepotrzebnych myśli, trzeba również wyzbyć się wielu czynności niekontrolowanych, odruchowych. Każda czynność winna być celowa.

3. Uparana — przyjmowanie życia takim jakim jest. Dotyczy to przede wszystkim wytrwałości w utrzymywaniu się na drodze życiowej, mimo licznych przeszkód i niepowodzeń. Chodzi też o należyte spełnianie swych obowiązków.

4. Titikosza — to cierpliwość w znoszeniu przykrości i niepowodzeń. Oznacza również tolerancję wobec wszystkich ludzi i stworzeń.

5. Sraddha — wiara w Guru (nauczyciela duchowego) i w siebie. Oznacza przede wszystkim niezachwiane przekonanie o słuszności obranej drogi oraz wytrwałość w dążeniu do celu.

6. Samadhana — to równowaga wewnętrzna. Związana jest z umiejętnością opanowywania nawet najsilniejszych bodźców i wrażeń. Należy zachować umiarkowanie i spokój zarówno wobec smutków jak i radości. Należy pamiętać zawsze o samoopanowaniu i kontroli nad emocjami. **Jest to wielka umiejętność zaoszczędzania energii emocjonalnej, koniecznej dla osiągania coraz wyższego rozwoju duchowego.**

Oprócz tych zaleceń natury etyczno-moralnej dotyczących naszego postępowania wobec innych ludzi joga wymaga od nas

WPROWADZENIA ŁADU I HARMONII DO CODZIENNEGO ŻYCIA.

Dotyczy to określonego rytmu i porządku we wszystkich czynnościach, jakie wykonujemy na co dzień. Ważne jest na przykład przestrzeganie stałych pór snu i posiłków. Jeśli chodzi o odżywianie to joga wymaga od nas przestrzegania określonej diety. Podstawą diety jogi jest jarstwo czyli wyrzeczenie się mięsa, ryb i jajek. Sposób odżywiania, który wypracowała joga opiera się na założeniu, że człowiek powinien spożywać głównie pokarmy *„praniczne"* i *„satwiczne"*. Pokarmy *„praniczne"* to te, które zawierają dużą ilość prany (czyli siły życiowej), natomiast *„satwiczność"* pokarmów przejawia się w ich lekkości i optymalnym oddziaływaniu na funkcje psychiczne organizmu — zrównoważenie, spokój, łatwość koncentracji. Za najwłaściwszy pokarm, zawierający dużą ilość *„prany"*, joga uważa zboża oraz wszelkie owoce i jarzyny. Zwłaszcza ich naziemne części, przy czym wartość ich jest największa, gdy spożywane są świeże. Produkty te są jednocześnie *„satwiczne"*. Z napojów zalecana jest przede wszystkim czysta woda, którą należy pić często i w dużych ilościach. Niektóre szkoły jogi zalecają picie wody w ilości nawet do 10 litrów dziennie. Cennym napojem jest również mleko oraz jego proste przetwory.

Niewskazane są natomiast tzw. potrawy „tamasowe" (tamas — ociężałość, lenistwo) tj. wysokokaloryczne i wysokobiałkowe wywołujące ociężałość i lenistwo. **Zakazane są potrawy z grupy *„radżasowej"* tzn. wywołującej podniecenie i rozkojarzenie psychiczne. Do grupy tej zalicza się wszelkie potrawy mięsne, ostre i pikantne oraz napoje alkoholowe.**

W dietetyce jogi obok wskazówek dotyczących tego, co mamy jeść, zawarte są również takie, które mówią nam, jak mamy jeść, gdyż sposób spożywania pokarmów odgrywa także pewną rolę. **Główną zasadą jest przede wszystkim umiar w jedzeniu — nie wolno jeść w nadmiarze i najadać się do syta. Podczas posiłku obowiązuje spokój, jeść należy w milczeniu i ciszy, skupiając całą uwagę na czynności jedzenia. Potrawy należy starannie przeżuwać, aby wydobyć z nich jak największą ilość prany. Joga podobnie jak inne systemy wegetariańskie zaleca okresowe głodówki.**

Jak z tego wszystkiego widać, joga to nie tylko określony zespół technik i ćwiczeń mających usprawnić nasze ciało (jest to jeden z aspektów jogi, wcale nie najważniejszy). Praktykowanie jogi, zgodne z duchem filozofii Wschodu, związane jest z określonym sposobem życia i wypełnianiem wielu codziennych obowiązków — począwszy od przestrzegania norm etyczno-moralnych, a skończywszy na uregulowanym rytmie dnia i określonym sposobie odżywiania się. O trudności rzetelnego wypełnienia zasad jogi przekonują chyba zawarte w tekście przykłady — szczególnie te dotyczące zasad etycznych.

Wbrew pewnym obiegowym opiniom, czy tytułom masowych broszur w rodzaju „Joga dla każdego", mało jest ludzi zdolnych sprostać wszystkim wymaganiom. Jest to zadanie niezwykle trudne, gdyż wiąże się m.in. z przekroczeniem granic naszej ludzkiej natury i kondycji.

Konieczność przekroczenia owych granic łączy się z przejściem na zupełnie inny plan naszej egzystencji związany z całkowitą przebudową świadomości. Gdyż — jak twierdzi wybitny znawca przedmiotu Mircea Eliade — *„celem jogi jest zniweczenie świadomości normalnej na rzecz świadomości jakościowo innej, która by była zdolna zrozumieć w pełni prawdę metafizyczną".*

ze str. 1

dzieje w świecie, a w Polsce przede wszystkim.

Posłużmy się konkretnymi przykładami: na przykład zawsze występowałem przeciwko karze śmierci oraz przesadnemu zaostrzaniu kar. Pisałem o tym w „Polityce". Zresztą, jest to także charakterystyczna linia naszej redakcji, która zawsze występowała przeciwko nadmiernej represyjności, jeszcze od czasu Jerzego Andrzejewskiego, który tu pisał przez pewien czas swoje felietony i napisał kiedyś bardzo brzemienny artykuł o karze śmierci, za który zdjęto Rakowskiego na pewien czas ze stanowiska naczelnego redaktora. Aż po dzień dzisiejszy, kiedy linię tę kontynuuje Stanisław Podemski. Ja na podstawie tego, co czytałem, na podstawie tego, co widzę, na podstawie skuteczności coraz ostrzejszego karania, instynktownie, a częściowo z pozycji zdrowego rozsądku występuję przeciwko temu.

Występuję również przeciwko mnożeniu różnych kontroli. Na przykład, kiedy powołano w Warszawie Straż Prezydenta Miasta, byłem przeciwko temu, chociaż bardzo mnie boli to, że opadają tynki, toalety są brudne, że nie ma gdzie parkować samochodów, że jezdnie są nie posypane, że śmieci są nie wywożone. A jednak uważam, że powoływanie jeszcze jednego urzędu kontrolnego nie jest dobrym wyjściem i ci ludzie więcej by zdziałali, gdyby zabrali się do sprzątania niż do kontroli.

W sprawach gospodarczych występowałem wielokrotnie przeciwko nadmiernej centralizacji, przeciwko rozszerzaniu drobiazgowego planowania na wszystkie dziedziny, za większą rolą rynku, przeciwko obawom, że pewni ludzie się wzbogacą, bo będą hodować pietruszkę czy produkować laiki. Gdyby te przykłady uogólnić, czy dobrać jeszcze inne, to wydaje się, że moja postawa jest taka, że nie walczę z wiatrakami, lecz o to, co konieczne i realne. Przyjmuję te założenia ustrojowe, polityczne, gospodarcze jakie w Polsce obowiązują, ale nie uważam, że rozwiązania ustalane przez władze czy sugerowane przez opozycję są święte i nie wolno z nimi dyskutować bez narażenia się na pomówienie, że się naraża rację stanu lub swoje imię jako dobrego Polaka. To jest moja postawa, ten mój zdrowy rozsądek. Mój przyjaciel nazwał to postawą twórczej rezygnacji, tj. rezygnacji z tego, co nieosiągalne, a więc ze złudzeń, na rzecz tego, co można zdziałać tu i teraz.

— Z powodu pisania felietonów, a także tekstów publicystycznych, ponosi pan również pewne konsekwencje. Proszę zatem powiedzieć, czy ma pan więcej wrogów czy przyjaciół?

— Nie liczę wrogów ani przyjaciół. Odnoszę wrażenie, że mam więcej jednak przyjaciół. Mam starych wrogów, mam nowych wrogów, mam wrogów zapiekłych, nieprzejednanych, takich starych jak Bohdan Drozdowski i nowych, początkujących jak Łukasz Budny. Uważam, że kilka tomów moich felietonów rozeszło się dzięki Bogu szybko, a czytelnicy dają nieraz dowody zainteresowania, nieraz zaufania, a więc przyjaciół mam więcej. To nie znaczy, że o nich zabiegam. Specjalnego talentu do zyskiwania sobie przyjaciół niestety nie mam. Łatwo sobie zrażam ludzi, robię wrogów, może na skutek za małej rozwagi, za dużej otwartości lub napastliwości tego, co piszę, ale myślę, że mam przyjaciół, ludzi mi życzliwych i te przyjaźnie bardzo pielęgnuję. Spotykam się z kolegami jeszcze ze szkoły podstawowej.

Kiedy w „Polityce" była ogłaszana ankieta na najpopularniejszego autora, ja przez wiele lat zajmowałem tam pierwsze miejsce. Nie było to jeszcze dowodem, że ma się przyjaciół czy ludzi życzliwych, tylko że się jest poczytnym dziennikarzem. Natomiast w ostatniej ankiecie opracowanej przez krakowski Ośrodek Badań Prasoznawczych było też pytanie „Z jakim dziennikarzem zgadzasz się najczęściej?". W odpowiedzi na nie okazało się, że czytelnicy „Polityki" najczęściej zgadzają się ze mną. I to w ponad 80 procentach. Wtedy zrozumiałem, że moja postawa jest reprezentatywna dla pewnej części naszej inteligencji. To znaczy, że ja nie jestem samotny, nie jestem czarną owcą, za jaką niektórzy usiłowali mnie przedstawiać. W prasie, w polityce, zawsze istnieje pewien nurt walki. Muszę powiedzieć — bo i wasze pismo było niegdyś w nią zaangażowane — że chwyty w tej walce stosowane są czasem oburzające. Bo cóż powiedzieć, jeżeli wydawałoby się, że ideowy, partyjny poeta pisze w gazecie, że ja pojechałem do Wietnamu za pieniądze Pentagonu (a pojechałem za pieniądze swojej redakcji), potem przegrywa proces w sądzie i przez dwadzieścia lat nie ma odwagi odwołać tego publicznie, to jest to żałosne. Jeśli, proszę pana, autor cynicznej powieści seksualnej w odpowiedzi na mój felieton, który to ośmiesza, pisze do „Trybuny Ludu", że ja wypisuję to samo co „Stern" i wrogie rozgłośnie, mało tego, pisze skargi na mnie i redakcję do najwyższych czynników w partii i państwie, to trudno nie załamać rąk nad takimi obyczajami. Tylko, że ja się przez te wszystkie lata trochę nauczyłem i teraz bardzo rzadko angażuję się w takie pyskówki. To znaczy, piszę co mam do napisania, ale bijatyki zostawiam innym, na zaczepki nie odpowiadam. Łukasz Budny poświęcił mi cały pamflet w „Kulturze" — nawet nie zareagowałem. Nie z poczucia wyższości, tylko z przekonania, że jego nie przekonam, a o jego i mojej pracy czytelnicy wyrobią sobie własny sąd. Kiedyś byłem impulsywny, teraz jestem odporny na pieniactwo.

— Uprawia pan wyjątkowo trudny gatunek wypowiedzi dziennikarskiej, i co tu dużo mówić, jest pan wielkim fachowcem w tej dziedzinie. Jak pan ocenia stan polskiej felietonistyki? Przecież was, takich sztandarowych felietonistów, można policzyć na palcach jednej ręki...

— Bardzo mi jest miło, że pan tak mówi. Tak się złożyło, że wczoraj otrzymałem list z krakowskiego Ośrodka Badań Prasoznawczych od dyrektora Dubiela, który zwraca się do mnie z podobnym pytaniem. Ale od razu sugeruje odpowiedź, że poziom felietonistyki jest marny, że felietoniści ferują wyroki, że to jest powierzchowne, efekciarskie itd.

Mnie się wydaje, że jest w Polsce kilku znakomitych felietonistów. Ale gdzie indziej nie ma ich więcej. Trochę podróżuję, czytam prasę zagraniczną i muszę powiedzieć, że takich utalentowanych, wybornych autorów jak Urban, Toeplitz, Kałużyński czy Kisielewski w prasie światowej tak wielu nie ma. Tak więc nie ubolewałbym specjalnie nad stanem naszej polskiej felietonistyki. A że felietonistów w kraju jest wielu, a tylko niewielu osiąga wysoki poziom? To dotyczy wszystkich dziedzin. Są tysiące lekarzy, wśród nich tylko nieliczni są wybitni, są tysiące skrzypków, ale tylko nieliczni grają dobrze. Tak więc jest naturalne, że są setki felietonistów, ale tylko nieliczni piszą dobre felietony. Jest czołówka, peleton główny i są maruderzy — inaczej być nie może. Są w polskiej prasie miejsca słabsze niż felieton.

— A reportaż? Czy nie sądzi pan, że nastąpił upadek tego, niegdyś tak popularnego, gatunku?

— Powiem panu szczerze: reportaży nie czytałem i nie czytuję, chyba że muszę. To nie jest mój ulubiony gatunek. Nie mam do reportażu cierpliwości. Nie interesują mnie fakty, informacje oraz opisy, interesują mnie myśli i analizy. Dlatego więcej znajduję dla siebie w „Życiu Gospodarczym" czy w „Życiu Literackim" — pismach mniej popularnych, niż w tygodnikach masowych, o charakterze reporterskim. Kiedy już wiedziałem, że ktoś jest po prostu mistrzem tego gatunku, jak powiedzmy Kapuściński czy niegdyś Krall6wna, to ich czytałem. Ale nie dlatego, że pisali reportaże, tylko dlatego, że pisali dobrze. Ale nawet i w ich tekstach raziła mnie pewna manieryczność, pewna pretensjonalność, zwłaszcza u Krallówny pewne silenie się na literaturę. Jeśli mam czytać literaturę, to od razu wolę wziąć uznanego pisarza niż reportera, który dopiero aspiruje, dopiero próbuje sił.

Był czas, kiedy reportaż przeżywał u nas lepszy okres. To było wtedy, kiedy cenzura była surowsza, śruba propagandowa była bardziej przykręcona. Wówczas nie przechodziły uogólnienia, szersze analizy w publicystyce, w raportach różnych instytucji i instancji, w wypowiedziach naukowych, w felietonistyce. I wtedy przemycano prawdę na podstawie jednostkowych opisów. Pojechała dziennikarka w teren, opisała na kanwie zabójstwa wegetację ludzi, ich biedę, ich choroby fizyczne i moralne, ich niski stopień zaspokojenia potrzeb, ich prymitywizm nieraz stworzony przez warunki w jakich żyją. Przywiozła taki ciemny obraz i na zasadzie, że to się dzieje w jednym gospodarstwie czy w jednej wsi gdzieś na Podlasiu — reporterzy odkrywali obraz Polski.

Od tego czasu tak wiele prawdy zostało o Polsce powiedziane i tak się tę prawdę bez przerwy miele i powtarza, że Ameryka jest odkryta. I dzisiaj reporter nie może wrócić z terenu w roli człowieka, który przychodzi do redakcji i mówi, że byłem na Kielecczyźnie, w takim to a takim miasteczku i mówię wam: Król jest nagi! To nie jest już taka rewelacja. Sądzę, że zmienił się charakter reportażu. To znaczy o ile dawniej były lata wielkich reporterów: Wańkowicz, Kapuściński, Krallówna, Górnicki, których teksty były doskonale napisane, kiedy czuło się w nich wiedzę, głębokie zaplecze literackie, indywidualność autorską, o tyle obecnie reportaż zmienił swój styl. Reporterzy to nie są żadni artyści, tylko to są ludzie, którzy pędzą nieraz we dwójkę, trójkę tam gdzie coś się zdarzyło i oni muszą przywieźć jak najszybciej sensację czy relację, na którą czytelnik czeka jako na informację o zatruciu w szpitalu czy zatonięciu statku. Czyli reportaż nabrał charakteru informacyjnego, bulwersującego, sensacyjnego. Natomiast artyzm, kunszt właściwie zaniknął. Gdyby natomiast prasa chciała uprawiać jedno i drugie, to znaczy reportaż artystyczny i informacyjno-sensacyjny, to musiałaby mieć dużo więcej papieru. Bo na przykład w tygodniku „Die Zeit" oprócz reportażu pogłębionego, informacyjnego są i inne. Oni nawet podpisali umowę z pisarzem, który pisze reportaże na 40—50 stron maszynopisu o Węgrzech lub Norwegii. Są to reportaże zagraniczne. Ale jakich trzeba mieć czytelników, którzy czytają owe 50 stron i jaki to musi być tekst! Taki reportaż nie jest obliczony na sensację, to jest reportaż dla wysmakowanej publiczności. A takiej publiczności i takich reakcji u nas jest bardzo mało.

— A jak pan ocenia nasz rynek wydawniczy? Pytam o to, bo i pan jest klientem oficyn wydawniczych.

— Na ten temat bardzo dużo mówi się i pisze. Jako czytelnik mam doświadczenia bardzo złe. To znaczy książek, których pragnę, nie mogę zdobyć, lub mam do nich dostęp utrudniony. Świadczy to o tym, że dobra książka w Polsce, choć ukazuje się dość dużo dobrych pozycji, jest nadal rarytasem. Jako autor mam wrażenia mieszane. To znaczy: poprzednie moje książki rozeszły się bardzo dobrze, teraz jest na rynku mój zbiór felietonów pt. „Bałwan pod klucz", który wyszedł nakładem „Czytelnika". Wydaje mi się, że nie rozchodzi się tak dobrze jak poprzednie. Ale nie wiem, co jest lepsze dla autora: czy żeby książka momentalnie się rozeszła, czy żeby była w księgarniach? Kłopotliwą sprawą jest cykl produkcyjny: jeżeli wydaje się zbiór felietonów i publikacja takiego zbioru trwa rok do dwóch, a felietony dotyczą czasu sprzed roku albo dwóch, to czytelnik otrzymuje tekst dotyczący czasu sprzed trzech lub czterech lat. Nie jestem specjalistą od rynku wydawniczego, ale widzę tu obszary, które były w strasznym stanie: na przykład podręczniki i ich jakość merytoryczna i techniczna. Podręczniki dla szkół podstawowych ukazywały się nieraz w papierowych okładkach, chociaż wiadomo, że są one szurane w tornistrach, na ławkach, bez przerwy używane. Czyli stan rynku wydawniczego oglądam ze smutkiem, ale zadaję sobie też pytanie: dlaczego na rynku wydawniczym miałoby być lepiej niż gdzie indziej? Gdyby pan mnie zapytał, powiedzmy, jak oceniam nasze hotelarstwo, kolejnictwo czy lecznictwo, to odpowiadając krótko, powiedziałbym, że wydaje mi się, iż sytuacja na rynku wydawniczym jest trudna i nie różni się od sytuacji w pozostałych dziedzinach naszego życia.

— Skoro mówimy o książkach, nie mogę nie poruszyć sprawy pańskich kąśliwych uwag na temat niektórych powieści drukowanych przez mój macierzysty tygodnik „Odgłosy". Myślę o „Raz w roku w Skiroławkach" oraz o fragmencie „Sodomy". Czyżby był pan przeciwnikiem seksu? A może wypływa to z pańskiego purytańskiego poczucia moralności?

— Nie, absolutnie nie! W ogóle nie jestem purytaninem, ani nie mogę się zgodzić z tym, jakobym wyznawał moralność purytańską. Tylko odnoszą wrażenie, że w ciągu ostatnich kilku lat nastąpiła daleko idąca komercjalizacja części naszej prasy. Mówię części, ponieważ sytuacja jest taka, że pewne redakcje i pewne tytuły redagowane byle jak i przez prawie nikogo nie czytane, latami utrzymują się przy życiu dzięki dotacjom. A więc kosztują miliony złotych. Z drugiej strony pewne tytuły i redakcje bardzo silnie zabiegają o czytelników i czasami obniżają swój poziom poniżej — moim zdaniem — dopuszczalnych granic. I na to ja reaguję.

Gdyby w Polsce wychodziło pismo poświęcone seksowi, powiedzmy „Playboy" albo „Penthouse", który jest ostrzejszy od „Playboya", to bym nie miał nic przeciwko temu. Gdyby w Polsce wychodziły gazety redagowane bardzo sensacyjnie, jakieś 5-groszowe pisemka „kolejowe" to uważałbym to za normalne. Natomiast czasami reaguję na udawanie. Na udawanie, że się drukuje utwór ze względu na jego walory literackie, robiąc jednocześnie oko do publiczności, bo wszyscy wiemy, że te powieści nie mają większych wartości literackich, nie apelują do kultury, lecz do zmysłów. Myślę, że większość czytelników i redaktorów, którzy to drukują też wiedzą, że jest to grafomania. Ale drukuje się je po to, by zyskać czytelnika. „Polityka" też zabiega o czytelników, każde pismo to robi. Chodzi jednak o granice dobrego smaku. Mnie nawet cytowanie tych powieści czytelnicy w listach wytykają, że gonię za czytelnikiem, bo cytuję te powieści, które wy drukujecie. Więc ta pogoń za czytelnikiem, to udawanie, to zakłamanie, że drukujemy literaturę, a faktycznie to chodzi nam o coś zupełnie innego, to jest to, co zwalczam.

— A może dokonuje pan zbyt pochopnych ocen? Przecież o tygodniku nie świadczy tekst o kształtach jakiejś Maryny. „Odgłosy", jako jedyny periodyk drukowały w całości drugą część książki Mieczysława F. Rakowskiego pt. „Czasy nadziei i rozczarowań"...

— Bardzo dobrze, że to robicie.

— O co mi chodzi: że „Odgłosy" jako pismo nie są pismem brukowym, że obok tekstów popularnych, zamieszczamy teksty poważne, o wysokich lotach intelektualnych.

Nie walczę z wiatrakami

Foto: Tadeusz Późniak

— Absolutnie się z panem zgadzam. Nie można sobie wyrobić prawidłowego obrazu waszego tygodnika czytając moje felietony. Bo ja w ogóle nie jestem od wymierzania sprawiedliwości. Nawet kiedyś napisałem, że nie jestem Temidą tylko felietonistą. A kto chce poznać walory „Odgłosów", nie tylko ich słabości, ten powinien być ich czytelnikiem, a nie polegać w tej sprawie na mnie. Parę dni temu zdarzył się taki błąd: w „Gazecie Krakowskiej" w tytule na pierwszej kolumnie napisano „dwóch" przez „u" zwykłe. I telewizja krakowska to ośmieszyła. Następnie w „Gazecie Krakowskiej" ukazał się poważny komentarz zasadniczy przeciwko tv krakowskiej, że ona ośmiesza jeden ich błąd a nie dostrzega wielu wartościowych tekstów, jakie się u nich ukazują. Pan też zapytuje mnie w podobnym duchu: dlaczego ja ośmieszam te pozycje, podczas kiedy było wiele innych wartościowych? Otóż z tego samego powodu, dla którego z kolei „Odgłosy" wyszukują lub pastwią się nad cudzymi błędami, a niekoniecznie zaraz wynoszą ich zasługi. Taka jest, mi się wydaje, jedna z funkcji prasy. Mnie chodzi o zwrócenie uwagi na pewne zjawiska, a nie na tygodnik czy na osobę. I teraz, kiedy pisałem o tej „Sodomie", to nawet nie podałem nazwiska autora, bo już nie chcę by się ktoś pienił, tak jak to robił autor „Skiroławek"

— Jest pan zastępcą redaktora naczelnego „Polityki". Z czym lub z kim ma pan największe problemy?

— Przede wszystkim muszę powiedzieć, że za tydzień „Polityka" będzie obchodziła swoje 30-lecie. To jest dla nas wielkie święto, dla mnie osobiście też, bo pracuję tu ponad 25 lat. A co do problemów, to największe mamy ze zdobyciem dobrych tekstów i autorów.

— Proszę zatem powiedzieć, za jaki dział „Polityki" pan odpowiada?

— U nas nie ma systemu odpowiedzialności za działy. Wszyscy jesteśmy współgospodarzami gazety. Jest tu dwóch zastępców naczelnego — redaktor Szeliga i ja. Na zmianę prowadzimy numer. Idea jest taka, że jeden jest skupiony nad bieżącym numerem, a drugi nad organizowaniem materiału na przyszłość, nad koncepcją kolejnego numeru. W praktyce ten system ma swoje wady: bowiem ten, który nie prowadzi numeru jest wybity z rytmu, czuje się jakby był na takim półwypoczynku.

— Czy oprócz pisania felietonów, czytania i wyjazdów zagranicznych, ma pan jakieś szczególne hobby?

— Bardzo dużo czasu poświęcam domowi i rodzinie. Interesują się sportem, uprawiałem kiedyś koszykówkę i pływanie, nawet grałem w warszawskiej „Gwardii" u trenera Klimaja, ale nie byłem dobrym koszykarzem. Trenowałem pływanie u trenera Krycha. Natomiast córka moja jest tenisistką, była mistrzynią Warszawy w kategorii dziewcząt. Towarzyszenie jej na te treningi, odwożenie i przywożenie zajmuje mi bardzo dużo czasu.

Moim ulubionym zajęciem jest leżenie na kanapie i czytanie. Niestety, na to mam za mało czasu. Niektórzy też mówią, że moim hobby jest praca w „Polityce". Jestem w tej szczęśliwej sytuacji, że praca sprawia mi przyjemność.

— A jaki jest pański stosunek do kobiet? Nie bez kozery zadaję to pytanie, ponieważ był pan kiedyś nawet jurorem podczas konkursu na „Miss Polonia".

— Kiedy byłem młodszy, była to moja słabość. Nigdy nie miałem pociągu do alkoholu, nigdy nie paliłem papierosów, natomiast byłem wrażliwy na urodę pań.

Spotkałem się z zarzutem, że jestem antyfeministą. Być może jestem trochę mężczyzną starego typu, to znaczy, że oczekuję od kobiet wdzięku, urody, wykształcenia, dowcipu, słowem samych zalet. Natomiast dość trudno mi się z nimi pracuje. Z mężczyznami czuję się bardziej na równej stopie. Wobec mężczyzn można być otwartym, bezpośrednim, powiedzieć im wszystko prosto z mostu, nie owijając niczego w bawełnę. Natomiast kobiety są bardziej delikatne i trzeba staranniej dobierać ton, słowa, co z kolei nie leży w mojej naturze. Dlatego chociaż podziwiam kobiety i sposób w jaki pracują, to jednak lepiej się czuję w towarzystwie mężczyzn.

— A przyjaźnie? Wspomnieliśmy o nich na początku naszej rozmowy, wówczas chodziło o przyjaźnie zdobyte w wyniku pańskiej działalności dziennikarskiej...

— Jestem w pewnym sensie domatorem, to znaczy poruszam się na trasie: dom — redakcja — dom, czasem z odskokiem na jakiś wyjazd. Wydaje mi się, że nie jestem postacią specjalnie barwną, wyżywam się w pisaniu i współredagowaniu gazety oraz w sprawach rodzinnych. Natomiast należę do tych ludzi, którzy bardzo pielęgnują stare przyjaźnie. I chociaż zbliżam się do pięćdziesiątki, mam przyjaciół, z którymi widuję się systematycznie przez 20, 30 i więcej lat. Dzielę ludzi generalnie na dwie kategorie: małe grono, które akceptuję, w którym się dobrze czuję, i w którym chętnie przebywam, oraz pozostałych, w stosunku do których jestem nieufny, zawieram mało znajomości, nie jestem zbyt otwarty, ciepły, przyjazny. Tak siebie widzę. Nie zbieram znaczków, monet, nie hoduję gołębi, nie zajmuję się wędkowaniem. Niegdyś dla własnych potrzeb ustaliłem hierarchię spraw, które uważam za najważniejsze w swoim życiu: To są trzy sprawy: dzieci, praca, dom.

— Dziękuję Panu za rozmowę.

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI

CYTRYN JUŻ NIE MA w sklepach, skończyły się również zapasy w hurtowniach. Przerwa w sprzedaży nie będzie jednak długa. Już obecnie hurtownie mają awizowane dwa wagony, a wkrótce potem — dalsze 30 ton tych owoców. Będą to — bardziej cenione przez konsumentów — cytryny greckie. Ich ilość prawie całkowicie wystarczy na pokrycie potrzeb miasta w marcu. Zapowiadane są w tym miesiącu również pomarańcze, ale statek, który wiezie je z Kuby jeszcze nie wpłynął do portu.

W SKLEPIE FIRMOWYM „WOŁCZANKI" można kupić obecnie — obok tradycyjnych, „garniturowych" koszul także bardziej kolorowe, poszukiwane przez panów do codziennego użytku koszule w pasy z tkaniny Zeus (mieszanka bawełniana, przypominająca flanelę). Wkrótce na półkach pojawią się również koszule z tkaniny kraciastej w nowych wzorach, a także — przygotowuje się do sprzedaży kolejną partię koszul dla panów o pozornie „nietypowych" wymiarach (np. 194 na 46). Takie „nietypowe" rozmiary, niezgodne z Polską Normą, a mimo to bardzo poszukiwane, rozchodzą się błyskawicznie i bywają do nabycia jedynie w sklepie Wólczanki przy ul. Piotrkowskiej w pobliżu placu Wolności.

ARTYKUŁÓW POŃCZOSZNICZYCH od dłuższego już czasu nie brakuje w sklepach, a jednak niedawno znalazł się tam „rarytas" powodujący ustawianie się kolejek — cienkie podkolanówki damskie. Być może jeszcze teraz uda się kupić je w mniej ruchliwych sklepach. Ich producentem jest łódzki „Feniks" — i chyba nic nie stoi na przeszkodzie, aby ten pończoszniczy potentat, nie mający kłopotów z produkcją, zapewnił ciągłość zaopatrzenia w ten bardzo poszukiwany przez kobiety towar. Na co dzień bowiem kupić można tylko podkolanówki z importu — użytkowo takie same, ale ponad trzykrotnie droższe.

NIE WSZYSCY KIEROWNICY sklepów spożywczych zauważyli, że ostra zima skończyła się już dawno i najwyższy czas zadbać o zaopatrzenie placówek nie tylko w podstawowe artykuły spożywcze. W niektórych sklepach brakuje jajek i makaronu. Klienci powinni domagać się energiczniej poprawy zaopatrzenia — bowiem oba te artykuły są w hurcie dostępne bez ograniczeń.

DUŻE ZAINTERESOWANIE wzbudzała niedawno ustawiona na chodniku przed KMPiK przy ul. Narutowicza ciężarówka, z której sprzedawano jabłka. Były to dorodne owoce gatunku McIntosh, opakowane w nylonowe siatki, po 45 zł za kilogram (a więc o wiele taniej niż gdzie indziej) przechowywane — jak głosił napis na samochodzie w kontrolowanej atmosferze. Pochodziły one z firmy „Hortex" w Przysusze. Konkurencja dla pobliskich właścicieli straganów i kiosków z owocami była tak duża, że zamknęli wcześniej swoje kramiki. Jak zapewnili przedstawiciele firmy — następne dostawy jabłek, sprzedawanych w ten nietradycyjny sposób, trafią jeszcze do Łodzi. Warto kupić większą ilość nie tylko ze względu na cenę, lecz i dlatego, że owoce przechowywane w ten sposób do późnej wiosny zachowują urodę i wszystkie wartości odżywcze.

KOLEJKI KUPUJĄCYCH — to zjawisko, do którego zdążyliśmy się niestety przyzwyczaić. Ale — są również kolejki chętnych do sprzedaży. Kto chce „na pociechę" zobaczyć taki nietypowy widok — niech wybierze się we wczesnych godzinach rannych na plac Barlickiego. Przyjeżdżający z mięsem rolnicy szturmują hale, a w kolejce dochodzi do awantur, bowiem nie dla wszystkich chętnych wystarcza miejsca na stoiskach. Proponujemy wprowadzić tu, wzorem sklepów, dwie kolejki: zwykłą i dla uprzywilejowanych, załatwianych w pierwszej kolejności, przy czym za uprzywilejowanych uważać tych rolników, którzy oferują niższe ceny.

BYŁ DOBRY SKLEP NABIAŁOWY — a teraz jest bałagan. Taki wniosek wypływa z listu, nadesłanego przez pana Czesława Z. (nazwisko i adres znane redakcji). Krytykuje on sklep — dawniej nabiałowy — przy ul. Piotrkowskiej 101, który po kolejnym remoncie zamienił się z dobrze zaopatrzonej placówki specjalistycznej w źle zaopatrzoną — ogólnospożywczą. Asortyment towarów nabiałowych jest tu niewielki, a wzbogacenie go o jeden gatunek pieczywa, kilka mrożonek i dżem — zgoła w tym rejonie miasta niepotrzebne. Na dodatek zmniejszono powierzchnię sklepu, urządzając w jednej jego części minibarek, przeznaczony do konsumpcji na miejscu. Nikt z tego nie korzysta, bowiem w sklepie nie ma lodów, jogurt — jeśli w ogóle jest, to najwyżej w jednym gatunku, brakuje również często pozostałych napoi mlecznych. Lepiej — uważa autor listu — aby placówka na powrót przekształciła się w dobrze zaopatrzony sklep nabiałowy z pełnym asortymentem towarów. Z uwagami czytelnika zgadzamy się całkowicie.

ATRAKCYJNE TOWARY na Dzień Kobiet przygotował „Central". Bogata będzie oferta zwłaszcza różnego rodzaju artykułów o charakterze mniej lub bardziej praktycznych upominków oraz kosmetyków, wśród nich bardzo poszukiwane dezodoranty, lakiery, mydła i inne kosmetyki węgierskie. Część z nich będą jednak mogły kupić tylko „wybrane" panie — bowiem sprzedawane będą na talony, kupowane z tej okazji kobietom przez zakłady pracy. W ubiegłym roku sprzedał ich „Central" na sumę ponad 60 mln zł.

AGATA

Ziemia musi rodzić bez nawozów sztucznych. Rolnik musi mieć wiedzę. Zaskakujące propozycje. **(1)**

Pozbyć się truciciela!

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Na początku ludzie brali co dawała im Matka Natura. Potem za jej cichą zgodą nauczyli się hodować zwierzęta i uprawiać rośliny. Ziemi było dosyć — wypalano kawał lasu, oczyszczano, siano i zbierano. Tak mijały wieki. Ale ludzi było coraz więcej, a lasu coraz mniej. Zaczęto więc pomagać ziemi, aby mogła rodzić dłużej. I znów mijały wieki, ludzi przybywało... Aż powoli pomoc zamieniła się w przemoc. Ziemia jęknęła z wysiłku. Nie chciano jednak tego słuchać, nie chciano zrozumieć. Zamiast zrozumienia dano jej narkotyk — syntetyczny nawóz. Poskutkowało, lecz na krótko. No to dano jeszcze raz i jeszcze raz stale zwiększając dawkę. Ziemia zaczęła popadać w uzależnienie, marnieć, chudnąć i dziś bez białego proszku nie rodzi już tyle, aby człowiek był zadowolony. Ale czy to znaczy, że już nie potrafi?

Sabina Tarka, absolwentka Państwowego Technikum Rolniczo-Łąkarskiego w Sędziejowicach pracująca w Urzędzie Gminy w Wierzchlanosa z chałupy. Słowem, powinniśmy się wreszcie nauczyć, jak gospodarować mądrze i nowocześnie.

Jak nasze rolnictwo może być zdrowe — mówią z kolei ekolodzy — jeśli znaczna część pól i łąk ustawicznie zatruwana jest przez pyły i gazy emitowane z kominów fabryk, a na niektórych obszarach tak zwanego zagrożenia ekologicznego powinno się właściwie zupełnie zrezygnować z produkcji rolnej? Ale nie tylko powietrze jest zanieczyszczone, także — wody i gleba. Przy tym nie bez winy są tu także rolnicy. Weźmy chociażby sprawę nawożenia. Powinno być ono ściśle uzależnione od wielu różnych czynników, takich jak: rodzaj i skład gleby, jej aktualne i przewidywane wykorzystanie, czas a nawet panujące warunki atmosferyczne. Ale to tylko teoria. Na co dzień rzadko kto bierze to wszystko pod uwagę. Zwykle bowiem dokonuje się nawożenia — i naturalnego — obornikiem — i sztucznego — na wyczucie, na oko, czyli w ciemno, bez żadnego rozeznania. No bo kto by mierzył najpierw na przykład stopień

GOSPODARSTWO ROLNE BEZ ŻADNEJ CHEMII

i bardzo sobie chwali. Zdumiona pani Sabina natychmiast pobiegła do męża, aby podzielić się z nim tą niezwykłą wiadomością. Był nie mniej zaskoczony od żony, bo przecież ani w sędziejowickim technikum, ani później w Akademii Rolniczej w Szczecinie, nie spotkał się nigdy z podobnym poglądem.

Kilka miesięcy później w „Zarzewiu" ukazała się informacja, że w Warszawie organizowany jest kurs rolnictwa biodynamicznego. Wycięli z gazety karty zgłoszeń i czym prędzej wysłali. Ciekawość wzięła górę nad zdobytą dotychczas wiedzą, zdawałoby się, ugruntowanymi poglądami, nad zwątpieniem. Chcieli koniecznie poznać tajemnicę Juliana Osetka — obojętnie jaka by ona była.

To się nazywa otwartość umysłu i cechuje przede wszystkim ludzi młodych, śmiałych, nie uwikłanych jeszcze w rozmaite zależności. I z myślą o takich właśnie Komisja Ekologiczna Zarządu Głównego Związku Młodzieży Wiejskiej zorganizowała ów kurs.

Kurs był bezpłatny i zgromadził około stu osób. Jak na cały kraj — mało, jak na początek — dużo. Prowadzili go wykładowcy wyższych uczelni — znawcy i propagatorzy rolnictwa ekologicznego, a także: Julian Osetek i Christian von Wistinghausen — ekspert zachodnioniemieckiej organizacji producentów zdrowej żywności „Demeter".

Michał Tarka, który do Warszawy ostatecznie pojechał sam, słuchał, słuchał, słuchał, nie mogąc uwierzyć, że choć uczył się rolnictwa tyle lat, tak jednostronne miał o nim pojęcie i tak długo nie zdawał sobie sprawy, czym może ono być, a nawet — czym być powinno. Kiedy po tygodniu wrócił do domu na podwieluńską wieś, czuł się tak, jakby przyjechał z zupełnie innego świata. Był oszołomiony, rozdarty wewnętrznie, rozbity. Przeżył prawdziwy szok, po którym trudno mu się było teraz pozbierać. Musiał sobie to wszystko spokojnie przemyśleć, przeanalizować, uporządkować. A gdy się z tym już wreszcie uporał, powzięli z żoną życiową decyzję: będą produkować zdrową żywność, koniec z chemią, przechodzą na rolnictwo biodynamiczne.

Prawdę mówiąc, idea ekologizacji rolnictwa zawsze była im bliska i przemawiała do rozsądku, choć dosyć mgliste mieli przedtem o niej pojęcie. Teraz słowa te z wolna zaczynały nabrzmiewać dla nich treścią, nabierać realnego znaczenia. Okazało się bowiem, że rolnictwo ekologiczne pozostające w zgodzie z prawami Matki Natury, której jak każdej matce należy się szacunek, a z drugiej strony zaspokajające potrzeby gatunku ludzkiego, nie musi być wcale mrzonką, czy naiwnym rojeniem, a może być realnym faktem. Trzeba tylko wiedzieć, jak je urzeczywistnić. No, i trzeba tego jeszcze chcieć.

NASZE ROLNICTWO JEST CHORE

— mówią rolnicy — bo miasto za mało daje wsi nawozów, pestycydów, ciągników i innych maszyn. Żywność bierze, a jakże, lecz w zamian często nie oferuje nic. Dlatego jesteśmy tak daleko w tyle za czołowymi producentami żywności. Polska wieś jest po prostu niedoinwestowana. I tu właśnie tkwi błąd.

Nasze rolnictwo jest chore — mówią ekonomiści — ale nie tylko z powodu niedoinwestowania. Niekorzystnym zjawiskiem jest także zbytnie rozdrobnienie gruntów, co nie sprzyja na ogół zwiększaniu produkcji tak roślinnej, jak i zwierzęcej. Ciągle za mało mamy też gospodarstw specjalistycznych.

Nasze rolnictwo jest chore — mówią pracownicy służb agrotechnicznych — bo zbyt wielu rolników nie posiada odpowiedniego przygotowania zawodowego. Owszem, mają doświadczenie, kochają swoją pracę, ale przecież nie można dziś gospodarować podobnie jak nasi ojcowie i dziadowie. Dziś oprócz tradycji i doświadczenia potrzebna jest również rozległa wiedza, której nie sposób posiąść nie wychylając

zakwaszenia gleby? Efekt jest taki, że oddziaływanie nawozów dalekie bywa od pełnych możliwości i oczekiwań. Szacuje się, że średnio co najmniej połowa wysiewanych w Polsce nawozów azotowych idzie na marne, a więc zamiast pomagać, szkodzi, zatruwając ziemię i wody gruntowe. Podobnie dzieje się z innymi produktami przemysłu chemicznego a nawet z obornikiem wywiezionym w pole w niewłaściwej postaci i w niewłaściwym czasie.

Na zatrutych polach rosną zatrute zboża, warzywa i owoce, które wszyscy spożywamy. Na zatrutych łąkach pasą się krowy, dając zatrute mleko. Potem to mleko każemy pić naszym dzieciom, żeby były... zdrowe.

Często słyszy się: wiemy o tym dobrze, ale nie ma przecież innego wyjścia. A wyjście istnieje; jest nim konsekwentna, rzeczywista ochrona środowiska przyrodniczego oraz — rolnictwo ekologiczne cieszące się na świecie coraz większym uznaniem i powodzeniem. U nas dopiero raczkuje. Ale musi przyjść taki czas, kiedy wreszcie stanie na nogi i ruszy w przyszłość o własnych siłach.

Chemię do rolnictwa wprowadzili Niemcy. To przecież Justus von Liebig 150 lat temu sformułował i udowodnił teorię mineralnego odżywiania się roślin. Od tego też momentu zaczęła się oszołamiająca, acz złudna kariera nawozów sztucznych. Ale cóż sami Niemcy już na początku XX wieku zauważyli, że

PRZYRODA NIEZBYT LUBI CHEMIKÓW

i to, co dla niej przygotowują w swoich fabrykach. Wymyślili więc rolnictwo ekologiczne, które przyrodzie miało nie wyrządzać szkód, zaś człowiekowi — dawać zdrową żywność i to we wcale nie mniejszych ilościach.

Wkrótce ideę tę podchwycili inni. Próbowano różnych metod, by osiągnąć założony cel z różnymi — przyznajmy od razu — rezultatami. Dziś największą chyba popularnością cieszy się rolnictwo nazywane biodynamicznym. Góruje nad pozostałymi wydajnością, konsekwencją swych zasad i tym, że nie pomija żadnego z elementów procesu wytwarzania żywności. Niektórzy określają je nawet jako **„pomysł na życie... (...) w zgodzie z przyrodą i naturą człowieka".** Bo rolnictwo biodynamiczne to nie tylko bezduszna technologia produkcji, ale również — swoisty sposób widzenia i pojmowania otaczającej nas rzeczywistości.

To prawda, że nie wszystko zostało już wyjaśnione i nie zawsze wiemy, dlaczego coś dzieje się właśnie tak, a nie inaczej. Mechanizmów funkcjonowania mózgu ludzkiego też nie znamy jeszcze do końca. Ale czy to znaczy, że takim mózgiem nie należy się posługiwać?!

Długie lata doświadczeń pionierów rolnictwa biodynamicznego przetarły szlak, którym podążają dziś w wielu krajach świata coraz liczniejsze rzesze producentów zdrowej żywności. Nie jest to droga łatwa ani wygodna — przynajmniej na początku. I trzeba być mądrze przygotowanym na jej trudy, bo idzie się długo, mozolnie, krok po kroku. Nie wolno z niej zbaczać, gdyż boczne ścieżki prowadzą na powrót do punktu wyjścia lub donikąd. Straci się więc niepotrzebnie cenny czas. Ale nie można też iść ślepo dokładnie po czyichś śladach. To także błąd. Sposób poruszania się i tempo marszu należy bowiem dostosować do posiadanych możliwości, sił i środków. A te przecież bywają różne jak różne są krajobrazy, i długo by szukać dwóch takich samych.

Porównanie to nie jest tu przypadkowe, ponieważ w gospodarstwie biodynamicznym i pośrednie znaczenie ma właśnie... krajobraz. Żarty? Tylko z pozoru. Raczej powszechna ignorancja zależności pomiędzy ukształtowaniem terenu a charakterem produkcji oraz wielkością plonów. Oto na przykład wzdłuż pola rośnie las lub przynajmniej wąski pas drzew i krzewów. Co z tego wynika? Dla laika — absolutnie nic. Dla fachowca — choćby to, że na owym polu wilgotność gleby jest na ogół większa niż na niczym nie osłoniętym, że wiatry powodują mniej szkód, mniejsze są wahania temperatury i mniej dni w roku z przymrozkami. Bliskość lasu to również więcej ptaków i innych zwierząt żywiących się między innymi szkodnikami roślin uprawnych.

Na Wyspach Brytyjskich zauważono to i doceniono już przed setkami lat, oddzielając często od siebie pola żywopłotami. Na polską ziemię zwyczaj ten usiłował ongiś przeszczepić generał Dezydery Chłapowski, adiutant Napoleona, gospodarujący w Turwii po zakończeniu swej burzliwej kariery wojskowej. Nie znalazł jednak zbyt dużo naśladowców — zwłaszcza poza Wielkopolską. Twórcy rolnictwa biodynamicznego nie odkryli więc wcale „Ameryki", a jedynie zwrócili uwagę na to, co od dawna znane, choć jakże często zapomniane.

Podobnie z innymi zaleceniami takimi, jak choćby określenie optymalnej wielkości gospodarstwa rolnego zależnie od stanu środowiska i możliwości terminowego wykonywania w nim wszystkich prac. Słowem, nie mierz sił na zamiary, a zamiary podług sił. Gospodarstwo zbyt małe, to małe efekty i mały zysk; zbyt duże — niewykorzystywanie w stu procentach potencjalnych możliwości, a więc też w pewnym stopniu strata. Albo: przestrzeganie właściwego zmianowania i sąsiedztwa roślin. Nie od dziś wiadomo, iż nie jest obojętne, co rośnie po czym na polu i obok czego. Strączkowe nie najlepiej plonują przy, powiedzmy, cebuli, za to marchwi i pomidorom cebula nie przeszkadza. Pietruszka nie powinna rosnąć w pobliżu sałaty lub kapusty, i tak dalej. Istnieją nawet specjalne tabele, z których można się dowiedzieć, jakie rośliny oddziaływują na siebie dodatnio, a jakie ujemnie. (Który z polskich rolników z nich korzysta?!) Niezwykle ważne jest także, aby na polu przez cały czas coś rosło, czyli — stosowanie tak zwanych międzyplonów. Ziemia leżąca odłogiem jałowieje, traci na wartości.

NATURA NIE WYMYŚLIŁA NAWOZÓW SZTUCZNYCH,

ani pestycydów. Wymyślił je człowiek dla własnej wygody i — jak się szybko okazało — przeciw Naturze. W rolnictwie biodynamicznym nie ma więc dla nich miejsca. Nie dlatego jednak, że jakiś „zwarłowany" ekolog-teoretyk powiedział kiedyś: „nie wolno" — dla zasady — wbrew logice i rachunkowi ekonomicznemu. Bynajmniej. W rolnictwie biodynamicznym nie tyle obowiązuje jakiś ścisły zakaz stosowania nawozów sztucznych, co raczej... nie ma takiej potrzeby. Po prostu — chemia jest tu zbędna. I choć może trudno uwierzyć, bez niej także daje się dziś osiągać tak w uprawie, jak i w hodowli bardzo dobre rezultaty. Fakty świadczą niezbicie, że plony zbóż w prawidłowo prowadzonych gospodarstwach biodynamicznych są porównywalne z tymi, jakie osiąga przeciętnie rolnictwo, nazwijmy je, konwencjonalne. Plony warzyw są na ogół większe — nieraz nawet dwukrotnie. Nieco gorzej tylko udają się okopowe.

— Więc jednak jest jakiś słaby punkt — podchwytują to natychmiast tradycjonaliści. Ich racja jest jednak wątpliwa. Jeśli bowiem wziąć pod uwagę fakt, iż na przykład ziemniaki, które nie dostały ani grama żadnego białego proszku i nie były spryskiwane chemicznymi środkami owadobójczymi, przechowują się znacznie lepiej i dłużej od tych, które na co dzień obecnie spożywamy, to w gruncie rzeczy końcowy efekt będzie taki sam. Chemia poprawia wprawdzie wydajność z hektara w przypadku okopowych, ale też niszczy potem część zebranych płodów. Nierzadko bywa — zwłaszcza u nas — że jest to aż jedna czwarta. Rolnictwo biodynamiczne nie zna tego problemu, gdyż straty w procesie przechowywania są minimalne, więc — kolejny plus.

Kiedy zebrać te wszystkie plusy razem, musi zrodzić się refleksja: dlaczego jeśli może być tak dobrze, jest tak źle? Zasadnicze w tej sprawie pytanie. Najbliższy prawdy jest chyba prof. Czesław Opaliński z Akademii Rolniczej we Wrocławiu mówiący, że „rolnictwo przemysłowo-towarowe stało się w większości krajów powszechnym biznesem, którego głównym celem jest zarabianie pieniędzy, a produkcja żywności schodzi na drugi plan". I ma niewątpliwie rację, bo przecież pieniądz nie śmierdzi, a skażona środkami chemicznymi żywność — zdarza się, że — tak. Chociaż stosowaniem nawozów syntetycznych najbardziej zainteresowani są ich producenci, gdyż dla nich jest to niemalże sprawa życia i śmierci, to sami rolnicy chętnie optują za coraz większą chemizacją, bo tak jest dla nich prościej, łatwiej, wygodniej. Czy nie zdają sobie przy tym sprawy, że produkują i sprzedają zatruty towar? Ależ wiedzą o tym doskonale. I dlatego często dzielą swoją ziemię na dwie nierówne części. Na mniejszej wszystko rośnie bez nawozów sztucznych, zazwyczaj tylko na oborniku. To dla państwa — mówią i pokazują na siebie. Na tej większej też rośnie dla państwa, czyli na sprzedaż. I tam już sypie się tyle, ile się da. Bo wciąż jeszcze pokutuje przekonanie, że im więcej chemii, tym lepiej. Złudne przekonanie! Tak samo zresztą złudne jak to, że owa mniejsza część da naprawdę zdrową żywność.

Jest to możliwe jedynie wtedy, gdy na każdym etapie produkcji rolnej wyeliminuje się chemię: nawozy, środki owado- i chwastobójcze, a także antybiotyki i inne preparaty przyspieszające tucz zwierząt. Bo cóż z tego, że rolnik dla siebie nawiezie pole samym obornikiem, skoro nie jest on odpowiednio przygotowany, a w dodatku zawiera różne specyfiki, którymi karmił swoje bydło, trzodę chlewną czy drób. Efekt będzie co najwyżej połowiczny. W przyrodzie dwulicowość nie popłaca. Potrzebna jest konsekwencja, nieraz nawet — zdawałoby się — aż do przesady.

W gospodarstwie biodynamicznym od konsekwencji działania zależy wszystko. Trzeba więc nie tylko odrzucić całą chemię, ale też nieustannie pilnować, by nie przedostała się doń tylnymi drzwiami. Skuteczną tego gwarancją może być zamknięty w miarę możliwości obieg materii organicznej. Innymi słowy: własny naturalny nawóz, własne pasze dla zwierząt, najlepiej własne nasiona. Ale i tego jeszcze mało. Kolejnym niezbędnym warunkiem powodzenia jest wykonywanie wszystkich prac polowych w ściśle określonych terminach. Co do dnia, nieraz co do godziny.

(dokończenie w następnym numerze)

Decyzje zapadły, ale przeciwnicy lokalizacji „Polonitu" na Dąbrowie nie złożyli broni.

Azbest w mieście

EWA LACHOWSKA

Już po raz trzeci dane mi na łamach „Odgłosów" zajmować się, w tej chwili chyba słynną, sprawą łódzkiego „Polonitu". Przypomnijmy. „Polonit" (Zakłady Uszczelnień i Wyrobów Azbestowych) istnieje w Łodzi blisko sto lat. Jego produkcja jest niezbędna dla gospodarki narodowej. Podstawowym surowcem wykorzystywanym w procesie technologicznym jest azbest. Minerał, kopalina posiadająca szczególnie unikalne właściwości. Praktycznie w niektórych wyrobach nie do zastąpienia. Ale ma jeden mankament. Jest rakotwórczy. Tymczasem „Polonit", nie z własnej winy, stał się bardzo bliskim i — zdaniem mieszkańców — uciążliwym sąsiadem bloków nowo zbudowanego osiedla przy ul. Piekarskiej. W wyniku długich starań o nową lokalizację Oddziału „B" Zakładów Uszczelnień i Wyrobów Azbestowych podjęto decyzję o przeniesieniu do dzielnicy przemysłowej Dąbrowa. Władze miasta podpisały umowę z ministrem przemysłu chemicznego i lekkiego o podziale inwestycji Zakładów Przemysłu Filcowego i przekazaniu jej części „Polonitowi". Lokalizacja ta została zaakceptowana przez Wydział Ochrony Środowiska, Gospodarki Wodnej i Geologii UML i „Sanepid". W sprawie budowy „Polonitu" na Dąbrowie pozytywnie wypowiedziało się także Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej.

Ale wówczas

POSYPAŁY SIĘ PROTESTY

dąbrowskich zakładów pracy, samorządów mieszkańców, działkowiczów. O wyjaśnienia poprosiła także Dzielnicowa Rada Narodowa Łódź — Górna, która uważa, że decyzja była podjęta nieprawidłowo ze względu na brak konsultacji z radą narodową szczebla podstawowego. Interpretacja prawna okazała się korzystna dla radnych Górnej. Urzędową akceptację lokalizacji „Polonitu" na Dąbrowie wstrzymano. Jej dalsze losy leżały od tej chwili w rękach radnych.

Dopiero 6 października 1986 r., po długich rozmowach i konsultacjach, odbyła się sesja Dzielnicowej Rady Narodowej Łódź — Górna poświęcona lokalizacji Zakładów Uszczelnień i Wyrobów Azbestowych „Polonit" na Dąbrowie. Radni, przed podjęciem decyzji, przeprowadzili bezpośrednią lustrację zarówno Oddziału „B" na ul. Piekarskiej, jak i wstrzymanej inwestycji Zakładów Filcowych. Odwiedziny te pozwoliły poznać trudne warunki, w jakich pracuje załoga „Polonitu", a jednocześnie ocenić stopień niszczenia pustych hal „Filców". Następnie, po zapoznaniu się z negatywnymi opiniami samorządu mieszkańców, załóg pracowniczych przyszłych sąsiadów „Polonitu" i Koła Ligi Ochrony Przyrody przy „Dywilanie" oraz propozycją XXII Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej PZPR Łódź — Górna (chodziło o przekazanie niszczejącej inwestycji Zakładom Przemysłu Bawełnianego im. Feliksa Dzierżyńskiego „Eskimo") radni pozytywnie zaopiniowali wniosek prezydenta w sprawie lokalizacji „Polonitu" na Dąbrowie.

DRN uchwaliła też decyzję o tym, że każdy kto będzie inwestował na Górnej, będzie musiał partycypować w kosztach rozwoju dzielnicowej infrastruktury. Również zobowiązała naczelnika dzielnicy m.in.: do nakładania i egzekwowania zobowiązań finansowych na rzecz budżetu dzielnicy od każdego inwestora nowo lokalizowanego zakładu w rejonie Dąbrowy Przemysłowej oraz do przedkładania DRN i zainteresowanym komisjom stałym sprawozdań dotyczących wyników pomiarów stężeń pyłów i innych zanieczyszczeń środowiska naturalnego dzielnicy. W przypadku naruszenia norm zobowiązano naczelnika do podjęcia kroków eliminujących zagrożenie (aż do zatrzymania pracy takiego zakładu).

ALE PRACOWNICY I MIESZKAŃCY GÓRNEJ POWIEDZIELI: — NIE!

16 października 1986 r., a więc w dziesięć dni po decyzji radnych Górnej, Rada Osiedla „Dąbrowa" Spółdzielni Mieszkaniowej „Zarzew" z uprawnieniami Komitetu Osiedlowego nr 11 skierowała do przewodniczącego Dzielnicowej Rady Narodowej Łódź — Górna protest w sprawie zlokalizowania Zakładów Uszczelnień i Wyrobów Azbestowych „Polonit" w pomieszczeniach Zakładów Wyrobów Filcowych na ul. Dąbrowskiego. W swoim piśmie samorząd jeszcze raz zwrócił uwagę na bliskie sąsiedztwo osiedli mieszkaniowych (Dąbrowa, Widzew-Wschód, a także budujące się Janów-Olechów), ogródków działkowych i ośrodka rekreacyjnego „Młynek". Podkreślił też fakt, iż żadne zabezpieczenia nie są w stanie całkowicie wykluczyć emisji szkodliwych substancji do atmosfery w przypadku awarii urządzeń zabezpieczających.

W proteście m.in. czytamy: *„Zaiste dziwnym jest, iż skoro Zakłady „Polonit" posiadają znakomitą aparaturę zabezpieczającą przed wydzielaniem szkodliwych substancji, to czemu tej aparatury nie zainstalowały w pomieszczeniach posiadanych dotychczas, co zlikwidowałoby konieczność ich przeniesienia".*

Mieszkańcy Dąbrowy dobrze pamiętają kilkunastoletnią walkę o likwidację „Anilany". Z ich strony padają pytania i zarzuty.

Skoro Dąbrowa miała być dzielnicą przemysłową, to po co budowano tu osiedle mieszkaniowe? Jeśli zaś mówi się, że liczy się opinia mieszkańców; jeśli mówi się, że Rada Osiedla ma istotne władztwo w wypowiadaniu się w sprawach dotyczących tego osiedla, to dlaczego podejmuje się decyzje wbrew jej opinii?

Ludzie są zawiedzeni. Przestają powoli wierzyć, że samorząd coś może. Rada Osiedla boi się, że w ten sposób zaprzepaszcza się społecznikowskie podejście mieszkańców do spraw ich osiedla. Takimi pociągnięciami podważa się zaufanie ludzi do samorządu. Dlaczego w tej sprawie patrzy się tak krótkowzrocznie? Przecież w niedalekiej przyszłości powstaną obok nowe osiedla mieszkaniowe. I tak za 10 czy 15 lat „Polonit" znajdzie się znów w centrum, tak jak to ma miejsce w tej chwili na Bałutach.

„My biegniemy myślą do przodu. Żeby za 10 czy 20 lat młodzi ludzie nie powiedzieli nam, o czym wyście wówczas debatowali? Dlaczegoście pewnych spraw nie przewidzieli?"

27 października 1986 roku w sprawie podjęcia decyzji o lokalizacji „Polonitu" na Dąbrowie skierowano pismo do Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych. Podpisały je Niezależne Samorządne Związki Zawodowe Pracowników Fabryki Dywanów „Dywilan", Zakładów Przemysłu Dziewiarskiego „Bistona", Przędzalni Czesankowej „Polanii", Przedsiębiorstwa Modernizacji Przemysłu Maszynowego „Techma-Łódź", Łódzkich Zakładów Termotechnicznych „Techma-Metal", Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji Okręgu Łódzkiego, Rada Osiedla „Dąbrowa" z uprawnieniami Komitetu Osiedlowego nr 11, Zarząd Wojewódzki Ligi Ochrony Przyrody, Polski Związek Działkowców — Zarząd Pracowniczego Ogrodu Działkowego „Dąbrowa". W obszernym piśmie zakwestionowano słuszność podjętej decyzji, jak również zarzucono przewodniczącemu DRN tendencyjne prowadzenie sesji, rozpatrującej tę sprawę. Zdaniem protestujących, na taką a nie inną decyzję radnych wpłynęła obietnica partycypacji „Polonitu" w kosztach budowy przemysłowej przychodni zdrowia w zamian za zgodę na lokalizację.

W piśmie wyrażono zdumienie, iż radni powiedzieli *„tak"*, pomimo negatywnych opinii trzech komisji tejże Dzielnicowej Rady Narodowej tj.: Zdrowia i Opieki Społecznej, Gospodarki Komunalnej i Ochrony Środowiska, a także Rozwoju i Planowania Przestrzennego.

Czytamy w nim m.in.:

„Uchwała sesji Dzielnicowej Rady Narodowej pozostaje w jaskrawej sprzeczności z opinią społeczną ludzi pracy, którzy zmuszeni są żyć i pracować na terenie i tak skażonym, jakim jest miasto Łódź. Nadmienić należy, iż nastroje społeczne podziela dzielnicowa instancja PZPR, zawierając w uchwale XXII Konferencji sprzeciw przeciwko lokalizacji fabryki azbestu na tym terenie. Równocześnie I sekretarz PZPR zaproponował ulokowanie w tym miejscu jednego z oddziałów Zakładów Dzierżyńskiego. Była to propozycja ze wszech miar słuszna, spełniająca oczekiwania społeczne oraz interes gospodarki narodowej".

PROTEST POPARŁA LIGA OCHRONY PRZYRODY

W Zarządzie Wojewódzkim LOP w Łodzi powiedziano mi, że w sprawie „Polonitu" nie złożono broni mimo, iż zapadły już decyzje pozytywnie opiniujące lokalizację zakładów azbestowych na Dąbrowie. Ochroniarze poparli protesty załóg pracowniczych i samorządu Dobrowy. Najbardziej przykrym dla nich faktem było to, że decyzja DRN Łódź — Górna zapadła w czasie obrad XXII Krajowego Zjazdu Ligi Ochrony Przyrody.

„— Świadczy to o niezrozumieniu spraw związanych z ochroną środowiska, jakimś drastycznym niedoczuleniu — mówi prezes Jerzy Jankowski. — Kiedy na pierwszej stronie „Dziennika Łódzkiego" pisano o naszym zjeździe, o przesłaniu I sekretarza KC PZPR gen. Wojciecha Jaruzelskiego, podnoszącym naszą rangę społeczną, namawiającym do działań na rzecz ochrony środowiska, na ostatniej stronie podano decyzję w sprawie lokalizacji „Polonitu". Jak można mówić: działajcie, jesteście potrzebni, a jednocześnie podejmować taką decyzję wbrew opinii naszej Ligii".

Ochroniarze uważają, że produkcja azbestu powinna być wycofana z Łodzi na obszary mniej zaludnione. Natomiast nie wykorzystane budynki Zakładów Filcowych należy bardzo szybko przeznaczyć dla zakładów o innym profilu produkcji, nieszkodliwym w takim stopniu dla zdrowia jak azbest.

„Trzeba nareszcie być konsekwentnym. Niech prawo będzie wreszcie prawem, a nie są stale jakieś wyjątki od tego prawa, które de facto działają przeciwko człowiekowi. Wyrażam obawy, czy dotychczasowe wyliczenia i normatywy oraz opinie, którymi kierowały się wydziały UML są wystarczające, aby z całą pewnością można było twierdzić, iż zagrożenie po zmianie lokalizacji „Polonitu", odnośnie ochrony środowiska i zdrowia ludzkiego, nie ulegnie zwiększeniu. I stąd nasza propozycja szerszego zasięgnięcia opinii fachowców ochrony ekologicznej środowiska z różnych dziedzin (Politechnika Łódzka, Towarzystwo Urbanistów Polskich, Towarzystwo Przyrodników im. M. Kopernika i inni) celem uzyskania niezbitej pewności co do słuszności dotychczasowych wyliczeń i ustaleń. Oby nie było za późno".

„NIE TAKI DIABEŁ STRASZNY"

— mówią w „Polonicie". Przedsiębiorstwo od lat uparcie walczy o poprawę warunków pracy załogi. Dużą szansą okazały się stojące puste hale Zakładów Filcowych. Przenosiny właśnie tam zaoszczędzą sporo nakładów, jakie byłyby niezbędne w przypadku zakładu odtworzeniowego budowanego od podstaw. Tymczasem na Dąbrowie jest już uzbrojenie i budynki. Pozwoli to zamknąć nakłady inwestycyjne prawdopodobnie w kwocie 1,5 miliarda złotych. „Polonit" prowadzi dwutorowe działania zabezpieczające przed szkodliwym oddziaływaniem azbestu, zwłaszcza w produkcji Oddziału „B", który to właśnie ma przenieść się na ul. Dąbrowskiego.

Po pierwsze — w projekcie budowy zostały uwzględnione zwiększone wymagania stawiane przez organy państwowe czuwające nad czystością środowiska naturalnego. Zastosowano więc w przygotowanym projekcie wszystkie dostępne krajowe i zagraniczne rozwiązania zabezpieczające. Do ujmowania pyłu przewidziano dwustopniowe systemy zabezpieczenia, zapewniające automatyczne wstrzymanie produkcji w przypadku awarii. Montaż tychże urządzeń przewidywany jest w pierwszym etapie realizacji inwestycji i podniesie koszt całego przedsięwzięcia aż o 20 procent.

Po drugie — „Polonit", ściśle współpracując z naukowcami, dąży do ograniczenia obecności azbestu w swoich wyrobach. Przykładem tego jest chociażby obniżenie w granicach 50—80 procent obecności azbestu w okładzinach hamulcowych. Wyposażone w takie próbne okładziny łódzkie autobusy MPK przejechały 50 tys. km. W swoim czasie szeroko pisała o tym łódzka prasa. Natomiast prowadzone obecnie prace badawcze idą w tym kierunku, ażeby Oddział „B" w chwili swoich przenosin, z ul. Piekarskiej na Dąbrowę, miał już opracowaną technologię wyrobów całkowicie bezazbestowych.

15 grudnia 1986 roku wniosek prezydenta Miasta Łodzi w sprawie lokalizacji ZUiWA „POLONIT" na Dąbrowie pozytywnie zaopiniowała także Wojewódzka Rada Narodowa. W związku z tym naczelny architekt miasta wydał zezwolenie na rozpoczęcie inwestycji „Polonitu". Dokumentacja techniczna jest już na ukończeniu. Trwają końcowe rozmowy z wykonawcami i podwykonawcami. Głównymi mają być: Łódzkie Przedsiębiorstwo Budowlane Przemysłu Lekkiego — Północ oraz Łódzkie Zakłady Remontowo-Montażowe. Wejście na teren budowy nastąpi najprawdopodobniej pod koniec I kwartału 1987 r. (marzec-kwiecień). Przenosiny Oddziału „B" z ulicy Piekarskiej na Dąbrowę przewidziane są na rok 1990. Tak więc zapadły ostateczne decyzje. Te wcielane są powoli w życie. Przeciwnicy tych decyzji jeszcze nie złożyli broni. Wciąż szukają sojuszników i dróg do wygranej. Wierzą w słuszność swoich racji; wierzą, że w końcu musi zwyciężyć zdrowie człowieka, a nie rachunek ekonomiczny.

Rys. Stanisław Gratkowski

Mówi: Marek Kotański

— Skąd ma pan tego jednego dolara?

— No, wie pan, pracowałem wielokrotnie na Zachodzie i zarabiałem niekiedy w dolarach. Np. ścinałem kiedyś kapustę w Szwecji.

— I tego jednego dolara miał pan wciąż przy sobie...

— Tak. Również parę dolarów dostałem od ojca, który wyjeżdżał często na Zachód i wydawał swoje artykuły w Japonii.

— Nie wszyscy pracowali przy zbiorze kapusty na Zachodzie i nie wszyscy mają takiego tatę. Dlaczego nie w złotówkach?

— Dlatego, że za złotówki nie kupimy testów na AIDS. Ja bardzo szanuję złotówki. Potrzebne są nam jednak dolary, by uratować tych, którzy potrzebują przetoczenia krwi. Chciałbym by mieli oni pewność, że będzie to krew czysta. Pragnąłbym również, by ludzie, którzy się boją, iż są zarażeni, mogli się przebadać i uzyskać świadomość czy są chorzy, czy też nie.

— Może coś więcej o tych testach...

— Nie jestem specjalistą od AIDS. Mogę powiedzieć tylko tyle, że są to testy, które służą do wykrycia wirusa AIDS w krwi badanego.

— Ile kosztują?

— 10 dolarów jeden zestaw dla jednego pacjenta. Dawców krwi jest w tej chwili w Polsce około miliona. 10 milionów dolarów potrzebujemy więc natychmiast po to, by przebadać tylko tę grupę ludzi. Musimy przebadać też i innych ludzi z tzw. grup ryzyka AIDS. Np. 300—400 tys. początkujących i zaawansowanych narkomanów. Posługują się oni często strzykawkami, które w warunkach niepełnej sterylizacji mogą przyczynić się do rozprzestrzeniania wirusa. Należałoby przebadać wszystkich tych, którzy wrócili z zagranicy i też mogli mieć kontakt z wirusem. Trzeba poddać testom ludzi z hemofilią oraz osoby uprawiające nierząd...

— To wszystko jest logiczne, ale mimo to tysiące ludzi jest pana pomysłem oburzonych...

— To świetnie, ale chciałbym poinformować, że prymas Józef Glemp dał mi ostatnio 100 dolarów i powiedział, że myśli, iż wielu ludzi też wpłaci. Sądzę podobnie.

— Przekonał więc pan prymasa Glempa, a innych?

— Innych będę przekonywał.

— Oburzenie powstaje stąd, że zbiera pan pieniądze, w dodatku dolary, na coś co w odczuciu społeczeństwa jest mniej potrzebne niż rozwiązanie innych palących problemów.

— Ja zaś myślę, że ludzie są po prostu niedoinformowani. Ostatnio tygodnik „Spiegel" stwierdził, że według szacunków do 1990 roku umrze na świecie 100 milionów chorych na AIDS. Nie chciałbym, by z tego samego powodu umierali w naszym kraju ludzie i nie chciałbym się spóźnić ze stosownymi działaniami. Ponieważ jednak te działania mogą być oparte tylko o dolary, zaapelowałem więc o nie, zdając sobie w pełni sprawę z tego, że uderzam w bardzo drażliwy temat. Mimo to liczę bardzo na Polaków. Ja w nich wierzę.

— Nie wszyscy posiadają obcą walutę, a chcieliby wesprzeć pana akcję. Co mają zrobić? Kupować od cinkciarzy? To jest nawoływanie do przestępstwa.

— Nie, od cinkciarzy niech nie kupują. Myślę, że chyba stoimy wobec sytuacji, w której trzeba będzie założyć konto złotówkowe dla tych ludzi. Wpłaciliby oni równowartość jednego dolara w złotówkach po czarnorynkowej cenie w granicach 800—900 zł. Niechętnie o tym mówię, ponieważ naprawdę potrzebne są tylko dolary — około 10 milionów natychmiast. W sumie powinniśmy ich zebrać więcej — do 20 milionów dolarów.

— Przy tej jednak okazji powstało wrażenie u części społeczeństwa, że pan rzucając się na coraz to nowe akcje — Monar, zakaz uprawy maku, ruch czystych serc, szalety — nie realizuje niczego gruntownie do końca. W zasadzie chodzi panu bardziej o rozgłos przy każdej sprawie niż o coś innego. Jak to jest naprawdę?

— Muszę stanowczo powiedzieć, że pewne rzeczy realizuję i będę realizował do końca. Monar, ruch czystych serc i szalety są tylko wstępnymi działaniami, które zapoczątkowują dalsze procesy. Monar ciągle się rozwija. W świadomości wielu ludzi powstała także potrzeba bycia czystym. Z moich obserwacji wynika, że tysiące młodych ludzi zaczyna np. teraz dbać o swoje ubikacje. Ruch czystych serc jest również zaledwie początkiem szerszego oddolnego ruchu. Próbuję go sterować w kierunku ekologii, tworzenia nowej zielonej Polski. Są to zadania, które trzeba będzie realizować przez wiele lat. Nie tylko ja, ale i moi kontynuatorzy będą tu mieli sporo do zrobienia. Rzucam się w wir wielu rzeczy, nakłuwam jakby rzeczywistość. Jestem więc taką igłą akupunkturową, która wbija się w chore miejsce i potem, myślę sobie, z pewnością odezwą się sprzymierzeńcy, którzy przejmą te działania zainicjowane przeze mnie.

— Czy wie pan, że np. w przypadku szaletów spodobało się to głównie tym, którzy są za nie odpowiedzialni. Mówią oni teraz — niech je sprzątają narkomani.

— Nie była to akcja, by ubikacje sprzątali narkomani, lecz całe społeczeństwo! Wynaturza się te wszystkie hasła. Później dorabia jakieś nieprawdopodobne teorie i wychodzą z tego bzdury. W moim ujęciu akcja szalety była jedną z ciekawszych akcji, pokazującą jak bardzo jesteśmy na ścieżce brudu zaawansowani. Chciałem uderzyć w fajansowy dzwon trwogi po to, żeby uświadomić zwłaszcza młodym ludziom, by tej śmiertelnej pałeczki nie odbierali od nas, lecz sami ją oczyścili.

— Wracając do tych 10 milionów dolarów na AIDS. Jak pan już je zbierze, co dalej? Jaka będzie pana następna akcja?

— Jeszcze ich nie zebrałem. Wie pan, chciałbym założyć komisję, która byłaby na czele tej fundacji powstałej z datków społecznych. Chcę natychmiast zakupić testy. Przygotowywanie się do odporu AIDS może zabrać parę ładnych lat, a nawet więcej. Nie wiem, czy będzie następna akcja. Chciałbym kontynuować ekologię, trzeba koniecznie ciągnąć dalej sprawę AIDS. Pragnąłbym rozwijać ideę sportu bez rywalizacji, która jest też moim pomysłem. Należy umacniać proces tworzenia innej atmosfery w szkołach w ramach ruchu czystych serc. To mi chyba zajmie najbliższe 40 lat mojego życia. Kończę wkrótce 45 lat. Większość spraw, o których mówimy, zainicjowałem w wieku 44 lat. Jest to, jak wiadomo, magiczna liczba. Człowiek w tym wieku, przynajmniej według mnie, musi pokazać co chce w życiu robić. **Ja właśnie te rzeczy pokazałem. Teraz chcę je realizować.**

— Czy pan osobiście boi się AIDS?

— Boję się AIDS, jak każdy normalny człowiek. Myślę, że nie ma takich, którzy się nie boją. Ci co twierdzą inaczej, mają po prostu zachwiany instynkt samozachowawczy. Próbując działać na polu walki z wirusem AIDS, próbuję ratować także siebie.

Rozmawiał: MIROSŁAW KULIŚ

Barbara Baron

Ty zakwitniesz różą...

czy nie mam siły
złamać znów samotnie
tego opłatka

choinka wisi
pod sufitem
obce psy
znów walczą
o miejsce w nogach
cudzym dzieciom
wynoszę ciasto
gdy śpiewają
wśród śnieżnych gór

może chcesz mnie nauczyć
że najpierw sama
przez te trzykrotne
Bóg się narodził
a dopiero potem
dopiero potem
zakrzyknie
po wyjściu ze mnie
to nasze
takie śmieszne uwiecznienie
mimo że tylko jeden raz
ty górą
a ja doliną

Paradoksy

leżakowała zbyt długo
ta nasza
aż wstyd
że bukiet
no wiesz
można już popić
no nie

a jednak wiem
że nogi za pas pójdą
gdy tylko podam ci
a jednak
puchar i usta
stara melodia chichocze
na tę głupią
sentymentalną nutę
że nigdy więcej
więc na zawsze

Rozwód

adwokat
oduczył kaprysów ciała
tego z którym przed ołtarzem
no wiecie
jak to jest

pierwsze trzy dni
bez porannej porcji wtargnięć
tego co głowie zawsze na przekór
przy smarowaniu kanapek
zdziwiły powagą
że jednak potrafi bez

czy z nowych stron
zobaczymy się wyraźniej
czy huba może ujrzeć brzozę

Anioł stróż

anioł stróż
specjalnie dla mnie
zamawia audycje muzyczne
możliwość nowego przesłania
z dotknięciem czarodziejskiej gałki
otwiera krainę czarów
anioł stróż patrzy na mnie
kiedy przypominam sobie
o jego istnieniu
podgląda mnie
bym nie dłubała w nosie
kiedy jestem sama
i nie pluła na chodnik

dzięki niemu
zaczynam dbać o to
jak wyglądam
z punktu widzenia nieba

oczyszczam twarz
ziołowymi parówkami
serce wiarą
że mnie naprawdę widzi
tak jak teraz
o jesiennej pełni księżyca

znów rozjaśniłeś mi świat
aniele stróżu mój

Syberyjska ballada

Igor Newerly znów przypomniał się swoim czytelnikom publikując kolejną znakomitą powieść. Okazuje się, że nasi — bądź co bądź — klasycy wciąż utrzymują swoje pozycje i wcale nie zamierzają poddać się naporowi literackiemu pokolenia młodych i najmłodszych. Ci ostatni mimo przyjaznego a nierzadko entuzjastycznego tonu krytyki nie potrafią zdobyć odbiorcy drepcąc w kręgu zapatrzeń w siebie, we własne fobie, egzystencjalne stresy i egoistyczne wiwisekcje. A klasycy jakby nie oglądając się na obecne mody, eksperymenty i awangardowe nowości piszą „zwyczajne" powieści, które epickim rozmachem, postaciami z krwi i kości, usytuowaniem w konkretnym czasie historycznym udowadniają, że wciąż jeszcze można uprawiać, i to z sukcesem, ten skazany na wymarcie gatunek.

„Wzgórze Błękitnego Snu" jest powieściową balladą, której nie sposób czytać bez emocjonalnego zaangażowania i bez wiary w możliwość istnienia takich ludzi i takich biografii, jakie wykreował Igor Newerly. Wiarygodność stworzonej przez autora rzeczywistości wydaje się niepodważalna. Czytelnik chciałby, aby biografia Bronisława Najdarowskiego była autentyczna i może mieć za złe autorowi, że ten w posłowiu odkrywa swój warsztat i ujawnia fikcyjną proweniencję głównego bohatera. Niechby została ta odrobina złudzenia i wiary w autentyzm losów Najdarowskiego, bo i przecież takie intencje zdają się tej powieści przyświecać. Newerly bowiem zadbał o każdy szczegół obyczajowy i geograficzny, polityczny i historyczny. Opowiedział dzieje syberyjskiego zesłańca od początku do końca, tak jakby chciał stworzyć opartą na faktach biograficzną monografię.

Jest to ballada optymistyczna, pełna miłości życia i ludzi, dyktowana przekonaniem o ich szlachetności i o wrodzonym instynkcie dobra. Bellada o syberyjskiej przyrodzie pięknej i groźnej — o naturze, która może sprzyjać i odradzać człowieka, jeśli zaakceptuje on jej odwieczne prawa.

Newerly kreuje ów optymizm z literacką premedytacją ujmując w narracyjny nawias to wszystko, co mogłoby zakłócić humanistyczny i pełen dobra wymiar symbiozy człowieka i natury. Bronisława Najdarowskiego poznajemy w chwili, kiedy skończył mu się właśnie katorżniczy wyrok a żandarm wiezie go na przymusowe osiedlenie w jenisejskiej guberni. Od tej chwili pamięć o zsyłce, o nieludzkiej katordze, o etapach i kajdanach, o tajnej działalności w „Proletariacie", o prowokacji ochrany i niezasłużonym piętnie zdrajcy odsuwają się na plan dalszy. Jeśli istnieją to tylko we fragmencie wieczornej opowieści wymuszonej przez przyjaciół. Dla Najdarowskiego liczy się teraźniejszość i życie, które musi budować od nowa i od początku. Choć w mozole i w trudzie, ale udanie i szczęśliwie. Pasja życia i przedsiębiorczość polskiego zesłańca pomaga mu w zdobyciu przyjaźni i miłości, w tworzeniu materialnej i duchowej egzystencji na miarę człowieczych marzeń i aspiracji. Tytułowe Wzgórze Błękitnego Snu, na którym Najdarowski zbudował swój syberyjski dom i wiódł życie godziwe jest w powieści metaforą naczelną nie pozbawioną zresztą, zwyczajowych u Newerlego, akcentów dydaktycznych. Na wzgórzu tym kończy autor swoją optymistyczną balladę o syberyjskim osiedleńcu. Już poza jej ramą właściwą dodaje „Notę biograficzną o dalszych losach rodziny Najdarowskich". Epilog ów zamyka powieść tonami dramatycznymi tak jak dramatyczna była historia Polski po powrocie Najdarowskiego (kryzys, II wojna światowa, powstanie warszawskie). Ale nie to pozostaje w pamięci czytelnika. Po zamknięciu książki pozostaje obraz Najdarowskiego w okresie najpiękniejszym i najszczęśliwszym — w latach jego osiedleńczej zsyłki! Odległy to zatem obraz od tradycji literackiej i kulturowej świadomości, które nawarstwiały się w Polsce od czasów romantyzmu. Syberia w tej tradycji to Sybir — symbol tragicznych losów całych pokoleń powstańców i rewolucjonistów. Ballada Newerlego przełamuje ten stereotyp.

Nazwałem tę powieść „zwyczajną", bo też rzeczywiście jej autor posługuje się tradycyjnymi sposobami opowiadania. Może nawet nie do końca konsekwentnie. Współistnieją bowiem we „Wzgórzu Błękitnego Snu" i zobiektywizowana narracja wszechwiedząca, i forma tzw. skazu, subiektywizowanej opowieści językiem głównego bohatera oraz wyimki z dziennika Najdarowskiego. Newerly tak przykrawa materię opowiadania jak nakazuje mu fabuła. I rzecz nie w warsztatowej konsekwencji, ale w dążności do zaprezentowania wykreowanego świata w sensualistycznej jakby dotykalności i widzialności. A ta intencja autora dała efekt ze wszech miar znakomity.

GRZEGORZ GAZDA

Igor Newerly, Wzgórze Błękitnego Snu, Czytelnik, Warszawa 1986, s. 502, cena 350 zł.

Roman Gorzelski czyli skok o tyczce

Nie tak dawno pisał L. Żuliński w „Faktach" o kondycji satyry i satyryków w Polsce. Zwrócił uwagę na paradoksalną sytuację: Komisja Kwalifikacyjna ZLP (do której piszący te słowa także należy) jest wręcz szturmowana przez natchnionych przez lżejszą muzę, czy muzę lżejszego kalibru literackiego — kandydatów in spe do ZLP. Ot i „wyszła" nam fraszka:

Na laureata Nagrody...
Kandydat in spe
do ZLP

Proszę wybaczyć ten żartobliwy wtręt, ale znaczna, niestety, część „produkcji" naszych (sc. Komisji) „klientów" prezentuje mniej więcej takież wyrafinowanie estetyczne i takąż odkrywczość myślową.

Na czym wszakże polega paradoksalność sytuacji, o której wzmiankowałem wyżej? Otóż mamy cały legion fraszkopisarzy, w każdym tygodniku — a niekiedy nawet i w dziennikach znajdujemy „złote myśli" i aforyzmy (dla najkrótszego bodaj utworu lirycznego już się tam miejsca nie znajdzie), ale powszechne jest narzekanie na poziom satyry w Polsce, a i w samym ZLP satyryków jakoś nie przybywa. I powodem tego chyba nie jest ponuractwo członków Komisji czy Zarządu Głównego, który nawet i nasze pozytywne opinie niekiedy uchyla, ale braki samego literackiego „materiału". Mała forma literacka — fraszka, aforyzm, sentencja — jak to historia literatury dowiodła niejednokrotnie — może mieć większą wartość artystyczną i pojemność informacyjną, niż przepastne poematy. Jest to w ogóle jeden z najtrudniejszych gatunków twórczości i choć wielu do jego uprawiania czuje się powołanymi, mało jest wybranych. I jeśli najogólniej pojmowana twórczość literacka dopuszcza, a nawet zaleca wielość artykulacji, inność stylistycznych tonacji, różne konwencje — to w krótkich formach istnieje jakby potrzeba „równania w górę", ustawiania coraz wyżej poprzeczki, „przeskoczenia" La Rochefoucaulda czy Leca. Podobnie w satyrze cenimy przede wszystkim „drapieżność", przenikliwe odkrywanie niesprawności naszego życia politycznego, społecznego, ekonomicznego etc., odwagi i nawet pewnej recepty na „lepsze życie" wypływającej z dydaktyzmu tego gatunku literackiego.

Dlaczego o tym wszystkim piszę? Myślę, że gdyby R. Gorzelski był owym kandydatem in spe do ZLP, przeszedłby przez sito kwalifikacyjne. Autor tomików poetyckich, prozy (w druku), felietonista i satyryk — Roman Gorzelski — jest po prostu profesjonalistą i nigdy poza pewien standard literacki nie schodzi. Oczywiście bardziej nas interesuje, kiedy bierze te najwyższe literackie poprzeczki. „Srebrnikowe myśli" — zbiór fraszek, aforyzmów, bajek jest świadectwem owych „lekkoatletycznych" zmagań literackich R. Gorzelskiego. Skacze na ogół nieźle, w kilku utworach bliski jest niemal wyrównania rekordu Polski, ale niekiedy też chytrze obchodzi poprzeczkę. Trudno, aby w tak obszernym zbiorze wszystkie utwory były najprzedniejszej jakości. Darujmy autorowi wszakże niektóre aforyzmy mniej odkrywcze, fraszki mniej dowcipne czy satyry, które — pisane przed kilkunastu laty — dziś już trochę „zwietrzały". W pamięci przecież zostają utwory najcelniejsze — a te nie wietrzeją z czasem.

Przykładem takich utworów niech będą „fraszki japońskie", które często jako utwory anonimowe obiegły całą Polskę. Można nawet rzec, że Gorzelski zbudował nam we fraszkopisarstwie drugą Japonię na długo przed takimi ekonomicznymi mrzonkami. Interesująca jest też genologiczna inwencja Gorzelskiego. Tom zawiera bowiem fraszki sytuacyjne, kalambury, fraszki „białe", sentencje, aforyzmy, bajki, wiersze żartobliwe oraz limeryki — te ostatnie oceniam jako najbardziej interesującą propozycję zbioru. Właściwie równie trudno jest tworzyć utwory satyryczne, jak je recenzować. W znacznej mierze recenzja winna być inkrustowana cytatami — a na to brakuje tu miejsca. Niech zatem ta notatka zostanie bez pointy. Z kronikarskiego obowiązku jedynie odnotujemy, że dzięki F. Rajczakowi — niezmordowanemu w inwencji wydawniczej — wyszły także „Fraszki znad Pichny" R. Gorzelskiego — poświęcone Zduńskiej Woli. A może nasz autor pomyśli też o „fraszkach łódzkich"?

HENRYK PUSTKOWSKI

R. Gorzelski — Srebrnikowe myśli, WL 1986, s. 108, cena 100 zł.

Z półki recenzenta

ANTOLOGIA AFORYSTYKI

Joachim Glensk poświęcił kilka lat, by zebrać w jednym pokaźnym tomie niemal całą polską współczesną aforystykę. Napisałem „niemal całą" bowiem brakuje mi tu sporo nazwisk ludzi, którzy odegrali niepoślednią rolę w powojennym życiu literackim. Pocieszeniem jest to, że autor wyboru zapowiada kontynuację swoich pasji poszukiwawczych, których rezultat zostanie w przyszłości opublikowany w następnym tomie poświęconym aforystyce.

A teraz co do samej książki: dobrze się stało, że takie dzieło ujrzało tzw. światło dzienne. Powszechnie w świadomości funkcjonuje St. J. Lec, Wiesław Brudziński, Tadeusz Kotarbiński, może jeszcze dwa, trzy nazwiska. A tu nagle okazuje się, że wcale nie jesteśmy tak znów ubodzy w owe lotne, a przecież mądre powiedzonka, że rodzima literatura i filozofia posiada wiele takich pereł rozsianych po różnych foliałach naukowych czy powieściach, ba, nawet po felietonach, artykułach publicystycznych czy wręcz w wypowiedziach okazjonalnych. Bowiem ów błyskotliwy dowcip, definicyjna zwięzłość, niekiedy przewyższa pozostałą część dzieła, z której została wyjęta. Dlatego autor wyboru nie ograniczył się do prezentacji jedynie pisarzy czy filozofów, ale znajdujemy w tej antologii ludzi teatru, filmowców, malarzy, dziennikarzy, krytyków literackich...

W obszernym słowie wstępnym napisanet „Dokonując przymiarki do przyszłej antologii aforyzmu polskiego za lata 1945—1980, przejrzeliśmy na razie twórczość około 250 autorów, wybierając z nich około dwustu do druku". A więc praca katorżnicza obliczona na lata.

Gorąco polecam tę interesującą, dobrze pomyślaną edytorsko książkę tym, którzy lubią mieć „mądrość w pigułce" pod ręką.

Joachim Glensk: Współczesna aforystyka polska. Wyd. Łódz. 1986. Str. 456. Cena 500 zł.

RZECZ O SEKSIE

Ukazała się nader interesująca książka Zbigniewa Lwa-Starowicza pt. „Seks w kulturach świata". We wstępie autor pisze, że jest to praca, „która powstawała wiele lat. Wyraża ona zainteresowanie autora fenomenem uwarunkowań kulturowych w sferze życia seksualnego". Seks w ostatnich latach przestał być tabu, jednak stosunek do niego nie posiada także już otoczki niezdrowej sensacji i skandalu. Seks z dziedziny erotyzmu przeszedł do dziedziny nauki. Coraz więcej autorów zaczyna poświęcać mu uwagę starając się odpowiedzieć na pytanie: jaką rolę odgrywa on w naszej obyczajowości kulturalnej. Słowem pragnie się uzyskać wyjaśnienie dla zachowania człowieka współczesnego wobec tak ważnego problemu.

Lekarz Zbigniew Lew-Starowicz zajął się zagadnieniem tego zjawiska w poszczególnych kulturach świata. Zamiar to chwalebny, a czy autorowi się powiódł, mogą jedynie ocenić znawcy przedmiotu. Osobiście ograniczę się do stwierdzenia, że jest to książka poważna, nie zawierająca w sobie niczego z taniej sensacji, a do tego oparta na solidnych, wieloletnich studiach. Natomiast określenie, że treść książki traktuje o tym „jak to robią inni" zubaża jej zamiar poznawczy i naukowy.

Dodatkowym walorem omawianej pozycji wydawniczej są ilustracje, na które złożyło się kilka barwnych reprodukcji malarstwa europejskiego oraz kilka reprodukcji czarno-białych. Tak więc treść naukowa została zilustrowana, co jeszcze bardziej podnosi wartość tej ciekawej książki.

Zbigniew Lew-Starowicz: Seks w kulturach świata. Ossolineum 1987. Str. 208. Cena 470 zł.

POD OKIEM AMORA

Kilkadziesiąt fraszek i aforyzmów z ilustracjami Mai Berezowskiej, to nowy tomik Tadeusza Gicglera, który nie tak dawno ukazał się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego. Ten gatunek twórczości cieszył się i nadal się cieszy uznaniem czytelników, a gdy dodam, że owe ulotne wiersze i powiedzonka dotyczą wyłącznie spraw serca i miłości — słowa zachęty z mojej strony by czytelnicy sięgnęli po tę książeczkę, stają się zbędne. Nie mogę wszakże oprzeć się pokusie, by bodaj nie przytoczyć jednego z aforyzmów: „Głupcom należałoby wymyślić trudniejszy sposób rozmnażania".

Tadeusz Gicgler: Pod okiem Amora. Wyd. Łódz. 1986. Str. 60. Cena 100 zł.

E. IW.

Jak Kubuś Puchatek stracił dziecięctwo

„Do Kubusia Puchatka mam stosunek emocjonalny" — powiedziała mi parę dni temu pewna znajoma, co autentycznie miało wykluczyć jakiekolwiek racjonalne argumenty krytyczne wobec tej książki. Prawdopodobnie takie samo zdanie mieć będzie olbrzymia grupa czytelników, którzy wychowali się na przekładzie Ireny Tuwim. Przekład ten zaczął istnieć u nas na prawach oryginału i nikt nie podejrzewał nawet, że można mieć wątpliwości, co do imienia jego głównego bohatera czy do tekstów jego mruczanek.

Z tym większym podziwem powitać należałoby decyzję tłumaczki, Moniki Adamczyk, która odważyła się powiedzieć, że prawdziwy Kubuś Puchatek różni się w wielu miejscach od polskiego przekładu, a sam Kubuś to nie Kubuś, ale Fredzia Phi Phi. Otrzymaliśmy więc nowe tłumaczenie tej klasycznej już książki, które w sposób nieunikniony stanie się wyzwaniem wobec Uświęconego tradycją (i „stosunkiem emocjonalnym" polskich czytelników) Kubusia Puchatka.

Co spowodowało, że młoda tłumaczka wzięła się za nowy, konkurencyjny przekład książki tak mocno zakorzenionej w świadomości kilku już pokoleń? Monika Adamczyk wyjaśnia swe racje we wstępie do obecnego wydania. Głównym motywem podjęcia tej ryzykownej decyzji był fakt, że Kubuś Puchatek nie jest wiernym przekładem książki Milne'a, to prawie adaptacja. Najjaskrawszym tego dowodem jest to, że Irena Tuwim opuściła kilka fragmentów oryginału, dodając jednocześnie swoje własne uzupełnienia. Co więcej, jej przekład dokonany został w tradycji polskiego piśmiennictwa dla dzieci, pisany jest więc językiem, jakim mówi się do dzieci, stosuje bardzo liczne zdrobnienia i spieszczenia.

W przekładzie Moniki Adamczyk zdrobnień tych rzeczywiście nie ma. Już pierwsze zdanie, w którym pojawia się Niedźwiedź, a nie Miś, wskazuje na odrębność koncepcji translatorskiej. Rozumiejąc niechęć tłumaczki do „przedziecinnienia" stylu, należałoby jednak zgłosić parę zastrzeżeń. Polski czytelnik, pamiętający Kubusia Puchatka, zdziwić się może, gdy na kartach Fredzi odnajdzie „łapy" zamiast „łapki", „pysk" zamiast „pyszczek", czy „łóżko" zamiast „łóżeczko". Wydaje się jednak, że zmiany te będą niespodzianką nie tylko dla osób przyzwyczajonych do starego tłumaczenia, ale i dla każdego polskiego czytelnika. Brak zdrobnień będzie brzmiał nieco obco, i chyba nie tylko dlatego, że wychowano nas w takiej a nie innej tradycji pisania dla dzieci. Nie o literaturę dziecięcą tu chodzi, lecz o specyfikę polskiego języka. Liczne zdrobnienia są bowiem jego typową cechą. Świadczą o tym nie tylko owe sławetne „kawusie", „śledziki", „pieniążki", ale także i te przypadki, w których cząstka zdrabniająca zneutralizowała się, doprowadzając do zmiany znaczenia wyrazu, np. „dziadek", „ołówek". Zdrobnienia często mają charakter pieszczotliwy, wtedy ich nadmiar doprowadzić może do infantylizacji stylu, lecz przede wszystkim mówią one o niewielkich rozmiarach danego przedmiotu (osoby) lub o czyimś młodym wieku. „Rączka" oznacza nie tylko „kochaną rękę", ale i „małą, niedużą rękę".

Język angielski jest pod tym względem stosunkowo ubogi, końcówki zdrabniające występują tam wyjątkowo rzadko, a odpowiednie treści wyraża się poprzez użycie przymiotników „mały", „drogi". „Chmurka" jest więc w języku angielskim „małą chmurą". Jest rzeczą zrozumiałą, że dużą rolę pełni tu kontekst wypowiedzi, który dookreśla, czy dany wyraz ma być traktowany jako zdrobniały.

Język polski dysponujący innymi sposobami zaznaczania zdrobnień i spieszczeń (końcówki), musi je w odpowiednich miejscach stosować. Jest to niemal przymus gramatyczny, nakazujący mówić o „pyszczku" i „łapkach" pluszowego misia. Powiedzieć „pysk i łapa misia" naruszałoby pewne reguły semantyczne i brzmiałoby nieco śmiesznie. Monika Adamczyk, słusznie walcząc z udziecinnianiem stylu dla dzieci, unikając gdzie się da zdrobnień i spieszczeń, nie może być więc w tym przedsięwzięciu całkowicie konsekwentna, gdyż naruszałaby polskie normy językowe. Wygląda na to, że skazani jesteśmy na „herbatki", „rączki" i „misie".

Najbardziej radykalnego cięcia dokonała lubelska tłumaczka zmieniając imię głównego bohatera książki. Jest nim już nie Kubuś, lecz Fredzia Phi Phi, co jest jak najbardziej zgodne z oryginałem, gdyż angielski Puchatek nosi żeńskie imię (Winnie, od Winifreda). Nadając misiowi imię Kubuś, Irena Tuwim wykluczyć musiała z tekstu te fragmenty, w których ta dziwna dysharmonia płci misia i jego imienia zostaje uwidoczniona. W nowym tłumaczeniu fragmenty te są oczywiście zachowane.

A jednak... Wprowadzenie przez Monikę Adamczyk żeńskiego imienia stało się, jak sądzę, większą „rewolucją" niż to miało miejsce w oryginale, a to z dwu powodów. Po pierwsze, w angielskim istnieją imiona, które są wspólne obu płciom (Terry), lub różnią się bardzo nieznacznie (Frances i Francis). Po drugie, ponieważ w angielskim nie istnieje w zasadzie rodzaj gramatyczny, imię żeńskie dla osobnika płci męskiej nie narusza reguł gramatycznych, jak to ma miejsce w języku polskim: za każdym razem gdy czytamy „Fredzia powiedział" zaskoczeni jesteśmy pogwałceniem polskiej normy językowej. Żeby więc być wierną wobec oryginału i nazywać misia Fredzią, tłumaczka naruszać musiała zasady gramatyki, czego oczywiście nie ma w oryginale, wprowadzając tym samym nowy element do polskiego tekstu.

Tyle wątpliwości, które budzić mogą decyzje tłumaczki. Świadczą one o szczególnie trudnej sytuacji każdego tłumacza, który wybierać musi między wiernością wobec oryginału a zachowaniem specyfiki ojczystego języka. Nie zawsze bowiem możliwe jest i jedno i drugie.

Niewątpliwą zaletą nowego przekładu Kubusia jest natomiast próba przeniesienia na język polski bogatej inwencji językowej angielskiego oryginału, tych wszystkich neologizmów, przejęzyczeń, kalamburów i dwuznaczności, które stanowią o niepowtarzalnej, angielskiej atmosferze książki. W tłumaczeniu Ireny Tuwim sprawa ta została zdecydowanie zaniedbana, w wielu miejscach pozbawiając tekst specyficznego humoru, a nawet spójności. Dopiero w przekładzie Moniki Adamczyk znaleźć możemy „Sonia" (u Tuwim: „Słoń"), „łysicę i lesicę" (dawniej „łasica i lis") czy też „łożędzie". Pojawiają się neologizmy, nieobecne w przekładzie Tuwim: „sonić się" zamiast „wydawać słoniowe pomruki", „rzecz bardziej pułapkowa" zamiast „lepsza przynęta", „gurkopodobny pisk" zamiast „piskliwy cienki głosik". Mało dowcipne i dość rozwlekłe „wielkie ilości czegoś tam", Adamczyk przekłada zgrabniej i wierniej jako „wielkie cosie".

Porównując oba przekłady, można łatwo dostrzec, że wierność wobec oryginału kierowała Moniką Adamczyk, natomiast Irena Tuwim pragnęła uzyskać tekst, który brzmiałby jak najbardziej swojsko. Dlatego też „skondensowane mleko" Tuwim zamienia na „słodką śmietankę", „grzanki z masłem" na „obwarzanki", a stopę jako miarę długości na „kroki". To co w oryginale (i w nowym tłumaczeniu) było zwykłym „kęsem", u Tuwim staje się „chlebem z masłem", a proste „lekarstwo" przybiera przerażający kształt „łyżki tranu".

Zapewne dowcip słowny, którego liczne przykłady znaleźć można w książce Milne'a, może nie być odebrany przez najmłodszych czytelników. Prawdopodobnie z myślą o nich Irena Tuwim zaniechała prób oddania językowej inwencji oryginału, która mogłaby zbyt skomplikować fakturę tekstu. W rezultacie otrzymaliśmy od niej uroczy, choć nieco jednowymiarowy przekład. Nowe tłumaczenie, maksymalnie wierne wobec oryginału, nie idzie na podobne ustępstwa, przez co staje się książką tak dla dzieci, jak i dla dorosłych. Choć nie wszystko czytelne będzie dla, powiedzmy, siedmiolatków, Fredzia Moniki Adamczyk bawić będzie i intrygować dzieci chyba nie gorzej niż Kubuś Puchatek, natomiast przynieść może wiele satysfakcji także i starszym czytelnikom, zwłaszcza tym, którzy potrafią się uśmiechnąć natrafiając na liczne igraszki słowne i zabawy z różnymi konwencjami literackimi, słysząc absurdalne w swej logice sylogizmy misia, odkrywając świadome niespójności między „dorosłym", formalnym słownictwem bohaterów książki a jej bajkowym kontekstem.

Warto by do tej książki sięgnęli ci wszyscy, którzy do Kubusia mają „stosunek emocjonalny", którzy 30—20 lat temu na Kubusiu się wychowali, znając na pamięć całe partie tej książki. Warto, gdyż Miś, który tymczasem przeistoczył się już w Niedźwiedzia i którego łapki i pyszczek zmieniły się w łapy i pysk, może ich jeszcze czymś nowym zaskoczyć.

JERZY JARNIEWICZ

A. A. Milne, Fredzia Phi-Phi, przeł. Monika Adamczyk, Wyd. Lubelskie 1986.

„Ragadon" czyli model do składania

Proza narracyjna doświadczyła w swej historii tylu różnych inkarnacji, że napisanie obecnie klasycznej fabularnej powieści wydaje się nader nudnym procederem. Od dłuższego już czasu za granicą i w Polsce zaczęły się ukazywać książki pozbawione typowej anegdoty, charakteryzujące się nie skrępowanym przez żadne gatunkowe ograniczenia sposobem przekazywania autorskich przemyśleń. Krytyka literacka niemal błyskawicznie ukuła odpowiednie terminy, określające nowe zjawisko i mające otworzyć drogę do jej bezkarnych penetracji. Na Zachodzie zinterpretowano je jako tzw. powieść eseistyczną, w Polsce — adekwatnie do rodzimej mutacji — posłużono się nazwą quasi-dziennika, która nb. zaistniała już wcześniej, przy okazji słynnych „Listów do Pani Z." K. Brandysa, a swoje najtrafniejsze odniesienie znalazła w stosunku do ostatnich utworów Konwickiego („Kalendarz i klepsydra", „Nowy Świat i okolice"), Kuśniewicza („Mieszaniny obyczajowe"), Rudnickiego („Krakowskie Przedmieście pełne deserów") i całej masy książek pośledniejszych, by wymienić chociaż „Pójdź za mną" Jerzego Wittlina.

„Ragadon" Jana Tomkowskiego nie mógł się stać kolejną animacją tej popularnej formy z paru powodów. Po pierwsze, ze względu na wiek autora, nie dojrzały jeszcze do osobistych obrachunków; po drugie, z powodu rozległego teoretycznego zaplecza i bagażu krytycznoliterackich doświadczeń, jakie musiały w efekcie zaciążyć na kształcie debiutu pisarza. Ostatecznie jednak „Ragadon" jest również manifestacją niechęci do stereotypowej powieści, sposobem ucieczki od schematów przeżywającego się gatunku. Tyle tylko, że to odejście następuje tutaj w zupełnie różnych kierunkach. Tak bowiem, jak za quasi-dziennikiem stoi stara i silna, zwłaszcza w naszym kraju, tradycja gawędy, tak za awangardową powieścią Tomkowskiego przemawia, płynący dziś wartkim strumieniem przez świadomość czytelniczą, nurt prozy eksperymentalnej, który wziął początki od twórczości francuskiej grupy nouveau roman, a na polskim gruncie rozwinął się wraz z pisarstwem Wilhelma Macha i niektórymi pojedynczymi utworami innych artystów (mam tu na myśli np. „Sennik współczesny" Konwickiego). Szukanie jednak bezpośrednich wpływów antypowieści Alaina Robbe-Grillet'a, Nathalie Sarraute, Michela Butora, czy noblisty Claude'a Simona na debiutancką prozę Tomkowskiego jest, z punktu widzenia trzydziestu z górą lat, jakie upłynęły od momentu pojawienia się pierwszych utworów protagonistów „nowej powieści", przedsięwzięciem i spekulatywnym, i trochę już anachronicznym. Pozostając jeszcze w kręgu literatury francuskiej: podobne ryzyko towarzyszyłoby określaniu Tomkowskiego mianem spadkobiercy osiągnięć narracyjnych Maurice'a Blanchota, Claude'a Moriaca, czy autorów młodszych, takich jak choćby Jean Marie le Clézio lub nazywaniu go uważnym czytelnikiem numerów „Tel Quel". Nawiasem mówiąc, rozważania natury wpływologicznej także nie doprowadzą krytyka do istotniejszych wniosków, gdy będzie on próbował szukać dla omawianej książki inspiracji rodzimych. Wprawdzie przy lekturze wielu jej fragmentów nazwiska Sztajnerta, Ulmana oraz — bodaj najczęściej i najmocniej — Drzeżdżona same przychodzą na myśl, ale ustalenie właściwych proporcji owych analogii wykracza daleko poza domenę recenzenckiego obiektywizmu, pozostając w dyspozycjach hipotez i domniemań. Mimo to jednak, jak wynika z powyższych enuncjacji, „Ragadon" daje się nawet z wszelkimi zastrzeżeniami wpisać lub przynajmniej odwzorować na dość wyraźnie rysujące się kontury zbioru wybranych tradycji prozatorskich.

Teraz, kiedy powieść Tomkowskiego została już lepiej lub gorzej osadzona w literackim kontekście, można przyjrzeć się nieco bliżej samej jej budowie. Autor zastosował tu niektóre elementy starego, znanego w pierwszym tysiącleciu naszej ery w arabskim kręgu kulturowym, („Tysiąc i jedna noc"), a kilka wieków później również w Europie („Dekameron" Boccaccia), zabiegu tzw. konstrukcji szkatułkowej. Z najbliższego nam pogranicza literatury polskiej i francuskiej jakimś odwołaniem mógłby być w tym miejscu „Rękopis znaleziony w Saragossie" Jana Potockiego. Tomkowski wykorzystał bowiem także chwyt odnalezionego manuskryptu, ale kazał jeszcze bezskutecznie rekonstruować i porządkować jednej ze swoich bohaterek te zupełnie bezładne fragmenty, aby ostatecznie uzupełnić powstałą w ten sposób powieść o monologi pozostałych postaci, encyklopedyczne wypiski, czy inne teksty, relacjonowane i przytaczane — jak się zdaje — w konwencji narracji personalnej. Umieszczając ową narrację na pewnym poziomie konstrukcji szkatułkowej, autor uciekł poniekąd od własnych słów, uwolnił się od ich ciężaru, pozwoliwszy im żyć dalej, całkiem już swobodnie. Przypomina to jako żywo przypadek głośnej książki Umberto Eco „Imię róży" („Il nome della rosa"), znanej polskiemu czytelnikowi niestety tylko z fragmentów, które drukowała „Literatura na świecie". I choć powieści te różnią się tematami, formą ich artystycznego opracowania oraz — przede wszystkim — klasą, to przemożna chęć oderwania się od dzieła, zwiększenia odległości między twórcą a jego utworem, emanuje z każdej z nich w podobnym natężeniu.

Trzon fabuły książki Tomkowskiego stanowi, mówiąc trywialnie, historia chłopca, który postawiony kiedyś do kąta w szkole, pozostał w niej na zawsze. W istocie jednak jest to pamiętnikarski zapis procesów zachodzących w jego świadomości i podświadomości, sporządzony w dwóch przenikających się poetykach: realistycznej i onirycznej. Obrazuje on rozmiary spustoszeń i anormalnych stanów, do jakich może być doprowadzony dojrzewający umysł, permanentnie poddawany scholarnym presjom. Kompleks szkoły i naukowości, rozmaicie zresztą zawoalowany, pojawia się w różnych warstwach struktury utworu, często manifestując się poprzez rekwizyt (papier) lub atrybut (cytat). Jakby nie dosyć było tym wszystkim utrudnieniom i zaciemnieniom, autor niemal całkowicie zdezintegrował fabułę swojej powieści, segmentując ją na drobne, alinearne chronologicznie i przestrzennie, odcinki. Zamierzył zatem aktywny udział czytelnika w składaniu fragmentów modelu „Ragadon" w sensowne sekwencje, podobnie — by posłużyć się dobrym wzorcem — jak czynił to niegdyś Julio Cortazar.

Tak, bez wątpienia książka pachnie atramentem. Wynika to nawet z ilości przytoczonych w tej recenzji nazwisk i tytułów, które ona nieodparcie ewokuje. Ale ten atrament jest na pewno w niezłym gatunku. Zauważyli to kuratorzy nagrody im. Krzysztofa Bogusława Wojtkiewicza — łódzki oddział ZLP i grupa „Wiadukt" — przyznając ją Janowi Tomkowskiemu za jego prozatorski debiut.

PIOTR ŁUSZCZYKIEWICZ

Jan Tomkowski, Ragadon, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1986, s. 145, cena 100 zł.

Kronika kulturalna

RUCH LAICKI w naszym mieście ma długie i bogate tradycje. W tym roku przypada bowiem jego 80-lecie.

Od 1907 r. działało również w Łodzi Stowarzyszenie Wolnomyślicieli Polskich. Należało do niego wielu wybitnych uczonych i działaczy społecznych, m.in. Stefania Sempołowska, Tadeusz Boy-Żeleński, Bolesław Limanowski, Tadeusz Kotarbiński.

W okresie powojennym tradycje te kontynuowało Towarzystwo Szkoły Świeckiej oraz Stowarzyszenie Ateistów i Wolnomyślicieli, które w 1969 r. zjednoczyły się w Towarzystwo Krzewienia Kultury Świeckiej. Skupia ono obecnie 14 tys. członków.

Z okazji 80-lecia powojennej działalności i 80-lecia ruchu wolnomyślicielskiego Zarząd Łódzki TKKS zorganizował 26 lutego uroczystą akademię dla uczczenia tych doniosłych rocznic.

W 25. rocznicę śmierci Władysława Broniewskiego odbył się na Zamku Królewskim w Warszawie wieczór poświęcony pamięci wybitnego poety.

Na grobie W. Broniewskiego w Alei Zasłużonych na Powązkach kwiaty złożyli przedstawiciele świata kultury i miłośnicy jego poezji.

W Klubie Nauczyciela odbyło się 25 lutego spotkanie poświęcone uczczeniu pamięci Igora Sikiryckiego, zmarłego niedawno poety, prozaika, tłumacza, działacza społecznego, kierownika działu literackiego naszego tygodnika.

Przypomniany został bogaty i różnorodny dorobek twórczy wybitnego łódzkiego pisarza.

Wieczór zorganizowany został pod patronatem RŁ PRON.

JURY obradujące przed przewodnictwem Eryka Lipińskiego przyznało „ZŁOTE SZPILKI" AUTOROM NAJLEPSZYCH KARYKATUR. W tym roku o „szpilki" rywalizowało 26 autorów.

I nagrodę w kategorii rysunków humorystycznych otrzymał Szczepan Sadurski z Lublina, „srebro" przypadło Henrykowi Cebuli, zaś „brąz" — Edwardowi Lutczynowi.

W kategorii rysunku społeczno-politycznego „Złotą Szpilkę" otrzymał Zbigniew Woźniak.

Przekłute szpilki — przypominające symbol dolara — wręczone zostały 24 lutego w Warszawie, w Galerii „Szpilek" przy Placu Trzech Krzyży.

Imprezę połączono z wernisażem rysunków satyryków z NRD (z pisma „Eulenspiegel").

SEKRETARIAT Związku Pisarzy Radzieckich anulował powziętą trzydzieści lat temu decyzję o wykluczeniu Borysa Pasternaka ze swoich szeregów.

Obecnie ten wybitny twórca, laureat literackiej Nagrody Nobla, został w pełni zrehabilitowany.

MUZEUM Historii Miasta Zduńskiej Woli wzbogaciło ostatnio swoje zbiory o niezwykle cenny dokument — akt nadania ziemi Jakubowi Ogińskiemu przez założyciela Zduńskiej Woli: Stefana Prawdzica Złotnickiego (1779—1847).

Ofiarodawcą tego bezcennego dokumentu jest emerytowany nauczyciel Józef Kawecki, spokrewniony z Jakubem Ogińskim.

Podarował on również zduńskiemu muzeum kilka innych wartościowych archiwaliów z pierwszej połowy XIX w.

W koncercie rozrywkowym, który odbędzie się 30 czerwca br. w łódzkim Teatrze Wielkim z okazji odbywających się w naszym mieście Międzynarodowych Targów „Interfashion '87", swój udział zapowiedziały czołowe gwiazdy estrady.

Wystąpią m.in. Andrzej Rosiewicz, Zdzisława Sośnicka, Zbigniew Wodecki, Maryla Rodowicz, Krystyna Giżowska, Alicja Majewska, Bogusław Mec.

Śpiewać będą również czołowi soliści łódzkiego Teatru Wielkiego.

EWA Wiśniewska i Edward Żentara otrzymali — jako najpopularniejsi aktorzy „Złote Kaczki" — doroczne nagrody tygodnika „Film".

Za najpopularniejszy film uznano „C.K. Dezerterów" Janusza Majewskiego.

W Paryżu odbył się festiwal pn. „60 lat filmu polskiego".

W jednym z największych kin paryskich wyświetlono m.in. filmy Krzysztofa Zanussiego, Andrzeja Munka, Kazimierza Kutza, Romana Polańskiego, Jerzego Kawalerowicza, Aleksandra Forda.

Przewodniczącymi honorowego komitetu festiwalu byli: Andrzej Wajda i Roman Polański.

Wideonotes

Filmy z kasety

Pentagon — realizm

Menahem Golan i Yoram Globus to spółka producentów, którzy najpełniej odkryli melancholię Ronalda Reagana i przytykają do kilkunastu filmów rocznie, aby umocnić morale narodu i prezydenta.

Nie są to drogie produkcje i chyba najwięcej kosztuje amunicja, skoro sam Chuck Norris zużywa jej w każdym filmie kilka wagonów.

W „Inwazji na USA" z kilkunastu amfibii wysypuje się grupa uzbrojonych wykolejeńców i przewalając się przez kilka miast, urządza rzeźnię.

Dowódca, Heyms-psychopata, miał już na pieńku z Norrisem i zadawniona uraza sprawia, iż zapomina o głównym celu przedsięwzięcia, jakim jest destabilizacja społeczeństwa amerykańskiego. Rozwój wydarzeń zaczyna przypominać pojedynek rewolwerowców, z tym że Norris i Heyms używają „baazooki" zamiast coltów, co niechybnie zapowiada, iż jeden z nich musi spalić się do ostatniej kości.

Chuck Norris obok osiłka Stallone'a jest aktualnie bożyszczem młodzieży, a jego postać pełna spokoju i harmonii określa tęsknoty znerwicowanych nastolatków.

Film dotarł do nas w wersji niemieckojęzycznej, stąd zniekształcenia i ułomny odbiór sensu. Heyms zgodnie z napisem końcowym nazywa się Rostow i jest przypuszczalnie agentem radzieckim, który z bandą zwerbowanych kryminalistów ma stanowić coś na kształt „piątej kolumny".

Należy wątpić, iżby Pentagon zechciał skorzystać z cennych uwag spółki Golan — — Globus oraz usług Norrisa.

(T. KUB.)

„Invasion America", reż. John Zito, prod. USA, 1985.

Chuck Norris i jego motór

„Delta Force" to oddział do zadań specjalnych armii amerykańskiej. Poznajemy go podczas odwrotu z nieudanej akcji uwolnienia amerykańskich zakładników więzionych w ambasadzie USA w Teheranie w 1979 roku.

Film jest zapisem rutynowych działań tej jednostki, wzbogaconym dla potrzeb widowiska o kilka nonsensów.

Z ateńskiego lotniska zostaje porwany amerykański samolot pasażerski. Porywacze są członkami organizacji o fascynującej skądinąd nazwie — „Nowa Światowa Rewolucja", a ich arabski wygląd obiecuje fanatyzm i determinację. Za pomocą ogólnie dostępnych na Zachodzie środków perswazji (granat, pistolety) zachęcają pilota do zmiany kursu, a pasażerów do zachowania spokoju.

Do akcji wkracza „Oddział Delta" z Lee Marvinem i Chuckiem Norrisem na czele — pasjonatami tej roboty.

Arabski stosunek do kobiet i dzieci sprawia, iż zostają oni zwolnieni na jednym z lotnisk i dalsze przejażdżki odbywają już tylko mężczyźni, z których największym zainteresowaniem porywaczy cieszą się obywatele amerykańscy żydowskiego pochodzenia.

Teatrem działań dla oddziału jest nie tylko bejruckie lotnisko, albowiem część zakładników terroryści ukryli w mieście i w związku z tym Chuck Norris musi rozwalić pół dzielnicy. Jego najlepszym przyjacielem jest motocykl wyposażony w rakiety i wmontowany w kierownicę karabin maszynowy dużego kalibru do zabijania setek Arabów.

Akcja kończy się sukcesem — zakładnicy zostają uwolnieni, zaś terroryści wybici do nogi. Oddział większych strat nie poniósł — zginęli tylko przyjaciele Norrisa — Peter i motór.

(S. JAD.)

„Delta Force" (reż. Menahem Golan), prod. USA, 1986.

Clint Eastwood:

„Jeśli pewnego dnia przestanę grać, poświęcę się wyłącznie reżyserii".

Clint Eastwood jest gwiazdą prawdziwą, być może najbardziej popularną gwiazdą kina od 15 lat.

Jak autentyczne gwiazdy — nie te, które błyszczą jedynie na festiwalach — potrafi przez cały czas trwania 38 festiwalu w Cannes pojawiać się i znikać w odpowiednim momencie. Aktor-realizator-producent przybyły zaprezentować swój ostatni western, „Niesamowity jeździec", (w tej chwili na polskich ekranach), chronił się przed tłumem i łowcami autografów spędzając większość czasu na jachcie wynajętym przez wytwórnię Warner, który zarzucił kotwicę na pełnym morzu w pobliżu Cannes. Dlatego mogłem dwakroć długo z nim gawędzić — w Nicei, w restauracji Jacquesa Maximin „Chantecler" i nazajutrz przy okazji emisji filmu „Piękne życie" w I programie telewizji francuskiej.

Clint Eastwood ma dobrą pamięć — jak prawdziwe gwiazdy. Spotkałem go już raz, cztery lata wcześniej, w Deauville, gdzie byłem tłumaczem na konferencji prasowej. Sądziłem, że zapomniał o tym momencie tak podobnym do wielu innych w życiu gwiazdy, która, jak głowy państwa, spotyka corocznie niezliczone ilości ludzi, ściska tysiące rąk i uśmiecha się do tysięcy rozmówców, których natychmiast zapomina. Eastwood niczego nie zapomniał, i z kurtuazją i rzadką prostotą przywołał okoliczności tego spotkania. Jeden z jego współpracowników wyjaśnił mi zresztą: „On ma nadzwyczajną pamięć, pamięta wszystko. Stalowa pamięć, ostra jak brzytwa". Rozluźniony, uśmiechnięty, o wyjątkowo przyjemnym, niskim głosie, pociągłej twarzy człowieka Zachodu, przeciętej dwiema pionowymi zmarszczkami, o zielonoorzechowych oczach, które wydają się zmieniać barwę w zależności od pory dnia i nastroju. Clint Eastwood, jeśli spędzić z nim kilka godzin, roztacza wokół siebie tę sławną „aurę", tak trudną do zdefiniowania, ale którą mogłem obserwować na przestrzeni lat u tak różnych ludzi jak Muhammad Ali, John Kennedy, Seiji Ozawa, William Styron, David Bowie czy J.M.G. Le Clézio, aurę, która powoduje, że rozpoznajemy w rozmówcy kogoś niezwykłego. Tę niezwykłość widać także i w tym, że powodzenie jego przedsięwzięć, szczególnie jeśli są to przedsięwzięcia twórcze, jego osobowość i dzieło łączą się ze sobą harmonijnie. W przypadku Clinta Eastwooda, wbrew zwykłej kolei rzeczy, jest to bardziej skomplikowane. Jeśli bowiem przypomina bohaterów filmów, jakie produkuje, jakimi kieruje, w jakich gra, a nawet pisze scenariusze, jest jednocześnie ich przeciwieństwem. Uprzejmy, tolerancyjny, wykazujący zainteresowanie dla innych i ich życia, daleki jest od tego egoizmu, jaki łatwo przypisuje się gwiazdom. Clint Eastwood nie afiszuje zazwyczaj sprawnej brutalności inspektora Harry'ego. Jednakże łamie się przy zdaniu, że nie jest gwałtowny i, wskazując na zegarek, dodaje, „chyba, że siła wyższa". Lubi mówić o swej pracy, kinie, technice filmowej, maniackiej trosce o szczegóły, nie obnosi lakonicznej postawy niesamowitego jeźdźca z ostatniego westernu, który nie wypowiada nawet dziesięciu zdań w ciągu godziny i 15 minut trwania filmu. A jednak zdarza mu się, wobec krótszego pytania czy chłodnej uwagi, odpowiedzieć tak jak czynili to jego wielcy poprzednicy, John Wayne i Gary Cooper: „Yeah!", i na tym poprzestać.

Wydaje się być samotnikiem nawet jeśli obdarza przyjaźnią, hołduje lojalności i szacunkowi dla innych; indywidualista, który wobec „systemu" wielkich studiów Hollywoodu często niszczących osobowości i przesądzających ich losy umiał narzucić własny sposób widzenia i styl pracy, dyktować własne zasady, zasady oszczędnego i drobiazgowego producenta, który potrafi nakręcić film w pięć i pół tygodnia (rekord!).

Jest zatem panem siebie i z tej racji, wbrew wszelkim oczekiwaniom, zgodził się przybyć do Paryża, by odebrać z rąk ministra kultury odznaczenie Chevalier des Arts et Lettres, przyjąć hołd, jaki złożyła mu Filmoteka Francuska i cieszyć się zarazem uznaniem i podziwem intelektualnych środowisk Paryża, które kilka lat wcześniej traktowały go niemal jak goryla i faszystę.

Czasy się zmieniły. Eastwood, niegdyś pogardzany i lekceważony przez krytyków, stał się dziś obiektem prawdziwego kultu. Odkrywa się ponownie jego filmy, akceptuje jego osobowość samotnika, Amerykanina, który nie pozwala, aby traktować go jako zabytek przeszłości. Nigdy się nie zmienił. Ale obyczaje czy też to, co można nazwać „zachodnią wrażliwością" zbliżyły się do jego postawy i przesłania, jakie ujawnia subtelnie (w filmach takie subtelne nie są) w których poszanowanie człowieka, umiłowanie natury, swoista etyka, pozbawiony złudzeń, ale też cynizmu sposób widzenia świata niwelują dwuznaczność i pomieszanie idei charakterystyczne dla poprzedniego okresu.

Droga, jaką kroczy Eastwood była długa i wiodła niekiedy w pustce. Małe, nic nie znaczące role i drobne zajęcia w latach 50, felieton telewizyjny — zyskał nim pewną popularność — potem wyjazd do Europy, gdzie (przypadek? cudowny zbieg okoliczności?) spotyka Sergia Leone i kręci z nim trzy spaghetti westerny, które dziś przeszły już do legendy. Potem powrót do USA, gdzie nie wzięto nazbyt serio jego europejskiej przygody, ale gdzie kreacja postaci gliniarza z San Francisco, który chwyta za swe Magnum w potyczkach z łobuzami i przestępcami, inspektora Harry'ego, tym razem nadały mu rangę krajowej, a potem światowej gwiazdy. (Trzy filmy „Brudny Harry", „Siła Magnum" i „Wykonawca prawa" („The Enforcer") są obecnie przebojami polskiej widowni wideo.)

Zaczyna wówczas kierować produkcją filmów i wygrywa tym samym rzadki los — staje się reżyserem własnego talentu pozostając zarazem uniwersalnym interpretatorem. Powiedział w Cannes: „Być może miałem szczęście... Szczęście, że moja osoba czy też osobowość przystają do gustów publiczności, skoro ja sam nie robiłem nic innego, jak tylko kierowałem się własnym instynktem". Tym instynktem, który popchnął go nazajutrz po naszym spotkaniu i projekcji jego filmu do opuszczenia Croisette (zjawił się tu zarazem incognito i w glorii sławy) i to na długo przed końcowym werdyktem jury i wręczeniem nagród.

Prawdziwe gwiazdy kontrolują ściśle własny czas i zawsze potrafią opuścić bal w porze, jaką same wybrały. Clint Eastwood sam ustala tempo własnych poczynań. I być może dzięki temu czuje się wolny.

Według „Paris Match"
BOGDAN BANASIAK

„Nigdy dystrybutorzy państwowi nie będą dla mnie konkurencją"

— mówi w wywiadzie dla „Odgłosów" prywatny dystrybutor filmów wideo i prosi jednocześnie o nieujawnianie swojego nazwiska.

„Odgłosy": De facto „żyje" pan z wideo. Na czym polega pana działalność?

NN: Tak, pracuję jak każdy w przedsiębiorstwie państwowym i tam pobieram swoją pensję. W rzeczywistości zaś utrzymuję dom i rodzinę przegrywając i upowszechniając filmy wideo.

O: Jaki jest cennik?

NN: Zanim odpowiem na to pytanie, muszę powiedzieć o kosztach własnych. Otóż moja kopia wyjściowa przegrana bezpośrednio z płyty laserowej kosztuje od czterech do ośmiu tysięcy. Oryginalna kopia tzw. pudełkowa którą też się posługuję, kosztuje mnie — w zależności od tytułu — od kilkunastu do kilkudziesięciu tysięcy złotych. A dodać trzeba jeszcze do tego sumy za przekład i opracowanie filmów w języku polskim. Cennik zatem jest regulowany tymi kosztami. Za jeden film nagrany na kasecie klienta biorę tysiąc złotych.

O: Kto korzysta z pana usług?

NN: To wiadomo. Ci, których na to w tej chwili stać, a więc tzw. prywatna inicjatywa, zamożniejsi przedstawiciele wolnych zawodów i osoby powracające z zagranicy. Przecież wszystko co składa się na technikę wideo można u nas kupić wyłącznie za dewizy.

O: Jak zdobywa pan materiały wyjściowe, to znaczy kopie, które są podstawą nagrań?

NN: Korzystam z uprzejmości, oczywiście nie bezinteresownej, właścicieli magnetowidów laserowych (w Polsce jeszcze nielicznych), odkupuję również oryginalne kopie pudełkowe od tych, którzy przywożą je z zagranicy.

O: Jaki repertuar ma pan do zaoferowania? Jakie kryteria o tym decydują?

NN: Mówiąc wprost znam się na filmie. Mogę tak powiedzieć, ponieważ moje wykształcenie i moja oficjalna profesja są związane ze sferą kultury. To w znacznym stopniu ułatwia mi orientację i dobór repertuaru. Kieruję się także — co oczywiste — gustem odbiorców. Jednak zdecydowanie odrzucam filmy słabe, głupie i prymitywne.

O: Czyli to nie zysk przesądza o pana wyborze?

NN: Powiedziałbym tak: nie jest to cel podstawowy. Skoro mam do zaoferowania takie filmy jak — wymieniam przykładowo — „Kagemusha", „Cały ten zgiełk", „Casanova" czy „Rydwany ognia" to nikt mi nie powie, że są to tytuły dla przeciętnego widza. A jednak znajduję na nie chętnych. Po pewnym czasie następuje zjawisko nasycenia filmem masowym i rozrywkowym. Jeśli już ktoś zaczyna kompletować własną wideotekę filmową, to woli w niej mieć filmy do których warto wracać. Nie znaczy to jednak iż nie mam tytułów z tzw. konfekcji. I tu można znaleźć sporo filmów całkiem niezłych, które dystrybutor państwowy pomija w swoich zakupach.

O: Co oglądają najchętniej amatorzy wideo?

NN: Największą popularnością cieszy się wciąż i zdecydowanie cykl filmów z Rambo czyli z Sylwestrem Stallone. Wokół tego cyklu — także za przyczyną naszych gazet i tygodników filmowych — narosła taka legenda, iż prawie każdy posiadacz wideo chce „Rambo" oglądać. Generalnie rzecz biorąc można powiedzieć, że najbardziej poszukiwane są filmy sensacyjne (np. trylogia z Clintem Eastwoodem w roli inspektora Callaghana), filmy dla dzieci i melodramaty.

O: Czy wprowadzenie filmu na ekrany kin lub tv, który dotąd był dostępny tylko na kasetach, psuje panu szyki?

NN: Z reguły to nie ma większego znaczenia, choć staram się oferować przede wszystkim tytuły nieopatrzone. A wprowadzenie określonego filmu na ekrany kin często nawet wzmaga popyt na jego wersję kasetową. Tak było np. z serią o „gwiezdnych wojnach" czy z „Poszukiwaczami zaginionej arki" a teraz z RFN-owską „Nie kończącą się opowieścią". Obniża natomiast zainteresowanie kasetą — jak to wynika z moich doświadczeń — emisja filmu w telewizji, choć np. „Ptaki ciernistych krzewów" wciąż dobrze się sprzedają.

O: Czym więc pan tłumaczy ten niewielki wpływ repertuaru kinowego na repertuarowy rynek wideo?

NN: Postawmy się w sytuacji ludzi, którzy mają magnetowid i kompletują kasety. Do kina można pójść raz. A mając kasetę można do filmu wrócić kiedy się chce. To tak jak z książką. Są tytuły, które choć już się czytało, warto mieć na stałe w swojej bibliotece. Kino nie jest konkurencją dla wideo. Raczej odwrotnie.

O: Publicyści często określają działalność takich dystrybutorów jak Pan mianem piractwa autorskiego. A z drugiej strony — biorąc pod uwagę potrzeby rynku i to, że nakręca pan koniunktury ekonomiczne państwa, bo wciąż rośnie sprzedaż dewizowa (tymczasem) magnetowidów i kaset — można uznać to co pan robi za pracę kulturotwórczo i gospodarczo użyteczną. Co pan jako „pirat" i osoba podejrzana o tym sądzi?

NN: W naszej powojennej historii używano różnych etykietek i epitetów i jakoś to wszyscy przeżywaliśmy. Mianem „pirata" można określać zachodnich bussinesmenów, którzy prowadzą całe dzikie firmy, aby nie płacić podatków, autorskich tantiem itp. Czyli są to ludzie, którzy mogą działać oficjalnie, gdyby chcieli. Ze względu na zyski wolą być gangsterami.

Natomiast ja bardzo pragnę działać oficjalnie, płacić wszelkie wymagane świadczenia i spać spokojnie. A nie mogę. Czyli tylko i wyłącznie nieruchawa i inercyjna biurokracja określonych urzędów naszej administracji czyni ze mnie pirata. Ja być nim nie chcę, ale muru głową nie przebiję. Owszem jest problemem: kwestia uregulowania praw autorskich. Zakładając, iż średnio prawa do rozpowszechniania pojedynczego filmu kosztują około tysiąca dolarów — przytaczam ceny podawane w polskiej prasie, a myślę, że w grę wchodzą kwoty o wiele wyższe — wiem, iż nie stać mnie na takie opłaty. W grę mogłyby zatem wchodzić jakieś rozliczenia złotówkowe, może za pośrednictwem ZAIKS, z dystrybutorami zachodnimi. Ale zdaję sobie sprawę, że jest to utopia raczej i mrzonka. Po pierwsze nie mamy armat, czyli dolarów... A nie sądzę, żeby MGM czy Universal czekały na nasze złotówki. Tu koło się zamyka, co zresztą widać w wypożyczalniach państwowych, w których oprócz kilku filmów polskich można znaleźć dwa czy trzy filmy karate produkcji chińskiej i na osłodę „Ghandiego". Natomiast, za pośrednictwem takich „piratów" jak ja, w całej Polsce (w różnych miastach na różnych administracyjnych zasadach bądź całkiem bez zasad) krąży około dwóch tysięcy tytułów z zachodniej produkcji ostatnich pięciu lat. Czy dystrybutor państwowy — przy obecnych możliwościach — będzie w stanie kiedykolwiek stworzyć konkurencyjny dla mnie repertuar? W tej chwili w naszym kraju jest sześćset tysięcy magnetowidów, a może i więcej. Widownię wideo można zatem obliczać na kilka milionów mnożąc skromnie 600 tys. przez cztery. Co oni mają oglądać? Konieczne jest zatem jakieś rozsądne i pragmatyczne wyjście, jakieś małżeństwo między dystrybutorem państwowym i tym prywatnym. Nie może to być małżeństwo tylko z miłości, ale przede wszystkim właśnie z rozsądku.

O: Czy nie opowiadamy czytelnikom „Odgłosów" bajki?

NN: Jak ja to widzę? Otóż działam oficjalnie, uzyskałem odpowiednie zezwolenia. Mam zestaw filmów ciągle wzbogacany o nowe pozycje, jakościowo i technicznie bez zarzutu. Przedstawiam tytuły cenzurze (wszystko zgodnie z obowiązującymi u nas prawami) do akceptacji. Upowszechniam i płacę podatki. I tyle.

O: A prawa autorskie?

NN: No właśnie. I tak wracamy do punktu wyjścia. Ale że ono musi się znaleźć, to nie ma dwóch zdań. Obecna sytuacja jest przecież nader dwuznaczna, a więc najgorsza. Odpowiednie instytucje administracji i prawa ograniczają się do tworzenia złej sławy wokół wideo, którą notabene rozgłaszają popołudniówki, a to, że piractwo, że podejrzany interes, że porno i krwawe jatki itd. itd. Zastanawiam się komu i czemu ma to służyć. Czy wszystkie te kwestie ureguluje nowa ustawa o kinematografii z korzyścią dla takich jak ja i moich klientów? Oby tak było!

O: Rzeczywiście, teraz mamy do czynienia z typową polityką strusia. Rynek wideo jest, ale zachowujemy się tak, jakby go nie było.

NN: Jest to kolejny polski paradoks. W Polsce sprzedaż kaset i magnetowidów, sprzedaż przecież oficjalna, rozwija się bardzo dynamicznie. Ponoć japońscy producenci stwierdzili, iż nasz kraj ma obecnie najbardziej chłonny rynek w Europie: „Pewex" sprzedał w zeszłym roku około miliona kaset, drugie tyle przywieziono z Zachodu. Coś z tym musi się dziać. Magnetowid jak każde inne urządzenie wtedy tylko jest użyteczny, gdy można z niego korzystać. Czy można wyobrazić sobie sprzedaż samochodów przy jednoczesnym braku benzyny? Jeśli zatem sprzedaje się kasety i magnetowidy, to należy się liczyć z tym, że musi funkcjonować nieoficjalny obieg filmów. Jeśli odpowiednie instytucje nie mogą sprostać wymaganiom wielomilionowej widowni wideo, to zrozumiałe, że takie osoby jak ja muszą istnieć i długo jeszcze istniały będą. Jeśli przeszkodzi mi się w działaniu, to na moje miejsce wejdą inni i nie ma na to rady. Bo jak mówię — tę żabę już zjedliśmy. Trzeba było zabronić posiadania magnetowidów i kaset i byłby święty spokój.

O: Dość optymistycznie widzi pan swoją przyszłość. A tu np. słyszy się o projekcie utworzenia konkurencji dla takich jak pan, o repertuarze wideo złożonym z kilkuset tytułów nakręconych przez kinematografię krajów RWPG...

NN: Jestem pełen sympatii dla kinematografii krajów naszego bloku. Jest ona bez wątpienia bardzo dobra. Tyle tylko, że publiczność ogląda ją chętniej w tv niż w kinach. Tej konkurencji się nie boję, z głodu nie umrę. Rynek wideo już jest ogromny, a będzie jeszcze większy. Znajdzie się na nim miejsce także dla filmów z krajów socjalistycznych.

O: Dziękujemy za rozmowę.

Rozmowę przeprowadzili:
SŁAWOMIR JADCZAK
i TOMASZ KUBIK

Polemiki • Listy • Opinie

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

MARIA KLEMENTYNA — KRÓLOWA ANGIELSKA

Niewielu ludzi wie, że Polka była koronowaną królową angielską. Jeszcze mniejsza ich garstka zdaje sobie sprawę, że w archiwum łódzkim, przy placu Wolności wśród wielu innych cennych pamiątek z naszej przeszłości znajduje się prawdziwy list królewski z prawdziwą królewską pieczęcią — list królowej angielskiej Marii Klementyny do ojca... królewicza Jakuba Sobieskiego.

9 maja 1719 r. Maria Klementyna, wnuczka króla Jana III została żoną Jamesa Edwarda Stuarta, koronowanego króla Anglii, Szkocji etc. etc. Ślub odbył się w Bolonii, zanim jednak do niego doszło, młodziutka księżniczka przeżyła wiele romantycznych przygód, a jej dzieje mogłyby stać się inspiracją dla pana Aleksandra Dumasa do stworzenia nowej powieści z gatunku płaszcza i szpady.

Urodziła się 17 czerwca 1701 r. w Mecerata we Włoszech, w słynnym pałacu Morefoschi, a jej ojcem chrzestnym był sam papież Klemens XI. Na oławskim dworze Sobieskich otrzymała młoda księżniczka bardzo staranne wykształcenie. Władała płynnie pięcioma językami. Rodzina od pokoleń lubująca się w malarstwie, muzyce i literaturze kształtowała starannie jej smak i gust. Klementyna była ponoć niezwykle urodziwa: *„...średniego wzrostu, szczupła, o brązowych włosach, z dużymi błyszczącymi, piwnymi oczyma i nieco zadartym noskiem. Wszystko to obleczone młodzieńczą świeżością dawało jej postać, jeśli nie kobiety klasycznej piękności, to przynajmniej osoby niepospolitego wdzięku. Z przymiotami ciała łączyła i zalety ducha — temperament, szlachetność, takt, posłuszeństwo woli rodziców".* Tę oto narzeczoną zyskał Stuart, angielski król — wygnaniec, który — jako katolik musiał ustąpić tronu protestanckiemu kuzynowi Jerzemu I.

Wieść o planowanym małżeństwie wywołała wiele sprzeciwów w Europie. Prośbą, groźbą i pieniędzmi próbowano wymóc na księżniczce odmowną decyzję. Klementyna jednak nie ustąpiła choć przeciwnicy byli daleko potężniejsi. Wtedy cesarz austriacki uwięził ją w zamku Ambres nad rzeką Inn (w Insbrucku), gdy wraz z matką jechała do narzeczonego, który znalazł schronienie w Rzymie. Przez cały czas młodzi oblubieńcy wymieniali gorące listy: *„Wolę być więźniem z Tobą niż królować bez Ciebie"* — pisał Stuart.

Dzięki sprytowi kawalera Wogana, powiernika przyszłego małżonka Marii Klementyny, zdołała ona po siedmiu miesiącach uciec z więzienia. W pięcioosobowej grupie przyjaciół swego wybranego uciekała przez Alpy do Włoch. W rozlatującej się berlince, przebyła szczęśliwie przez Przełęcz Brenneńską. Po wielu trudach ciężkiej podróży 17-letnia księżniczka stanęła na ziemi włoskiej. Została gorąco przyjęta zarówno przez Włochów, jak i przez swych przyszłych poddanych.

I tak oto, idąc za głosem swego serca szlachetna i romantyczna wnuczka króla Jana III zostawiła za sobą wszystko co dotąd stanowiło treść jej życia by dzielić niepewny los z ukoronowanym wygnańcem. Papież troskliwie opiekował się młodym małżeństwem. Ofiarował im pałac i willę letnią, stałą pensję królewską dla każdego z osobna oraz dwór, pozostający również na utrzymaniu stolicy apostolskiej.

Maria Klementyna dała mężowi dwóch synów. Starszy, Karol Edward został następcą tronu — Młodym Pretendentem, zaś młodszy, Benedykt, poświęcony karierze duchownej, był kardynałem Yorku. Na nich skończył się ród Stuartów, gdyż obaj nie pozostawili prawowitych następców. Również na nich, jako na potomkach ostatniej z Sobieskich, skończył się ród, którego najświetniejszym synem był król Jan III.

Maria Klementyna wbrew romantycznym zapowiedziom wielkiej miłości narzeczeńskiej nie znalazła szczęścia w małżeństwie. Małżonek, pochłonięty bezowocnymi zabiegami o odzyskanie królestwa niezbyt często przebywał u boku żony. Również publiczną tajemnicą była słabość monarchy do płci pięknej i tylko obecność u jego boku wielu osób duchownych była hamulcem dla mimo to licznych miłostek królewskich. Maria Klementyna dwukrotnie szukała schronienia w klasztorze, skąd jednak po kilku latach wracała. Coraz bardziej osamotniona królowa stała się dobrym duchem wszystkich potrzebujących pomocy. W tym celu wykorzystywała swoje wpływy na dworze papieskim oraz prywatne skromne środki finansowe. Była też opiekunką artystów — głównie malarzy i rysowników.

Zmarła w Rzymie mając 33 lata. Po jej śmierci miasto pogrążyło się w głębokiej żałobie. Na cały tydzień żałobny wstrzymano wszystkie bale, koncerty i uroczystości, odwołano spektakle teatralne. Stolica Apostolska pogrążyła się w modłach za duszę królowej angielskiej. Kolonia polska sumptem Jana Zauskiego urządziła okazały obchód żałobny. Ciało spoczęło w Bazylice św. Piotra, zaś serce — na własne życzenie królowej — w małym kościółku SS. Apostoli.

Zostało po niej sporo pamiątek w Rzymie i na dworze Sobieskich w Wilanowie. Jej portrety znajdowały się w zbiorach prywatnych oraz Muzeum Narodowego i Biblioteki Narodowej w Warszawie. Piotr Perkowski poświęcił jej balet, a Dunin-Borkowski — dramat.

Łódź również ma pamiątkę po królowej angielskiej z rodu Sobieskich — list pisany po francusku własną ręką królowej zapieczętowany czerwoną pieczęcią z wizerunkiem Kupidyna i dewizą „JE PLEURE TON ABSENCE" — darem męża z najszczęśliwszych lat jej życia.

EWA ĆWIKŁA

MY I ŚRODOWISKO

Nie znam redaktorów R. Kubiaka i P. Tomaszewskiego — autorów artykułu pt. „Świat, który musi zginąć". Nie jest mi też znany Stanisław Drozdowski — dyrektor KWB „Bełchatów". Natomiast znam bardzo wiele faktów związanych z ochroną środowiska w Zagłębiu Bełchatowskim.

W Bełchatowie mieszkałem długo, mam tam nadal rodzinę, stale więc odwiedzam to miasto. Budowę kopalni śledziłem od początku. Jeszcze przed podjęciem decyzji o jej budowie, miałem w ręku opracowanie dawnej WRN w Łodzi, dotyczące m.in. pilnej i nieustannej potrzeby w zakresie ochrony środowiska w nowym Zagłębiu.

Niestety, niewiele z tamtych zaleceń realizuje się w praktyce. Większość powstaje na papierze, co jest przykre, a w przyszłości okaże się z pewnością tragiczne. Dlatego w sporze „dwaj dziennikarze „Odgłosów" — dyrekcja KWB" racja jest, mym zdaniem, po stronie dziennikarzy.

Zarzuty, jakie stawia im w ostatnim piśmie dyrektor są nieudaczną próbą odwrócenia uwagi od meritum problemu. A polega on na tym, że Kopalnia i Elektrownia rozbudowuje się w Bełchatowie i to szybko, ale nie towarzyszą temu żadne kompleksowe, mądre i dalekofalowe, wybiegające w przyszłość działania i praktycznie realizowane programy (lecz nie na papierze), które zniwelowałyby skutki tych potężnych inwestycji. Przecież stepowienie ziemi, brak wody, wymieranie lasów, tudzież pióropusze dymów nad Bełchatowskiem, oznaczające tylko zwiększające się z dnia na dzień zasiarczenie (jakże groźne dla zdrowia ludzkiego i środowiska) widać gołym okiem.

Pan dyrektor Drozdowski wdaje się w polemikę na temat szczegółów i używa argumentów z dawnych, myślałem że już minionych czasów, w stylu „cała załoga oburzyła się..."

Rozmawiałem nieraz z wieloma członkami tejże załogi. Są oni również zaniepokojeni enigmatyczną, mówiąc delikatnie, formą ochrony swego środowiska. Dlatego zamiast sięgać po demagogiczne argumenty, lepiej popatrzeć na mapę kraju. Jeśli zniszczenia środowiska w Bełchatowskiem połączą się z tymi ze Śląska, duża część kraju pokryta zostanie brunatnoszarą kołdrą dymu, zatruć i zanieczyszczeń. I co wówczas powie dyrektor Drozdowski? Że załoga jest zła?

inż. JANUSZ WASIAK
(Warszawa)

SĄD NAJWYŻSZY ORZEKŁ...

Odnosząc się do publikowanych w tygodniku społeczno-kulturalnym „Odgłosy" artykułów dot. sprawy wypowiedzenia umowy o pracę przez Wojewódzką Stację Pogotowia Ratunkowego w Łodzi ob. Anastazji Targaszewskiej — informujemy, iż Sąd Najwyższy — Izba Pracy i Ubezpieczeń Społecznych wyrokiem z 14 listopada 1986 r. Sygn. akt I PRN-82-86 oddalił rewizję nadzwyczajną Prokuratora Generalnego PRL-II-Pc-537-86 od wyroku Sądu Wojewódzkiego — Sądu Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Łodzi z dnia 5.06.1986 r. Sygn. akt II Pr-167-86.

Przeprowadzone w tej sprawie (w kilku instytucjach) wnikliwe postępowanie dowodowe potwierdziło wiarygodność i zasadność okoliczności podnoszonych przez Wojewódzką Stację Pogotowia Ratunkowego w Łodzi stanowiące podstawę dla wypowiedzenia w.w. umowy o pracę.

Na szczególną uwagę zasługuje prezentowane przez Sąd Najwyższy stanowisko, że ob. A. Targaszewska nie posiada predyspozycji do pracy w zespołach pracowniczych, a wręcz odwrotnie konfliktowość Jej i cechy charakteru powodowały dezorganizację pracy w zespołach wyjazdowych położniczych i w tut. Stacji.

lek. med. JERZY OKIŃCZYC

WIELE WIDZIAŁEM

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem cykl artykułów Andrzeja Makowieckiego o „naszych" rodakach w Meksyku. Przyznam, iż ta tematyka, ten problem, nie są mi obce, tzn. nie chcę przez to powiedzieć, iż znam z autopsji emocje związane z przekraczaniem granicy Meksyku i USA. Przez dłuższy czas — ponad rok — przebywałem w Chicago. Nie był to pierwszy pobyt w tym mieście. Wielokrotnie wcześniej przebywałem tam w czasie wakacji w trakcie studiów. Lecz dopiero mój ostatni samodzielny pobyt przez rok pozwolił na głębsze poznanie przede wszystkim środowisk polonijnych, a głównie tej ostatniej emigracji zarobkowej — „małorolnej".

Moje odczucia dotyczące poziomu intelektualnego, obycia, kultury na co dzień tych ludzi są zbieżne z wrażeniami Andrzeja Makowieckiego. Poznałem wiele grup Polaków mieszkających w Chicago — „grup" bo dzielą się głównie regionami Polski skąd przybywają. Szkoda, że jak dotąd nikt nie próbował przynajmniej opisać swoistego kolorytu „polskiego Jackowa" w Chicago, problemów z jakimi borykają się nasi dzielni małorolni już na Okęciu, że o JFK w Nowym Jorku nie wspomnę. Kiedy opowiadałem znajomym co poniektóre zdarzenia, incydenty z „naszymi" w roli głównej, wielu sądziło i twierdziło, że to niemożliwe, że przesadzam...! Rozpacz i śmiech, łzy i groteska, duma i upokorzenie, można by wyliczać długo...

Kilkakrotnie zastanawiałem się, aby to opisać. Myślę, że byłoby to dość ciekawe, widziałem wiele, znacznie więcej niż widzi przeciętny „turysta" z Białegostoku, Moniek czy Tarnowskiego. Miałem tę przewagę, że w sumie bez problemów mogłem się porozumiewać po angielsku, nie zawsze jednak ta znajomość języka wychodziła mi na dobre, „kochana" bezinteresowna zawiść kolegów z Moniek czy Krosna robiła nieraz swoje.

ANDRZEJ GIL
(Poznań)

CZARNE CHMURY NAD „CHOCHLIKIEM"

Międzyzakładowy Klub Pracowników Poligrafii „Chochlik" powstał blisko 15 lat temu, jeszcze jako świetlica w domu przy ul. Piotrkowskiej 106. Od 10 lat już jako klub mieści się na I piętrze budynku przy ul. Rewolucji 1905 roku nr 10. W finansowaniu placówki partycypuje 7 łódzkich zakładów poligraficznych, ale władzę zwierzchnią nad nim sprawuje kierownictwo Łódzkiej Drukarni Dziełowej.

Klub jest mały, zajmuje cztery pomieszczenia (w tym salę widowiskową), gdzie skupiają się działania młodzieży śródmiejskiej, m.in. z ulic Wschodniej i Rewolucji 1905 roku, nie posiadających specjalnie dobrej opinii w oczach mieszkańców miasta. Jest on wyposażony w magnetofon, telewizor kolorowy „Videoton", aparaturę nagłaśniającą, aparat projekcyjny AP-14, komputer oraz mikrokomputer, instrumenty muzyczne. Część tego sprzętu została zakupiona z dotacji Dzielnicowej Rady Narodowej Łódź-Śródmieście.

Posiadanie tego sprzętu zapewniło zorganizowanie szeregu zespołów, do których pozyskano wielu bywalców klubu z kręgów młodzieży uczącej się zawodu poligrafika, pracowników maszynowni, chemigrafii, introligatorni i administracji, jak też wśród młodych mieszkańców okolicznych ulic organizując im godziwy wypoczynek po pracy i rozrywkę. Kieruje nim Społeczna Rada licząca 11 osób pod przewodnictwem Henryka Mokałajczuka. Jest ona organizatorem wielu ciekawych imprez m.in. spotkań z rozrywką, koncertów estradowych, recitali, wieczorków tanecznych, dyskotek, spotkań z rencistami i emerytami, wieczornic młodzieżowych, imprez dla dzieci.

Istnieją przy nim trzy stałe zespoły — muzyczny, młodzieżowy Rock, „złotej jesieni", a także sekcja brydżowa. Zespoły klubowe są współorganizatorami centralnej akademii z okazji „Dnia Drukarza", zaś od trzech lat biorą udział w koncercie plenerowym organizowanym w ramach „Dni Kultury Robotniczej", które odbywają się w maju.

Ostatnio nad klubem zawisły czarne chmury. Budynek przy ul. Rewolucji 1905 roku nr 10 przeznaczony jest do rozbiórki. Terminy jej wyznaczane były dwukrotnie. Moim zdaniem szkoda byłoby, aby ta placówka kulturalna została zlikwidowana. Gdzie wówczas mogłyby znaleźć miejsce na zebrania ogranizacje społeczne, spotykała się młodzież poligraficzna i okoliczna?

MIECZYSŁAW KOZAK

JESZCZE RAZ W SPRAWIE REPORTAŻU Z „GORĄCĄ KRWIĄ"

Przeczytałam w „Odgłosach" z 21.02.1987 r. opublikowany list podpisany pełnym imieniem i nazwiskiem sprawcy śmierci mojego męża. Do pana decyzji będzie należało, czy skorzysta pan z treści mojego listu czy też nie. Pragnę jednak podkreślić, że reportaż z „Gorącą krwią" opublikowany w „Odgłosach" 17 maja 1987 r. pokrywa się z faktami, jakie miały miejsce w tragicznym dniu aż do rozprawy sądowej 18.03.1986 r.

Pragnę przytoczyć treść oświadczenia, jakiego żądała już 20.12.1985 r. tj. w dzień po tragedii — żona Karola Mika. Przytaczam niżej dosłowną treść:

„Ja... jako żona poszkodowanego nie zgłosiłabym pretensji w wypadku uchylenia przez Prok. Rej w Bełchatowie aresztu tymczasowego p-ko K. Mikowi w sprawie spowodowanej śmierci mojego męża". (...)

Proponowane mi 04.01.1986, „30 srebrników" w zamian za oświadczenie, miały być zaliczką. Oświadczenia tego według słów żony sprawcy miał żądać Prokurator.

Gdzie był humanitaryzm W. Mika w dniu tragedii?, kiedy zostawił postrzelonego przez siebie, nieprzytomnego, krwawiącego człowieka w lesie? (...)

Od chwili zwolnienia z aresztu tymczasowego (tj. 21.02.1986) do chwili obecnej, ten „humanitarny" człowiek, „przyjaciel" i „osoba bliska", nie zdecydował się na rozmowę ze mną, na temat krzywdy jaką wyrządził mnie, matce męża i naszym dzieciom.

Proszę o zachowanie mojego nazwiska do wiadomości redakcji.

Z poważaniem
J.T.R.

OD REDAKCJI: Listem tym zamykamy sprawę reportażu Romana Kubiaka „Z gorącą krwią".

„STWORZONKA, KTÓRYCH NIE POWINNIŚMY POLUBIĆ"

Po zapoznaniu się z treścią artykułu pt. „Stworzonka, których nie powinniśmy polubić" zamieszczonego w numerze 9(1509) z 28 lutego 1987 roku — Łódzki Zakład Dezynfekcji, Dezynsekcji i Deratyzacji w Łodzi pragnie uzupełnić i sprostować niektóre zawarte w nim informacje, a mianowicie:

— związki karbaminianowe stanowią dziś w rolnictwie i praktyce sanitarnej bardzo znaczącą grupę preparatów przy zwalczaniu owadów, a jeden z tych preparatów „Karbosep" jest stosowany przez Łódzki Zakład DDiD. Ze względu na jego dostępność na rynku krajowym i brak zapachu jest niezastąpiony przy dezynsekcjach piwnic, zsypów, klatek schodowych itp. Właściwością tego środka jest opóźnione działanie bójcze lecz bez wpływu na ostateczny rezultat;

— ograniczenia w stosowaniu „Coopexu" związane są nie tylko z ceną (ca' 70 dolarów za 1 kg) ale i z tym, że dłuższe stosowanie jakiegokolwiek preparatu na tym samym terenie wywołuje odporność u owadów;

— Zakład DDiD nie stosuje preparatu „Cepone". Był to preparat produkcji amerykańskiej o działaniu pokarmowym. W Szpitalu im. Madurowicza i w innych szpitalach stosowała go Wojewódzka Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna, jednak od szeregu lat preparat został wycofany z użycia w związku ze stwierdzeniem jego rakotwórczych właściwości. Za pozostawione kapsle, jak się wydaje Stacja San.-Epid. nie może odpowiadać,

— pojęcie rezydualności wiąże się z nałożeniem środka na podłoże. Po odparowaniu rozpuszczalnika pozostaje tzw. depozyt, posiadający właściwości owadobójcze. Działanie to zachowuje się przez kilka względnie kilkanaście dni, tj. do czasu zmycia, zmiecenia względnie przykrycia kurzem. Nałożony depozyt, aby spełnić zadanie musi posiadać właściwości kontaktowe tj. zdolność rozpuszczania się w powłokach chitynowych owadów i paraliżowania ośrodków nerwowych. Oprócz preparatów o działaniu kontaktowym stosowane są preparaty pokarmowe (obecnie „Max-Force") i oddechowe tzw. fumiganty (np. „Winylosep"). Są też stosowane pułapki mechaniczne w postaci lepów;

— walka z inwazją owadów w mieszkaniach nie jest bezradzielna z chwilą spełnienia podstawowych warunków sanitarnych przed i po dezynsekcji,

— Zakład DDiD gwarancji na skuteczność dezynsekcji nie udziela, mimo stosowania niezawodnych preparatów posiadających atest Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej. Gwarancje udzielane przez wykonawców prywatnych nie zawsze znajdują pokrycie w rzeczywistości.

W związku z koniecznością zainteresowania społeczeństwa sprawami dezynsekcji i deratyzacji Zakład DDiD czuje się zobowiązany wyrazić „Odgłosom" wdzięczność za podjęcie tematu akcentującego sprawy sanitarne nierozerwalnie związane z zagadnieniem zwalczania owadów i gryzoni.

dyr. ANDRZEJ MANIARA

Z PIOSENKĄ DO OPOLA

Komitet Organizacyjny XXIV Krajowego Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu oraz Związek Polskich Autorów i Kompozytorów Rozrywkowych ZAKR i „Estrada Opolska" ogłaszają konkurs otwarty na piosenkę.

1. Celem konkursu jest wybór do prezentacji na festiwalu „Opole—87" oraz dalszej prezentacji publicznej (w radiu, tv i na estradzie) nowoczesnej, ambitnej i przebojowej polskiej piosenki w dowolnym stylu (ballada, pop, country, folk, disco, rock, nowa fala, „muzyka środka", kabaret itp.).
2. Konkurs ma charakter otwarty.
3. Warunkiem uczestnictwa w konkursie jest nadesłanie pod adresem organizatorów XXIV Krajowego Festiwalu Polskiej Piosenki:
   a) głosu z fortepianem lub kasety magnetofonowej z nagraniem skomponowanej piosenki.
   b) 3 egzemplarzy tekstu w maszynopisie,
   c) oświadczenia twórcy o premierowym charakterze utworu podpisanego godłem (w osobnej kopercie opatrzonej tym samym godłem i tytułem utworu należy umieścić nazwisko i adres kompozytora i autora tekstu).
4. Każdy twórca może zgłosić nie więcej niż trzy utwory. Pożądane jest wskazanie nazwiska wykonawcy.
5. Ocenie podlegają utwory dotychczas nigdzie publicznie nie wykonywane i nie publikowane drukiem ani na płytach lub kasetach.
6. Jury — powołane przez organizatorów — przyzna nie mniej niż sześć i nie więcej niż 12 równorzędnych wyróżnień, każde z nich w kwocie nie mniejszej niż 50.000 zł do równego podziału pomiędzy kompozytora i autora tekstu.

Wyniki konkursu zostaną przedstawione do wykorzystania w koncercie „Premiery — Opole'87" oraz w koncercie piosenki autorskiej i kabaretowej — zgodnie z charakterem prezentowanych utworów.

7. Plon konkursu zostanie przedstawiony Radzie Artystycznej Festiwalu do ewentualnego wykorzystania w konkursie „Premiery" oraz w nagraniach radiowych i telewizyjnych.
8. Jury zastrzega sobie możliwość innego podziału wyróżnień.
9. Materiały tekstowe, nutowe i nagrania należy przesłać do 15 kwietnia 1987 r. (obowiązuje data stempla pocztowego) pod adresem: Zarząd Główny Związku Autorów i Kompozytorów Polskich ZAKR, 00-092 Warszawa, ul. Hipoteczna 2, z dopiskiem „Konkurs na piosenkę" lub: „Estrada Opolska", 45-056 Opole ul. Kośnego 32 a, z dopiskiem „Konkurs na piosenkę".

Nadesłane materiały konkursowe nie będą zwracane.

10. Ogłoszenie wyników konkursu w prasie, radiu, tv oraz pisemne powiadomienie o tym twórców wyróżnionych utworów nastąpi 30 kwietnia 1987 r.

Grobu Rachel strzegą żołnierze. Bomba pod Ścianą Płaczu. Gdzie była Sodoma. Leżąc na wodzie Martwego Morza. Czy powstanie religijna policja w Izraelu?

Tyle historii na tak małym skrawku ziemi

JACEK MACIASZEK

Wieża Dawida w Jerozolimie

Święte księgi podają, że Jezus narodził się w Betlejem, dokąd pewne wypadki przywiodły jego ojca (?) i matkę. Józef był rzemieślnikiem, więc można by było podejrzewać, że w interesach udał się do Betlejem. Ale Pismo Święte mówi, że ich podróż wiąże się ze spisem ludności, jaki miał miejsce wtedy. Tak więc Jezus nie narodził się w swoim rodzinnym domu, w Nazarecie, tylko w małej betlejemskiej stajence. Ale Betlejem to nie tylko miejsce ściśle związane z Jezusem, to także początki kultury starożydowskiej.

Jadąc do Betlejem z Jerozolimy (kilka kilometrów) napotykamy miejsce szczególnie święte dla Żydów — grób biblijnej Rachel.

„A tak umarła Rachel i pogrzebiona jest na drodze ku Efracie toć jest Betlejem".

Grobu strzegą izraelscy żołnierze przed częstą w takich miejscach kultu — prowokacją. Płacz i lament. Zawodzenia kobiet w czarnych chustach. Do niej to przychodzą ze swoim żalem, do niej — do Matki, do królowej Izraela.

Betlejem Podobno tutaj zatrzymał się Dawid, zanim został mianowany królem Izraela. Ważnym miejscem, związanym z kulturą żydowską, są Pola Salomona, a na nich urządzenia do transportowania wody do Jerozolimy, o których wspomina Stary Testament.

BETHLEHEM — to po hebrajsku — dom chleba. Ale spichrzy, czy młynów jakoś nie widać. Atmosferę miasta stwarza wielka ilość kościołów i klasztorów, najróżniejszych wyznań. Mamy więc tutaj Kościół Świętej Rodziny obok Zakonu Franciszkanów, Pierwszy Baptyjski Kościół obok Grecko-Katolickiego Zakonu. Kościół Luteranów, Salezjanów, Bóg jeden wie jaki jeszcze... Czuję się jak barbarzyńca chodząc po tak świętym miejscu, pijąc piwo... Tę religijną atmosferę — jak informują w przewodnikach — potęgują jeszcze liczne bicia w dzwony i procesje.

Nietrudno się dziwić, że właśnie tutaj wyrosło mnóstwo sklepów oferujących podróżnemu najróżniejsze pamiątki i relikwie... łącznie z pięknie opakowaną — ziemią świętą... I można pewnie dostać drzazgę z chrystusowego krzyża, o którą zabijała się cała średniowieczna Europa, ale nie wiem, bo nie pytałem. Miejsce narodzin Jezusa ściąga, szczególnie w Boże Narodzenie tłumy pielgrzymów z całego świata. Niedaleko miejsca Jego narodzin w ciągłej projekcji film „Jezus", nakręcony w oryginalnych plenerach Palestyny. „Jezus" jest reklamowany:

„To jest największy uzdrowiciel, w którego możesz uwierzyć! Tutaj jest życie dla Ciebie! Jezus — eksperyment zmiany życia".

Kino puste o tej porze. Ale za 10 dolarów można włączyć maszynę projekcyjną. Nawet dla dwóch, zabłąkanych turystów, z dalekiego północnego kraju.

JEZUS WJECHAŁ NA OSIOŁKU DO JERUZALEM

„A gdy on wjechał do Jeruzalem wzruszyło się *miasto, pytając kto on jest. A lud wołał, juści jest to Jezus, on przychodzi z Nazaretu Galilejskiego".*

Tutaj, w Jerozolimie przypada okres największej działalności Chrystusa. Tutaj medytował, tutaj nauczał, tutaj bronił swojej idei. Pojmany i skazany, chciałoby się rzec w „trybie doraźnym", dał się zaprowadzić na miejsce stracenia.

„Ale to wszystko stało się, żeby się wypełniły Pisma Prorocze".

Wjeżdżamy do Jerozolimy nowoczesnym, japońskim „Suboro" i choć rozglądałem się baczne, osiołków tu nie widać. Miasto położone na kilku wzgórzach, wzniesione na tarasach, kamień na kamieniu, przypomina — może swoją kamiennością.. stolicę Inków. Mijamy nowoczesne dzielnice, bloki zbudowane z białego kamienia, jako że jest to, jak się dowiedziałem, budulec najbardziej ekonomiczny w tym rejonie i daje piękny efekt estetyczny. Często trudno rozpoznać jakąś pozostałość dawnych czasów od nowoczesnego budynku — tak to żyje w przedziwnej symbiozie — stare i nowe. Jerozolima to perła tej części świata, kamienna perła....

I jest to miejsce święte prawie dla każdego. Mają tu swoje świątynie Muzułmanie i Żydzi, no i przede wszystkim chrześcijanie. Dziś Jerozolima liczy około 650 tys. mieszkańców, z tego 200 tys. to Arabowie, także arabscy chrześcijanie. Żeby je całe zwiedzić nie starcza czasu. Sercem tego miasta jest Stare Miasto (Old City), otoczone wysokim murem, do którego wiedzie 8 bram. Tutaj obok pięknego meczetu Omara, ze złotą kopułą, która już teraz nie jest ponoć ze złota, znajdują się miejsca związane z życiem Chrystusa. Najważniejszą częścią tego miasta, oczywiście dla chrześcijan jest Via Dolorosa, zaczynająca się niedaleko Bramy Świętego Stefana, prowadząca przez kręte uliczki arabskie — pełne małych sklepików. Tędy prowadzono Jezusa na Golgotę.

Można sobie wyobrazić Jezusa, jak z krzyżem na plecach pokonuje ten targujący się, wielojęzyczny tłum. W piątki, a szczególnie przed Wielkanocą, odbywają się tutaj specjalne procesje, które oddają tę atmosferę. 14 stacji, na miejscu których postawiono kościoły, obrazujące kolejne etapy Męki Pańskiej. Ostatnią stacją jest Golgota, gdzie znajduje się Grób Chrystusa, i można tam wejść zakładając długie spodnie, zostawiając bagaż strażnikom i dotknąć miejsca, gdzie On leżał.

A za grobem mały kantor.

Można tu dotknąć jeszcze czegoś, co musi być szczególnie święte i dostać jakiś poświęcony różaniec i błogosławieństwo jakieś od Koptysty, w czarnym chałacie i z długą brodą, ale potem trzeba zapłacić, bo biznes jest biznes. Nawet tutaj.

Stanęliśmy w kolejce i już trzymałem święty różaniec w dłoni, już krople świętej wody spłynęły po mnie, lecz kiedy Koptysta zobaczył nasze nędzne 100 czy 500 złotych zbladł i wpadł w furię. Ofiarowaliśmy mu później forinty pozostałe z tranzytu, korony czeskie, które przypadkiem znalazły się w mojej kieszeni, no i na końcu markę enerdowską, którą już prawie kupił jako tę zachodnią, ale wnet poznał i wpadł w podwójną furię i nie dostąpiliśmy.

ZBLIŻYLIŚMY SIĘ DO ŚCIANY PŁACZU

Niedawne wypadki w tym miejscu spowodowały wzrost napięcia w stosunkach żydowsko-arabskich. W Jerozolimie co jakiś czas dochodzi do jakiejś prowokacji, a w następstwie eskalacji antagonizmu. Kilka tygodni temu, przy Ścianie Płaczu właśnie, przy ścianie, która ma szczególne znaczenie dla wszystkich Żydów, jako pozostałość ostatniej świątyni żydowskiej zburzonej przez Rzymian, wybuchła bomba podłożona przez terrorystów arabskich.

Byliśmy tu trochę wcześniej. Widzieliśmy modlących się Żydów, w rytualnych pozach, „bijących głową w mur" — chasydzi i cadykowie z pobliskich jeszybotów (akademie talmudyczne), w czarnych garniturach i kapeluszach, z brodami i pejsami, przyklejeni do białego kamienia coś szepcą....

Do ściany przybywają nowożeńcy i żołnierze po przysiędze.

Właśnie wtedy, gdy doszło do tej tragedii (jedna osoba zginęła, wiele rannych) odbywało się zaprzysiężenie żołnierzy Cahalu i wybuch był, jak się przypuszcza, wymierzony w siły zbrojne Izraela. Do wybuchu od razu przyznała się OWP, sprawców ujęto.

Ale na tym się nie skończyło. Kilka tygodni później zamordowano ucznia jeszybotu Szuwu Banim. Sprawców także ujęto. Okazali się nimi trzej terroryści z Dżenina. Ekscesy antyarabskie jakie potem nastąpiły, były, jak się podkreśla bezprecedensowe. Atakowano poszczególnych ludzi, było kilka wypadków podpaleń. Ekscesy rozpoczęły się od razu po morderstwie i nasiliły się w czasie pogrzebu oraz po pogrzebie. Wśród tych, którzy dopuścili się ekscesów wobec arabskich mieszkańców Jerozolimy rej wodzili ludzie Kahany (jedyna partia o faszystowskiej orientacji) oraz uczniowie jeszybotu, którego rabin wzywał do pomszczenia zamordowanego. Ekscesy ugodziły głównie w mieszkańców Starego Miasta i — jak się tu podkreśla — jeszcze raz udowodniły, że to woda na młyn ludziom którzy są przekonani, że wspólne życie Arabów i Żydów w tym kraju jest niemożliwe.

Nocleg, jakby w oazie, w Domu Polskim, w samym środku Starego Miasta, prowadzonym przez Siostry Elżbietanki, dla pielgrzymów z Polski i nie tylko. Trafił się nam wygodny pokój i strawa. A potem błogosławieństwo na dalszą drogę.

OPUSZCZAMY TO PIĘKNE, LECZ NIEBEZPIECZNE MIASTO

i arabskim autobusem, bo to taniej, udajemy się do Jerycha. To taniej, okazało się w konsekwencji drożej, bo czas to pieniądz, a my byliśmy na dworcu o 11,00, autobus miał odejść przed 12,00, w końcu wyjechał około 13,00, bo czekaliśmy na komplet podróżnych. Autobus arabski — jak to autobus arabski — sami Arabowie i tylko my Europejczycy. Chcieliśmy zrobić zdjęcie w tym autobusie i było oburzenie wielkie, ale i tak zrobiliśmy „narażając życie". A kiedy dojechaliśmy do Jerycha, upał był tak wielki, że nic nie było widać, oprócz falującego powietrza i tylko chciało się pić i nie było co zwiedzać oprócz Pałacu Hishama i Monasterów. Ale może nie wiedzieliśmy dokładnie, bo z usług przewodnika zrezygnowaliśmy.

Jest to ponoć najstarsze miasto na świecie i już. Przynajmniej tak się je reklamuje. Wątek murów Jerycha w literaturze światowej, to co najmniej jeden gruby tom, ale tych murów nie widać tam. Może się „porozwalały i pękły". A potem jadąc wciąż na wschód, przez tereny zajęte przez Izrael po wojnie czerwcowej w roku 1967, jest coraz mniej zieleni, a za to robi się coraz pustynniej i ludzi coraz mniej.

Kąpiel w Morzu Martwym — nazywanym przez niektórych „morzem zdechłym" nie jest przyjemna, bo tylko leżeć można w soli, czytać książkę, a ryb nie ma ani roślin, bo to jest naprawdę morze martwe. I kiedy „z martwego" wstałem, to szybko pod prysznic, żeby spłukać tę sól, bo inaczej można zdechnąć w ciągu kilku godzin na tym słońcu i być jak to morze. Więc takie morze, które jest właściwie większym jeziorem, służy do leżenia i na kości, i do zdjęcia z gazetą albo robótką na drutach i się nie tonie.

Za Martwym Morzem widać Jordanię, ale nie wiadomo, co tam jest, bo tylko widać poprzez mgłę, skały i skały.

Jedziemy wąwozami wzdłuż tego morza — jak to się mówi trampem czyli autostopem. W tej okolicy jest już trochę niebezpiecznie, bo czasem giną tutaj ludzie nie wiadomo gdzie i kiedy i piękne żołnierki są gwałcone. Pejzaż też nie należy do bajkowych, raczej jak ze złego snu. Ale ta surowość jest też piękna. Mijamy Masadę — punkt oporu Żydów pod wodzą Bor-Kochby w powstaniu przeciwko Rzymianom, a pod tą historyczną górą pasą się wielbłądy, spod skał wydłubując kępki trawy. Na Masadę wchodzi się teraz, żeby zobaczyć wschód słońca, a słońce wschodzi od strony jordańskiej nad Morzem Martwym.

Co chwila napotykamy jakiś patrol wojskowy: — *Where are you from?* — pytają, ale nie jest to jakaś kontrola, tylko nudzą się na tym pustkowiu i muszą z kimś pogadać. — *We are from Poland.*

— *Yes Holand... Beautiful — country...*

— *Not Holand, Poland*

Polska, dochodzimy do tego wspólnie, jest też piękna, też mamy swoje góry i morze, które niedługo będzie martwe...

Po drodze jeszcze En Bokek, gdzie same ekskluzywne hotele, a w tych hotelach sami Niemcy, moczą się rano w słonej wodzie, a potem piwo piją, rozmawiają głośno...

Śpimy na plaży, na wieży ratownika (co za absurd — ratownik tutaj!) i czekamy w nocy na desant jordański, ale jakoś nic, nawet słona woda nie drgnie. Chcemy jechać aż do Ejlatu, bo już wiemy, że jest to jedno z najpiękniejszych miejsc... Niektórzy mówią, że na świecie, ale zaczyna się szabat, w wielkich miastach komunikacja staje, tutaj też ten nienadzwyczajny ruch umiera. Więc czekamy po kilka godzin, gdzieś nad Morzem Martwym, gdzie to trudno ustalić i tuż przy Jordanii. Brakuje nam wody, którą dobywamy w jakiś kibucach, czy maszawach, i na szczęście — nie trzeba za nią płacić, choć to prawie pustynia. A niedaleko dalej, to już miejsce znane chyba każdemu.

SODOMA, OZNACZONA NA MAPIE JAKO SDOM

Wszystko wygląda tu jakby właśnie wczoraj Jahwe spalił miasto, zrównał z ziemią. Stoi tu teraz Kombinat Morza Martwego i produkują sól potasową. Myślę o tym, jak Jahwe potraktował sodomitów, bo stoi w Starym Testamencie „oko za oko, ząb za ząb". Więc myślę, że miejsce to powinno stać się punktem pielgrzymek wszystkich sodomitów, nekrofilów i no powiedzmy sadystów. Przypomina mi się wiersz:

niosą jak drwale płomienie toporów
miecze zagłady owinięte w gazety
źrenice mają rozszerzone jakby niebo ćpali
jeżeli znajdą pięciu sprawiedliwych
to zawrócą
o wybawcy!
podchodzę
patrzę im w oczy
tłumaczę
swoją przypadkową obecność w tym zepsutym mieście.

Czekaliśmy, paląc papierosy, jeszcze chyba „Extra Mocne" z Polski, ale aniołowie zagłady nie przyszli, a w Kombinacie Martwego Morza szła produkcja jak zwykle. Na tym miejscu, gdzie może kiedyś było miasto, ludzie sobie żyli, rodzili dzieci itd. i może mieli trochę za duże potrzeby seksualne.

My też musimy zaspokoić potrzebę, a właściwie pragnienie, tak czekając może już tylko 100 kilometrów od Ejlatu, gdzie morze jest Czerwone, żywe. Co dwie godziny jakiś zbłąkany samochód, a my już chcemy jechać nawet z powrotem do Jerozolimy, a później do Nazaretu. Więc czytam w informatorze, co tam jest.

Nazaret, dom dziecięcy Jezusa, położony na wzgórzach Dolnej Galilei, z którego roztacza się widok na zieloną dolinę, w niektórych miejscach widok pozostał taki sam jak za czasów Jezusa. Dziś w Nazaret mieszka 40 tysięcy Arabów.. Wiele kościołów, orientalny bazar, restauracje i kawiarnie...

Wreszcie zatrzymuje się samochód, a w nim młody Żyd — jak się okazuje — z Polski, nawet z Łodzi. Jest on teraz kierownikiem (należałoby powiedzieć menedżerem) dość pokaźnego hotelu w Tel Awiwie. Opowiada o swojej pracy, o koszernej kuchni, co jest szczególnie interesujące, bo zasady koszerności możecie państwo znaleźć w Starym Testamencie. Taka restauracja posiadająca markę koszer musi pilnie przestrzegać dość skomplikowanych (choć podkreślają niektórzy — zdrowych) procedur. Do tej kuchni przychodzi, co kilka dni, rabin, w tradycyjnym stroju i bada, czy się przestrzega koszerności i może odebrać licencję. Czy mięsa nie przechowuje się razem z nabiałem, czy są dwa oddzielne stanowiska do mycia naczyń, no i zastawy dwie — jedna do mleka (halawi), druga do mięsa (basarr) i w ogóle czuwa nad tym całym rytuałem.

Menedżer płaci temu rabinowi ileś tam szekli co miesiąc, ale dzięki temu ma patent i może się reklamować: *„Hotel z koszerną kuchnią".* Byliśmy w tym hotelu i jadło się najczęściej kurczaki, ale faktycznie jagnię w mleku matki nigdy nie było gotowane.

A w ogóle to religijni mają w tym kraju wiele do powiedzenia. Rabini decydują, czy można przeszczepiać narządy ludzkie, cenzurują życie kulturalne. Rabinat wstrzymuje komunikację (w szabat), a jest to dla wielu obywateli jedyny dzień wolny od pracy, odwołując się do bardzo dalekiej tradycji (starożytnej Judei). Próbuje się na nowo wprowadzać rok szabatowy, w którym to roku (przypadającym raz na 7 lat) uprawa roli i winnic była zakazana. Ostatnio mówi się, że ma powstać specjalna policja religijna, która ma walczyć z nadużywaniem marki: „KOSZER". A wtedy biada tym wszystkim, którzy sprzedają mięso świni jako świeże ryby. Ale podkreśla się też wychowawczą funkcję religii, co już zabrzmi jak banał — w integracji młodego państwa, czy choćby w ratowaniu zbłąkanych w izraelskich więzieniach.

Święta Ziemia. A na tej ziemi pobudowano nowoczesne drogi. Kiedyś tę ziemię Jahwe obiecał Żydom, błogosławił ją i palił deszczem siarki. Po niej stąpał Jezus... Tyle historii na tak małej powierzchni i wspomnienia Polski przywiezione przez Żydów. No i postać Marka Hłaski, który się jakiś czas kręcił po tej ziemi. Ale to było dawno. Izrael przypominał wtedy Dziki Zachód i można było być wtedy [illegible] kowbojem i Chrystusem.

To, że ujemne zjawiska występują u innych, nie musi nas rozgrzeszać. Popatrzmy natomiast, jak Węgrzy chcą się temu przeciwstawić. I w imię jakich racji!

Czy niechlujne społeczeństwo?

ELEMER HANKISS

W miesięczniku „PREZENTACJE" nr 11 z 1986 r.) praktycznie dostępnym tylko w bibliotekach, zamieszczono niezwykle ciekawy i krytyczny artykuł socjologa węgierskiego Elemera Hankissa. Jest to przekład z czasopisma „Valóság" (luty 1986). Mamy nadzieję, że tekst ten zainteresuje również naszych czytelników.

Ileż to już razy lamentowaliśmy nad tym, że biegnące z zachodu na wschód przebogate nici kultury europejskiej stopniowo przecierają się, są coraz cieńsze, strzępią się, a ich żywe kolory szarzeją. Drogi stają się bardziej zakurzone, zaczynają odpadać tynki, coraz bardziej kapią krany, brudniejsze są umywalki, niedokładniej chodzą zegarki, terminy przeciągają się, umowy są coraz mniej pewne, urzędy robią się niecierpliwsze, a ludzie coraz bardziej apatyczni i skłonni do kradzieży. Ten lament przechodzi raz w samobiczowanie się, innym razem przeradza się w obronę nas samych, samouspokajanie się bądź też w oskarżanie innych, świata i warunków: czasem natomiast przybiera formę zazdroszczenia innym.

Wszystko to, jak dobrze wiemy, nie ma sensu. Sens odnajdziemy dopiero wtedy, gdy dokładnie rozejrzymy się wokół siebie i uporządkujemy swoje podwórko. A potrzeby wprost chcąc nieustannie odrabiać dystans dzielący nas od innych. Ale czasu starcza nam tylko na to, by w ogromnym pośpiechu pozałatwiać jakoś swoje sprawy oraz utrzymać w jako takim porządku kraj i samych siebie — zwiększając tym samym jeszcze bałagan, przemieszanie wszystkiego ze wszystkim, a także zewnętrzny oraz wewnętrzny ład.

Po co ten wielki pośpiech? Na to pytanie zwykliśmy odpowiadać, że dlatego, iż od wielu wieków pozostajemy w tyle za rozwiniętym Zachodem. Albo jeszcze dokładniej: kiedy wyjechaliśmy konno w tę niecką Karpat, oni już byli daleko przed nami i od tamtego czasu na próżno staramy się ich dogonić. A przecież nasze możliwości nie były wcale takie małe. Tacy na przykład Finowie czy Norwegowie znacznie później i w znacznie gorszych warunkach zaczęli się zbierać w sobie, a jednak udało się im znacznie lepiej.

Dość rozpowszechnione jest u nas przekonanie, że nie warto zabierać się za nic, bez względu na to, jak bardzo byłoby to ważne i potrzebne, gdyż nasze wysiłki i tak skazane są na porażkę. Nasza nerwica w tym względzie jest już bezgraniczna i nie uznająca żadnych rozsądnych uwag. Skazanie na porażkę odbieramy już powoli jako narodowe fatum. Nerwica ta bierze się z naszego postrzegania historii, promieniuje nią większość naszych historycznych sztuk, programów telewizyjnych, filmów i powieści. (...)

Żałobnie smutny obraz nas samych odnosi się nie tylko do naszych osiągnięć historycznych, ale i obecnych sukcesów. „Ach, przecież to tylko tandetne węgierskie radio, dżinsy, pióro, adidasy..." — słyszymy co chwila z ust dzieci. „Niestety, dostaliśmy tylko węgierską... frezarkę, przyprawę, film, surowiec" — mówimy często między sobą. I jako pięcio-, dziesięcio-, dwudziesto-, czterdziesto-, czy sześćdziesięcioletni obywatele wspólnie wzdychamy na widok — „ach, ależ to wspaniałe... japońskie, niemieckie... amerykańskie — zagranicznych rzeczy. To co węgierskie, osądzamy już z góry jako przestarzałe, gorsze, brzydsze i mniej wytrzymałe. (...)

Szukając obecnych przyczyn zewnętrznego i wewnętrznego nieporządku najczęściej uczepiamy się naszej biedy. Bieda. Ależ oczywiście. Ona jest wszystkiemu winna. Przez nią odpadają tynki, cuchną toalety, rdzewieją maszyny, gnuśnieją dusze. Nie jest to tłumaczenie całkowicie bezpodstawne, albowiem cement rzeczywiście jest drogi, drogie są dobre farby, również utrzymanie porządku wymaga wiele czasu i pieniędzy, a kto ma na głowie tysiące problemów zaniedbuje swoje obowiązki i tak dalej. Ale bieda sama w sobie nie wyjaśni patologicznego i obojętnie akceptowanego przez nas nieporządku, który u nas panuje. Co najwyżej może wzmocnić działanie innych czynników. Są tacy biedacy, którzy potrafią utrzymać porządek, i tacy bogaci, którzy nie potrafią tego zrobić. My należymy do biednych nie umiejących utrzymać porządku. Z coraz gorszymi dla nas konsekwencjami. (...)

Jako wygłodniali i w rezultacie zastraszeni, nie mający żadnych wymagań, niezdyscyplinowani i nie dbający o nic nabywcy, również my sami, chcąc nie chcąc, przyczyniamy się do demoralizacji i dezorganizacji całego naszego życia gospodarczego. (...)

Zauważyłem po sobie, że ile razy wyjeżdżam za granicę, w ciągu jednego — dwóch dni robię się bardziej zdyscyplinowany. Nie spóźniam się na spotkania, gruntownie staram się przemyśleć to, co zamierzam powiedzieć lub napisać, porządkuję notatki do swojej pracy, uzupełniam dane bibliograficzne. A czemu nie we własnym kraju? Bo być może nie oczekuje się tutaj tego ode mnie, nie tak wysoko ustawiona jest poprzeczka. I tak przecież „puszczą" mi, przyjmują wszystko „jak leci". Przepuszczą nieskładną myśl, wątpliwej jakości argumentację, ręcznie napisany artykuł, brak bibliografii. Nikt mi z tego powodu nie powie złego słowa (...)

Zresztą to, co piszemy, to betka. I tak niewiele to pomoże. Niczego nie zmieni. Ale taka sama przecież jest cała albo prawie cała węgierska gospodarka. To, co robimy i tak będzie sprzedane albo u nas, albo w sąsiednich krajach wschodniej części Europy; po co sobie zawracać głowę? Kopmy, coraz głębiej kopmy sobie ten dołek, z którego chcielibyśmy się wydostać. Dzięki tak niewielkim potrzebom i tak mglistym oczekiwaniom można dojść jedynie do całkowitej dezorganizacji, do stagnacji, zwątpienia i nieustannego zrzędzenia. (...)

Patologiczny brak własności i wiążąca się z nim zniekształcona świadomość własności kontynuowały swą niszczycielską działalność w minionych czterdziestu — pięćdziesięciu latach. Popełniliśmy bowiem ten wielki błąd, iż razem z własnością prywatną usunęliśmy — i to całkowicie — własność osobistą i zbiorową. Zgodnie z literą prawa przez pewien czas istniała jedynie własność państwowa. A kiedy później zaczęliśmy rehabilitować własność prywatną, jednakże bez zrehabilitowania własności zbiorowej, zaczęło się nerwowe i łapczywe gromadzenie własności osobistej, a także gwałtowne oddzielanie jej od wszystkiego, co należało do innych.

Cóż więc z tego, że pięknieją obejścia przy domach, że miło popatrzeć na piękne winnice, a samochody błyszczą czystością, kiedy dalej na terenie należącym do nas wszystkich zachowujemy się i postępujemy jak barbarzyńcy. Dopóki nie uspołecznimy tej ziemi niczyjej, ulic, najbliższego otoczenia naszych domostw, zakładów, w których pracujemy, szkół, w których uczą się nasze dzieci, szpitali, gdzie nas leczą, a każdy będzie się zajmował jedynie własnym obejściem — dopóty jedyną rzeczą, którą się nam uda zrobić, będzie jedynie opóźnienie ostatecznego zdewastowania większej części swojego kraju. (...)

Amerykańskie, niemieckie i japońskie zakłady pracują dobrze przede wszystkim dlatego, że jest w nich dobra organizacja pracy, ścisła kontrola, konsekwentnie honoruje się finansowo dobrą robotę, a (dobre) stanowisko pracy jest wysoko cenione. Ale rzeczą udowodnioną jest również to, że (może nawet nie tyle w samej Ameryce, co w Japonii i Niemczech) w ogromnej części społeczeństwa dużą rolę odgrywają także dwa inne czynniki. Z jednej strony — istnieje zjawisko utożsamiania się ze swoim miejscem pracy i firmą, w której się pracuje, z drugiej natomiast — mamy do czynienia ze świadomością zbiorową, społeczną i narodową wyczuloną na dobre imię swojego kraju. Mieszkańcy tych krajów wiedzą, że od rozwoju ich ojczyzny zależy ostatecznie ich dalsza przyszłość i własne zadowolenie. Takiej świadomości u nas nie ma. Nie mamy świadomości tego, że jesteśmy członkami jednego społeczeństwa, i czy chcemy czy też nie, od pomyślności tego społeczeństwa zależy również nasza pomyślność.

Taka świadomość zaczęła się rozwijać u nas w latach 1945—1948, ale potem szybko z niej zrezygnowaliśmy. Bo wmówiono nam, że powinniśmy zająć się swoimi sprawami i nie wtykać nosa w sprawy własnego kraju, bo pogmatwały się wszystkie nitki i nie byliśmy już w stanie dostrzec, jaki związek istnieje między naszą pracą a pracą innych oraz szczęściem całego kraju; bo dzień po dniu każdy z nas widział i czuł, że nasza praca idzie na marne, że nasze starania zdadzą się psu na budę. Jak długo nie powstanie ścisła i oczywista zależność między osiągnięciami indywidualnymi a grupowymi i społecznymi, jak długo osobiste osiągnięcia nie będą w jednoznaczny sposób wiązały się z osiągnięciami całego kraju, tak długo my sami pozostaniemy obojętni i apatyczni, a kraj nasz będzie trwać w chaosie. (...)

Czy istnieje coś bardziej charakterystycznego dla działania człowieka niż postawa: jak ty mi robaczywy owoc, to ja tobie tak naprawię zamek w drzwiach, że do jutra odpadnie ci klamka. Spóźniłeś się dzisiaj pięć minut? To ja wiem, że jutro spóźnię się dziesięć. Nie dotrzymałeś słowa dzisiaj, nawet w tak drobnej sprawie? To ja jutro też nie dotrzymam, ale w znacznie ważniejszej kwestii. I tak rusza reakcja łańcuchowa, aż wreszcie rozleci się świat, a przynajmniej pójdzie w diabły cała uczciwość, honor, przestaną się liczyć jakiekolwiek obowiązki, wszystko utraci swą wiarygodność. Zobowiązania już nie zobowiązują, przyrzeczenia tylko przyrzekają, słowa pozostają jedynie słowami, a umowy tylko na papierze.

Ale to przecież potworne — mógłby powiedzieć ktoś obcy, wychowany na dobrego obywatela — jak można żyć w takiej niepewności, w takiej zgniłej atmosferze wzajemnej i powszechnej nieufności i nieodpowiedzialności? Jak? Więc odpowiadam:

— Nawet bardzo dobrze. To nawet nie taki wielki kłopot ani strata, że za moje pieniądze wtykają mi tandetę; przynajmniej i ja nie będę się musiał wysilać, ode mnie też będą musieli przyjąć tandetę. Ze nie dotrzymują przyrzeczeń Przynajmniej ja też nie będę musiał dotrzymywać swoich. Można tu całkiem dobrze żyć i działać w tej ogólnokrajowej nieodpowiedzialności i braku porządku. Niczego nie chcę, niczego nie żądam, żeby od mnie niczego nie chciano ani nie żądano. Umówiliśmy się — i tę jedyną umowę wyjątkowo honorujemy — na brak wzajemnych wymagań i bezczelną nieodpowiedzialność.

Na zakończenie jeszcze jedna przestroga. A mianowicie, że naszego niechlujstwa nie można doprowadzić do porządku poprzez „wprowadzanie porządków". Nawet nie warto tego próbować. Dziesiątki przykładów z historii dowodzą, że bezwzględna i konsekwentna próba wprowadzania porządków kończy się przeważnie klęską i kłopotami. Ogniem i mieczem można wyplenić faktyczny lub domniemany nieporządek i nieład, ale na to miejsce nie wprowadzi się prawdziwego porządku i ładu. Jedyne rozwiązanie, jakie ma szansę powodzenia, polega na tym, że trzeba pozostawić ludzi samym sobie, niech stworzą swój własny porządek i ład. I stworzyć dla nich takie warunki i instytucje, które zachęcą ich nie do nieporządku, ale do zachowania, tworzenia i utrzymania ładu.

Dobrze byłoby, gdybyśmy nie odwlekali tej chwili. Nie mamy już wiele czasu. Nie możemy ciągle odstawać od bogatej Europy, stanowić jej beznadziejnie postrzępioną i zaniedbaną tkankę.

Tłumaczył:
MIECZYSŁAW DOBROWOLNY

Panorama

ZSRR

12 lutego 1987 roku dla „Kanału 4" brytyjskiej telewizji udzielił wywiadu rzecznik prasowy radzieckiego MSZ — Gennadij Gierasimow. Na pytanie: — *„Czy nowa polityka pozwoli na pokojowe demonstracje tych, którzy czują się pokrzywdzeni w systemie radzieckim?"* — odpowiedział krótko: — *„Tak"*.

Wyraził zdziwienie, że prasa radziecka z opóźnieniem poinformowała swoich czytelników o decyzji uwolnienia 140 osób skazanych za przestępstwa przeciw państwu radzieckiemu. Powiedział też: — *„...Każdy, kto zostaje zwolniony musi sam postanowić, co chce robić — czy pozostać w opozycji, czy może przyłączyć się do tego ruchu naprzód, jaki odbywa się obecnie w naszym kraju. Sądzę, że każdy z nich rozejrzy się dookoła, nieco poczeka i następnie zdecyduje, gdzie dołączyć, sądzę, że to naturalny sposób zachowania"*.

CSRS

**20 lutego 1987 roku „Rude Pravo" opublikowało wywiad z sekretarzem KC KPCz. — Vasilem Bilakiem. W wywiadzie tym podkreślił on, że wszelkie porównania „praskiej wiosny z 1968 roku" z tym, co dzieje się teraz w ZSRR *„są nie na miejscu"*. Kierownictwo KPZR koncentruje swoje wysiłki *„na umocnieniu socjalizmu i jedności wspólnoty socjalistycznej, podczas gdy „bojownicy o socjalizm z ludzką twarzą" w 1968 roku dążyli do podkopania socjalizmu, rozbicia sojuszu krajów socjalistycznych"*. Zwrócił też uwagę na fakt, że *„KPZR w pełni kontroluje sytuację. Kierownictwo KPZR jest zwarte i realizuje linię ustaloną przez zjazd, nie ustępując z ustalonych pozycji. Wśród przywódców naszej partii na początku 1968 roku nie było ani jedności, ani jasnego programu"*. Uznał, że *„konieczne jest jednoznaczne odrzucenie jakichkolwiek analogii"* między wydarzeniami z 1968 roku w CSRS a przebudową, jaka obecnie dokonuje się w ZSRR.

KUBA

W kwietniu 1980 roku w ambasadzie Peru, kiedy sprzed tej ambasady zdjęto straż kubańską, schroniło się 11 tysięcy Kubańczyków. Dla rozładowania tej nienaturalnej sytuacji rząd Kuby udzielił im gwarancji, aby mogli swobodnie wrócić do życia na Kubie lub ją opuścić. Większość z nich opuściła Kubę przez port Mariel. Niewielka grupa 16 osób pozostała jednak w ambasadzie Peru. W 1986 roku 13 Kubańczyków z ambasady Peru powróciło do normalnego życia na Kubie. Pozostało w ambasadzie — trzech.

Obecnie rząd Kuby ogłosił, że zawiesza udzielane do tej pory gwarancje dla pozostających w ambasadzie Peru trzech Kubańczyków, podkreślając jednocześnie, że nigdy nie ogłaszał amnestii dla tych, którzy wtargnęli siłą na teren ambasady Peru w Hawanie. Jedynie w geście przyjaźni wobec Peru gwarantowano im bezpieczny powrót do życia na Kubie i niestosowanie represji. W Limie opublikowano wiadomość, że trzej Kubańczycy nie mają zamiaru opuszczenia ambasady Peru w Hawanie. Impas trwa.

NRD

Agencja ADN zamieściła 11 lutego 1987 roku wypowiedź prof. Nielsa Soennichsena o śmierci pod koniec 1986 roku mężczyzny w średnim wieku, który zmarł na skutek zarażenia się wirusem AIDS. W NRD stwierdzono obecność tego wirusa u 14 osób. Zdaniem prof. N. Soennichsena sytuacja w NRD jest korzystna, gdyż nie ma tam *„grupy ryzyka złożonej z narkomanów"* i *„sceny homoseksualnej"*. Poza tym wprowadzono kontrolę krwi dawców. Nie jest wszakże wykluczone, że mogą być wypadki zakażenia wirusem AIDS, które nie są znane służbie medycznej.

WĘGRY

Przed mikrofonami radia węgierskiego wystąpił ostatnio sekretarz KC WSPR — Matyas Szueroes. Odpowiadał on na pytania radiosłuchaczy. Dotyczyły one przeobrażeń zachodzących w ZSRR i stosunków węgiersko-rumuńskich. Jeśli chodzi o przeobrażenia w ZSRR, to są one nieodwracalne, *„czas pokaże* — powiedział — *wagę tych przeobrażeń, ale są one pouczające również dla innych krajów socjalistycznych, w tym także dla Węgier. Oczywiście nie może być mowy o zwykłym naśladownictwie, gdyż wszystkie kraje muszą uwzględniać swoją specyfikę narodową"*.

P. ŻARLINEK

Małe prozy

Przełożył z francuskiego:
BOGDAN BANASIAK

MARCEL BÉALU

Śpiew grzywaczy

Dwunastoletni smarkacz, o ile tylko miał żywy umysł i zuchwałe serce, nie pomija ogólnych wyobrażeń o świecie. Znał jednak tylko grę światła i cienia wokół dzwonnicy rodzinnego miasteczka. Moje miasteczko, to stare ulice O., a dzwonnica, to wieża katedralna. W okolicy tej panował jeszcze wówczas spokój dawnych prowincji. Tuż obok płynęła Loara.

Uwagę moją przyciągała szczególnie jedna z małych wież bocznych. Niewątpliwie dlatego, że mogłem ją obserwować z mego umieszczonego ponad dachami okna. Jej wierzchołek nie wykraczał poza strukturę nawy. Dyskretne wejście, które wychodziło na tę samą ulicę, było często zasłonięte ogromnymi blokami tufitu służącymi do odnawiania fasady. Późnymi popołudniami drżącymi od przelotu jaskółek, z mansardy, w której czatowałem, widziałem niekiedy dwoje kochanków wślizgujących się tymi drzwiami ukrytymi przed wzrokiem przechodniów. Byli to, jak mi się zdawało, chłopiec i dziewczyna. Szczególnie tę ostatnią pożerałem oczami.

Ale nie w tym tkwiła tajemnica. Nieco później zdarzyło mi się słyszeć, dochodzący z wybitych w wieży otworów, dziwny odgłos, który mnie niepokoił i pociągał. Próbowałem wracać do mych obowiązków, ale te niezwykłe dźwięki wciąż mnie od nich odrywały. Docierały do mnie, przez całą szerokość ulicy, albo jako cichy jęk, albo jako stłumiony krzyk, który przeszywał na wylot ciszę miasteczka, i aż przejmował lękiem.

Pewnego dnia, gdy ten uparty i głęboki jęk o nieprzewidzianych modulacjach zabrzmiał ponownie, nie mogłem się powstrzymać od spytania sprzątaczki, która przychodziła raz w tygodniu, by doprowadzić do porządku moje łóżko: „Posłuchaj, Melanio! Słyszysz?"

Kobieta nasłuchiwała krótką chwilę, zaraz potem jednak wróciła do swego zajęcia i wybuchając śmiechem oznajmiła z wyraźnym akcentem Béziers: „No! To śpiew grzywaczy!"

Odkrycia dzieciństwa mają niewiele więcej realności niż nazwy odległych wysp na mapie. Ale przyjdzie czas postawić stopę na tych ziemiach rozkoszy i grozy.

Kilka lat później znalazłem wyjaśnienie zjawiska, które, w duchu, określiłem mianem „śpiewu grzywaczy", i którego wspomnienie przechowywałem niczym dręczącą tęsknotę.

Szansa (każda odpowiedź na pytanie z pierwszych lat życia jest szansą) pojawiła się niewątpliwie wraz z imieniem: Paloma. Czyż ono samo nie przywodzi na myśl wdzięcznych, gruchających ptaków? Było to imię małej wariatki, w której się zakochałem. Lekki zez przydawał jej hebanowemu spojrzeniu niezwykłości, która czyniła ją jeszcze słodszą a w kręgłości szyi, ramion, piersi, całego jej gładkiego i bardzo bladego ciała, było coś z gołębicy.

Był luty albo marzec, nie mogę już sobie przypomnieć. Zanim, w czasie wycieczki za miasto, wjechaliśmy na autostradę, powiedziałem sobie, że przy takim tempie nie zdołamy uniknąć popołudniowych korków. Zaproponowałem też, byśmy zatrzymali się kilka chwil w lesie.

Lekki wiatr sprawiał, że skrzypiały martwe kikuty drzew. Na błękitnym niebie świeciło słońce i wrażliwe na zimno liście zaczynały wysuwać na końcach gałęzi swe małe zielone dłonie.

Miałem w głowie tylko niewinną, pobudzającą apetyt przechadzkę i potrzebne było całe szaleństwo mej pięknej wspólniczki, aby zamyślać coś innego. Wprowadziła mnie za rękę pomiędzy dwa kamienne bloki, które przypominały niewątpliwie mej podświadomości wąskie wejście katedry z dawnych lat, i wyszliśmy na ścieżkę wspinającą się śmiało ku wzgórzom, na które dotarliśmy zdyszani. Zaledwie odzyskałem oddech, gdy to żywe dziecko, wślizgnąwszy się przede mną pod gęsty bukszpan i wiekowy ostrokrzew, skorzystało z tej niepewnej kryjówki, by pozbyć się pulowera, zedrzeć stanik, rozpiąć ekspres spódnicy i, dwoma ruchami pięknych kręgłych ud wyrzucić w powietrze slipy, które, niczym zraniony ptak, zagnieździły się na drżącym jałowcu. Następnie wyciągnęła się na, również białym jak niegdysiejszy tufit, sypkim piasku, który nagrzał się pierwszym słońcem.

Czy to strip-tease był tak nieoczekiwany, czy też chłód zbyt intensywny? W każdym razie byłem zupełnie „zaskoczony".

Aby nie zawieść wspaniałego oddania tego ciała, objąłem jej talię i moje wargi zaczęły biec od piersi ku łonu, które wiło się w uścisku niczym chcąca się przepoczwarzyć larwa. W następstwie bardziej gwałtownego skoku, usta moje przylgnęły ściśle do owłosionego owocu jej brzucha tak, że me zawiedzione pożądanie odnalazło tu swą zemstę i usiłowałem zawładnąć tym ciepłym i drżącym źródłem.

Jej tułów tkwił teraz pomiędzy mymi ramionami niczym ogromny, gruby, wolno ożywający kwiat, który wypuścił korzenie dzięki przylgnięciu mych ust do jej tajemnych warg. I nagle, napełniając mnie niezwykłym podnieceniem, spoza dwóch brodawek piersi, które zasłaniały mi jej odwróconą twarz, wydobyła się suita bliskich mej pamięci dźwięków; bardziej chrapliwych, gdy rozległy się w taki sposób, zupełnie wolne od dzielących je niegdyś ode mnie murów i odległości.

Śpiew grzywaczy! Wiedziałem już skąd pochodził, wiedziałem, że, odtąd, będę mógł go słuchać do woli. Czyż nie odkryłem właśnie jego tajemnicy?

Później, gdy Paloma, nieco zmęczonymi śmiechami przerywała wyławianie swych ubrań, wyciągnąłem się na plecach pełen głębokiej radości i patrzyłem na biegnącą obok nieruchomego oblicza czasu drogę chmur, podczas gdy w mej pamięci zatapiał się na zawsze bezkresny smutek dzieciństwa i pokusa, by nie być kochanym.

JEAN-MARIE LE SIDANER

Ariadna

Rozbłysło światło. Na murze poruszył się pająk.

Wyszłam z piwnicy w trzy dni, wliczając w to kilka postojów, o których dalej opowiem.

Prawdę mówiąc, potrzebowałam czasu, by zyskać pełną znajomość miejsc, rozkładu pomieszczeń domu, a szczególnie ich przeznaczenia.

Zaledwie udawało mi się wślizgnąć do kąta, gdy trzaskały drzwi, a ciemność albo też podmuch wiatru zmuszały mnie do szukania innego schronienia. Nie było możliwości cofnąć się choć trochę, by zbadać swe położenie. Musiałam na czas dokonać zbawiennej ewakuacji. Nigdy nie było mi dane bać się. Uczucie to, choć jeszcze dla mnie niejasne, dało znać o sobie przy spotkaniu z jedynym lokatorem tego mieszkania.

Po raz pierwszy zdarzyło się to właśnie w piwnicy.

Naprzeciw piwnicznego okna nazbierało się tyle zwiędłych liści, że światło, już wcześniej słabe, teraz prawie wcale tam nie docierało. Miejsce znałam dobrze, ale każdego dnia lokator ruszał różne przedmioty, przestawiał, zabierał na kilka godzin i odnosił; zostałam kilkakroć zaskoczona, gdy odbywałam swą powszednią marszrutę: poślizgnęłam się na gładkiej i mokrej powierzchni albo też wpadłam w cienką warstwę fioletowego syropu, który wylał się z nie domkniętej karafki.

Przy każdej wizycie lokator przynosił butelki, a niekiedy, nie mógł powstrzymać się od picia tutaj choć, jak mi się zdawało bez przyjemności: ręce mu drżały, wyciągał korek, szybko połykał i najczęściej miał potem atak kaszlu. Zataczał się wówczas po piwnicy i padał byle gdzie.

Właśnie podczas jednego z ataków zobaczył mnie po raz pierwszy. Zwalił się na tekturowe pudła, gdy jego oczy zatrzymały się na mnie, jako że znalazłam się akurat w odległości jakichś dwóch metrów od niego.

Jego początkowo dość niewyraźne spojrzenie nabrało wyrazu pewnego zdziwienia. Zamiast uciekać zareagowałam w sposób, który bardzo mnie zaskoczył. Odetchnęłam i rozsunęłam wolno odnóża. Musiałam tworzyć na murze coś w rodzaju czarnego słońca.

W ten sposób wystawiłam się na pokaz przerażonemu lokatorowi czując, że mógłby mnie zabić. Wiedziałam, że nie uczyni tego niedbałym ruchem, ale raczej w dzikim przypływie żądzy.

I tak nie mógłby wymazać mnie z pamięci. Nawet nieżywa pozostałabym dlań niczym czarny punkt w martwym kącie widzenia.

Ale on zerwał się i uciekł przekręcając kilkakroć klucz w drzwiach.

Minęło kilka dni. Powtarzałam w piwnicy swe zwykłe czynności.

Wiatr rozgonił leżące przed oknem piwicznym liście i pewnego ranka spadł śnieg. Tego samego dnia brudna szyba wyleciała z trzaskiem pod naciskiem śnieżnej kuli wypełnionej drobnymi kamykami.

Chłód stał się szybko nie do wytrzymania. Dlatego też postanowiłam wyjść, by znaleźć nieco ciepła. A faktycznie, chciałam odszukać lokatora. *Złościła mnie jego przedłużająca się nieobecność* w piwnicy. W jaki sposób mogłam się czuć „opuszczona", ja, która nigdy nie cierpiałam z powodu samotności?

Mur, na którym znalazłam się na zewnątrz był miejscami bardzo ciepły. Kontrast z zimnym powietrzem przyprawił mnie o stan bolesnego i ostatecznie nawet upajającego odrętwienia. Wdrapałam się na parter używając winorośli, która latem okrywała całą niemal fasadę domu, i udało mi się wejść przez lufcik wychodzący na ścienną szafę. Panowała tam duszna atmosfera. Podłoga usłana była muchami. Pośród pudeł pełnych rękopisów i książek dostrzegłam skrzypce. Musiałam czekać niemal cały dzień nim lokator otworzył drzwi tego pomieszczenia. Skorzystałam z tego szybko i udało mi się wyjść nie zwracając jego uwagi.

Trzy dni po mym wyjściu z piwnicy poruszam się już z dość dużą swobodą. Kilkakroć lokator pojawił się w miejscu, z którego mógł mnie zauważyć. Były to niewątpliwie tylko niewyraźne przeczucia. Albo starał się nie dopuszczać myśli o mej obecności?

Kilkakroć przesuwał dłonią przed oczami jakby chciał odpędzić niepożądany obraz. Być może był to mój obraz zniekształcony jego wyobraźnią i strachem? Chciał niewątpliwie złożyć mnie na karb halucynacji.

Dlatego też oczekuję sprzyjającego momentu, by ukazać mu się całkowicie. Nie powinien pić (ale pije zdecydowanie dużo), nie powinien mieć tego zmartwionego wyrazu twarzy, który nie opuszcza go przez długie godziny po zapadnięciu nocy. Powinien jeść choć trochę. (Nigdy nie zjada prawdziwego posiłku a tylko chrupie świeże owoce i ser).

Schowałam się przed chwilą pod stołem, gdy lokator, po raz pierwszy odkąd jestem u niego, przyjął przyjaciela. Ich słowa kończyły się często śmiechami. Gdy późnym wieczorem lokator powrócił sam z korytarza wyjściowego, podjęłam decyzję. Pokażę mu się w końcu.

Wchodzi do pokoju podśpiewując sobie. Jakaż okazja dla mnie! Nigdy nie widziałam go w tak radosnym nastroju. Dostrzega mnie w chwili, w której zapala nocną lampkę. Jego twarz staje się bardzo blada. Nie wie co zrobić. Dać mi spokój czy zapolować, może mnie zmiażdżyć? Ale w jego spojrzeniu pojawia się coś innego. Fascynuję go rozciągając się na szeleszczącej tapecie. Czy on zdaje sobie sprawę, że go widzę? Narażam się na jego strach. Jestem przygotowana przyjąć go w postaci, jaką przybierze: krzyku, śmiechu, aktu przemocy.

Siada na niemi. Kuli się. Oboje przez długie minuty tkwimy w bezruchu.

Słyszę stojący na stoliku nocnym budzik. Z zewnątrz dochodzą mnie nieokreślone odgłosy.

Kiedy w końcu wstaje, wydaje się, że podjął decyzję: bierze szmatę i rusza ku mnie. Pozostaję nieruchoma.

Kilka centymetrów ode mnie jego twarz wykrzywia się konwulsyjnie.

Zginam nogi, potem rozprężam w chwili, gdy on osuwa się bezgłośnie. Oczekiwałam jednak krzyku.

Później wchodzę na jego pierś, obejmuję w posiadanie zimną postać.

Gdy nastał dzień, pająk oplótł siecią oczy martwego człowieka.

Hortensja

MARCEL BÉALU

Cicho zadzwonił dzwonek. Markowi wydało się, że przez malutkiego judasza, w końcu ciemnego korytarza dostrzega jasną znikającą na schodkach sylwetkę. Zdziwiony, otworzył drzwi. Na wycieraczce, w śmiesznym naczyniu, na czubku prostej sztywnej łodygi, która wydawała się zbyt cienka, aby go utrzymać, tkwił ogromny kwiat hydrangea macrophylla.

Mark czuł wstręt do tego rodzaju rośliny zwanej ozdobną, a noszącej bardziej zwyczajne miano hortensji. Pozbawione pierwotnego przeznaczenia, jakim było ozdabianie pastelowymi kolorami starych murów, oddzielone od swych sióstr i przesadzone do doniczki, stają się sztuczne i tracą cały urok.

Nie zastanawiał się długo, kto mógł postawić tu tę błazeńską roślinę i uciec. Z pewnością była to Hortensja, ta szalona Hortensja, sygnująca w ten sposób swą wizytę. Od dawna nie przestawała okazywać mu oznak przywiązania, które zapewne poruszało go ale nie sięgało głębi serca (czy też tego, co tak nazywano). Kto uważa, że może kochać albo nie kochać, nic nie wie o miłości. Mark nie miał wyboru.

Już od ponad miesiąca kochał do szaleństwa młodą, smukłą i gibką Yamirę. A ta odwzajemniana miłość pogrążyła Hortensję w rozpaczy nie kładąc jednak kresu zabawnym oznakom namiętności absurdalnej i smutnej zarazem, skoro pozostawała bez wzajemności. Mark próbował tymczasem wszystkiego, by ją zniechęcić... Ale spróbujcie przekonać zakochaną kobietę, że nie jest kochana!

Mężczyzna zamknął drzwi ściskając w dłoniach pozbawioną zapachu roślinę o niedorzecznym kwiatostanie. Czy nie zrobiłby lepiej wyrzucając ją przez okno? W ten sposób biedna dziewczyna, która, ukryta w zaułku, czatowała na chodniku naprzeciw, zostałaby ostatecznie przekonana o jego obojętności. Raz jeszcze ogarnęło go uczucie litości. A może, choć nie chciał się do tego przyznać, wydało mu się, że rozkwitły nagle kwiat zaczął przybierać osobliwy odcień i, gdy kołysał się na szczycie łodygi ozdobionej jedynie dwoma czy trzema szerokimi liśćmi o barwie nienaturalnej zieleni, nie był całkiem pozbawiony uroku.

Baldaszek o stu płatkach, przed chwilą, w półcieniu przedpokoju, różowy i fiołkoworóżowy, nabrał teraz barwy jasnobłękitnej, tego samego błękitu, jakie miały wielkie oczy Hortensji, pełne skrywanej nadziei, gdy podnosiła je na Marka.

„Czy nie sądzisz, że chciała zakpić z ciebie?" mówi Yamira ujrzawszy ten równie dziwaczny jak i dyskretny kwiat, i wybucha śmiechem. „Jak można mieć tak mało gustu! dodaje. Z pewnością zrobiła to umyślnie...".

I, biorąc naczynie, które Mark postawił na stole w jadalni, zaniosła je do pokoju sypialnego. „Dziś w nocy prezent od tej afektowanej kobiety będzie naszym świadkiem..." pomyślała nie mogąc powstrzymać się od skrywanego w głębi ducha śmiechu.

Gdy nieco później nagi zapał wzajemnego pożądania ogarnął dwoje kochanków, Mark spragnionymi spojrzeniami podziwiał nie hortensję stojącą na stoliku obok łóżka, lecz wspaniałe ciało, w jego świeżo rozkwitłej młodości, ciało, które każdej nocy wywoływało zachwyt i przydawało jego życiu bezgranicznej nadziei. Jednakże, w ciszy żądnej rozkosznych pieszczot poprzedzających spełnienie, wydało się Markowi, że w pokoju zapanowała niezwykła atmosfera.

Pomiędzy uściski, których namiętność kazała mu zapomnieć o wszystkim, przenikało powoli przykre wrażenie niewidzialnej obecności, obecności kogoś kto ich obserwował. Później, wrażenie to stało się jeszcze bardziej konkretne i uparte. Mężczyzna miał teraz uczucie, że w jego plecy wlepione były czyjeś oczy. Starając się ani na chwilę nie przerywać narastającej rozkoszy swej przyjaciółki, która niczego nie dostrzegała, odwrócił się nieco.

Za nim, w półcieniu, na miejscu hortensji, obracała się z wolna wokół własnej osi fosforyzująca, bladobłękitna drżąca masa. W centrum tej mgławicy tkwiło wielokwiatowe baldachogrono przypominające kulę jasnych oczu, które patrzyły nań drżąc fascynującą wściekłością. W każdej ze stu źrenic, których błyski nasilały się w miarę jak narastało wirowanie, Mark dostrzegł potężniejącą, jakby chciała się nań rzucić, nienawiść szaleńczego upojenia.

Ale małe dłonie Yamiry przesuwające się po jego ramionach, jej oddech na karku i rozbiegane po twarzy pocałunki zmusiły go, by powrócił do poprzedniej pozycji. Jakby chcąc zapomnieć tamtą wizję, porwał z niezwykłym zapałem swą młodą kochankę, której jęki pod nim wzmagały się, gdy narastał w nich rozkwit rozkoszy.

Ale to właśnie ona, uniesiona ostatnim spazmem, otwierając nagle swe ogromne, czarne oczy, mogła ujrzeć w półcieniu dokonującą się metamorfozę magicznego kwiatu. Na miejscu hortensji obracał się snop iskier, z którego wytryskiwały tysiące błysków błękitnej stali.

Nazajutrz znaleziono ciała kochanków zrośnięte ze sobą i rozdarte, poszarpane czerwonymi śladami szponów, jakby zostały przeszyte tysiącem igieł. Na stoliku obok łóżka, w śmiesznym naczyniu, pośród zwiędłych i pomarszczonych spadłych liści, skarłowaciały i na wpół zwiędły kwiat hortensji tracił jeden po drugim ostatnie płatki, niczym bukiet łez.

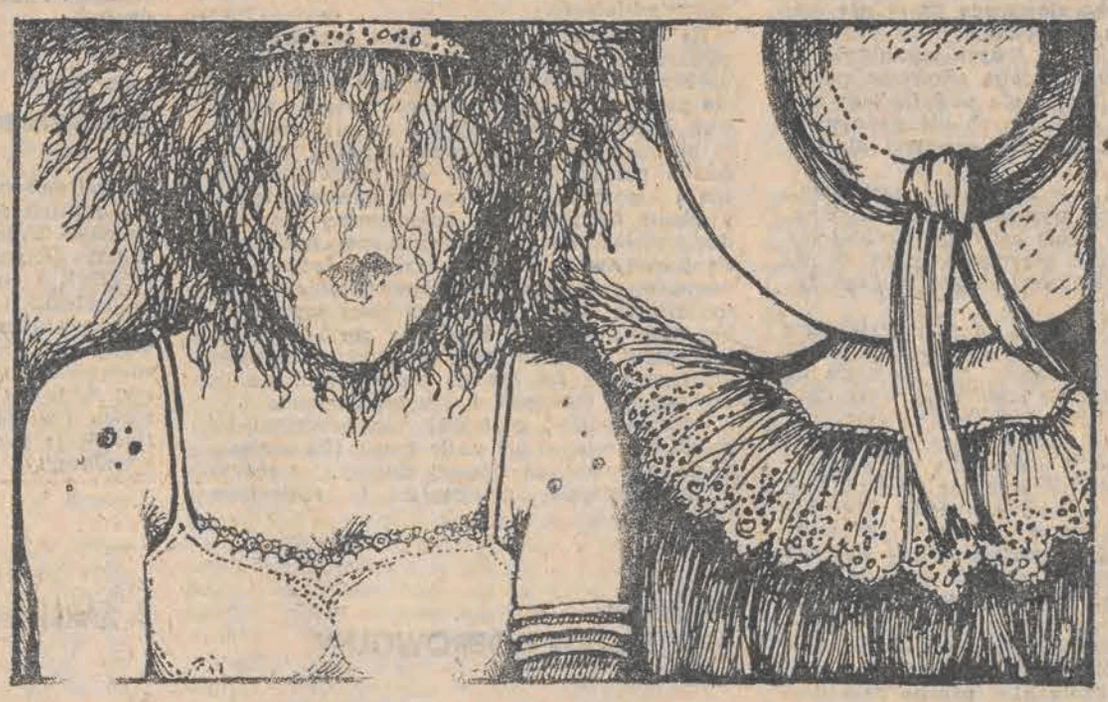

Rys. Zenona Płonk

Czy warto palić?

Opublikowany niedawno w Genewie raport Komitetu Ekspertów Światowej Organizacji Zdrowia stwierdza, że palenie papierosów a szczególnie jego szybki wzrost w ostatnich latach jest na świecie jednym z najpoważniejszych problemów zdrowia społecznego.

Młodym ludziom raport poświęca najwięcej uwagi. Wiadomo, że im wcześniej młodzi ludzie rozpoczynają palenie tytoniu, tym bardziej szkodliwe jest jego działanie dla rozwijającego się organizmu. Badania przeprowadzone w szkołach krakowskich wykazały, że nałogiem palenia objętych jest 28 proc. dzieci ze szkół podstawowych oraz 42 proc. młodzieży ze szkół średnich.

Raport Światowej Organizacji Zdrowia stwierdza, że wśród mężczyzn, którzy rozpoczęli palenie papierosów między 15 a 20 rokiem życia, śmiertelność była 2,3 raza większa niż wśród niepalących. Natomiast wśród tych, którzy palenie rozpoczęli po 25 roku życia, śmiertelność była prawie półtora raza wyższa niż u niepalących.

Nie zdziwił mnie fakt, że wiele towarzystw ubezpieczeniowych w Stanach Zjednoczonych obniżyło o 30 proc. stawki ubezpieczeniowe dla osób niepalących. Przy podjęciu tej decyzji nie kierowano się względami humanitarnymi, lecz zasadą czystej ekonomiki.

Największym niebezpieczeństwem związanym z paleniem tytoniu jest rak płuc, choroba, która mimo rozwoju medycyny jest niezmiernie trudna do leczenia i prowadzi do śmierci w 90 do 95 proc. przypadków. Liczba zgonów z powodu raka płuc znacznie wzrosła w ostatnich latach. Zanotowano to nie tylko w Polsce, ale także w innych krajach.

Czynniki rakotwórcze zawarte w dymie tytoniowym muszą działać na drogi oddechowe przeciętnie około 20-30 lat, by wyzwolić powstanie zmian nowotworowych. Stąd też powstają złudzenia u palaczy, że papieros nie szkodzi. Potwierdzeniem tej koncepcji jest wzrastająca z każdym rokiem liczba przypadków nowotworów płuc u kobiet, które zaczęły dość powszechnie i bardzo intensywnie palić dopiero po II wojnie światowej.

Również w Polsce potwierdzono w masowych badaniach epidemiologicznych związek między paleniem papierosów a występowaniem przewlekłych chorób płuc. Stwierdzono, że palący ponad 20 papierosów dziennie dwukrotnie częściej chorują na przewlekły nieżyt oskrzeli. Masowe badania w Krakowie dowiodły, że istnieje ścisły związek między paleniem papierosów a występowaniem nieżytu oskrzeli u osób młodych palących.

Palenie tytoniu przyczynia się również do powstawania rozedmy płuc. Powoduje to zaburzenia w wydalaniu dwutlenku węgla. Zjawisko to jest niekorzystne dla całego organizmu, szczególnie dla mózgu, serca, nerek i wątroby.

W 20 papierosach znajduje się 0,3 g nikotyny, czyli sześć dawek śmiertelnych dla człowieka. Organizm człowieka potrafi się jednak przyzwyczaić do nikotyny. Początkujący palacz po wypaleniu papierosa doznaje nudności, czasami wymiotów, zwolnienia czynności serca, oblewa się zimnym potem. Spowodowane jest to podrażnieniem nerwu błędnego i ośrodków wymiotnych. Z czasem ośrodki te stają się mniej pobudliwe. Dochodzi jednak do przewlekłego zatrucia nikotyną. Objawy takiego zatrucia są podobne do dolegliwości spotykanych u chorych z nerwicą. Są to bóle i zawroty głowy, uczucie pustki w głowie, stany wewnętrznego niepokoju, roztargnienie, kłucia w okolicy serca, osłabienie zdolności koncentracji uwagi, obrażliwość, szybkie wyczerpywanie się fizyczne i psychiczne, zaburzenia snu, osłabienie pamięci i osłabienie potencji płciowej.

Oprócz nikotyny składnikiem dymu jest tlenek węgla. Ma on tę właściwość, że 240 razy szybciej łączy się z hemoglobiną krwinek czerwonych niż tlen. Hemoglobina połączona z tlenkiem węgla jest niezdolna do transportu tlenu, co prowadzi do niedotlenienia organizmu i śmiertelnego zatrucia. Dym tytoniowy zawiera tlenek węgla w stężeniu około 2 proc. aczkolwiek zawartość jego może dochodzić nawet do 5 proc. Korzystnym dla palacza jest oddychanie bezdymnym powietrzem podczas przerw w zaciąganiu się, w przeciwnym przypadku następstwa byłyby bardzo przykre. Stąd też niektórzy naukowcy są zdania, że w papierosach zamiast zmniejszać należy zwiększać ilość nikotyny. Niedobór nikotyny w dymie papierosowym wyrównuje bowiem palacz zwiększeniem głębokości i objętości zaciągania się, co powoduje wzrost ilości tlenku węgla. Na tlenek węgla z dymu papierosów narażeni są również ludzie przebywający w bezpośrednim sąsiedztwie palących.

U ludzi stale narażonych na działanie chociażby niewielkich stężeń tlenku węgla po pewnym czasie występują objawy przewlekłego zatrucia w postaci bólów i zawrotów głowy, zwłaszcza z rana, uczucie zmęczenia, zaburzeń pamięci, senności w ciągu dnia i bezsenności w nocy. Występuje również bladość skóry, drżenie kończyn, przyśpieszenie tętna oraz zmiany we krwi w postaci niedokrwistości i zwiększenia liczby krwinek białych. Badania, które przeprowadzili Japończycy dowodzą, że tlenek węgla prowadzi do podwyższenia poziomu cholesterolu we krwi ze wszystkimi tego stanu konsekwencjami, a więc miażdżycą, zawałem serca i innymi. Ginekolodzy natomiast dowiedli, że niższa waga noworodków matek palących jest również następstwem działania tlenku węgla zawartego w dymie tytoniowym.

Jak widać, opracowania naukowe dla palaczy są przygnębiające, a może nawet straszne. Czy zatem nie ma już dla nich ratunku? Otóż jest, są bowiem i takie badania, z których wynika, że ryzyko zachorowania na raka płuc u byłych palaczy stopniowo maleje i to równolegle z upływem czasu, jaki minął od zaprzestania palenia. Po upływie 15 lat występuje niemal pełna rekonwalescencja nawet u tych, którzy przedtem palili ponad 20 lat.

Palenie papierosów ma również wpływ na wydajność pracy. Badania przeprowadzone w tej dziedzinie zarówno w Polsce jak i w innych krajach (np. w Japonii) dowiodły, że palący pracownicy tracą na palenie nawet 120 minut dziennie. Nic więc dziwnego, że niektóre znane firmy japońskie wypłacają niepalącym swoim pracownikom specjalną premię pieniężną w wysokości 30-40 dolarów miesięcznie. A może by tak i u nas tę zasadę wprowadzić. Jest to uzasadnione z ekonomicznego i społecznego punktu widzenia

Palenie tytoniu nie jest oznaką ani dojrzałości, ani męskości. Za prawdziwego mężczyznę uważamy człowieka dobrze rozwiniętego zarówno fizycznie jak i psychicznie, o wspaniałych cechach charakteru, sile woli, bystrości umysłu i opanowania, a tacy są tylko niepalący.

MARIAN JĘDRZEJCZAK

1 Przerwa śniadaniowa

Karp w formularzu

Wybierasz się pan, panie Zenku, na ryby tego roku?

— A i owszem — uśmiechnął się do swoich myśli Zenek — nawet nowy sprzęt kompletuję.

— To pogratulować — pan Dareczek też się uśmiechnął — a czy aby ten sprzęt kompletny? Formularze pan masz?

— Ten znów dowcipkuje — pan Henio spojrzał na Dareczka z rodzajem wyrzutu i wyraźnej dezaprobaty.

— Przede wszystkim, to nie ja dowcipkuję; tylko poważny, dajmy na to ichniejszy Związek Łowców Rekinów i Dżdżownic. A dowcip jest taki: w nowym sezonie wędkarz ma mieć oprócz tych tam patyków, haczyków i tego obrzydlistwa na przynętę — formularze! A także, dajmy na to, kalkę, długopis niebieski i czerwony, pulpit przenośny, rozkładany, ołówek, gumkę, zarękawki, piórnik i liczydła! A jeszcze przydałaby się waga podręczna i suwmiarka.

— Pan Dareczek, to jak coś powie... — panna Kalinka zarumieniła się nie wiadomo czemu.

— Pani Kalinko, faktycznie dajmy na to, jestem człowiek dowcipny, ale najdowcipniejszy by tego nie wymyślił! Tylko w wędkarstwie jest coś takiego możliwe.

— Coś się pan wędkarstwa przyczepił — pan Zenek starał się stanąć w obronie swego umiłowanego sportu.

— A tak, w wędkarstwie! I wiesz pan, co pan zrobisz jak pan zarzucisz wędkę? Rozstawisz pan pulpit, spinaczami zepniesz formularz w trzech egzemplarzach, długopis pan poślinisz i wypisujesz pan personalia — takie tam, adres, zawód, data, miejsce itp. Potem miejsce i czas wędkowania, rodzaj sprzętu i przynęty, warunki meteo i inne drobiazgi. Potem pan czekasz... a jak się panu pierwsza płotka zaczepi, wypełniasz pan następne rubryki: czas złapania, waga, rozmiar, gatunek, płeć. I tak za każdym razem!

— A jak nie będą brały?

— Pańskie szczęście. Ale, dajmy na to, biorą. Kończysz pan, wędki zwijasz i zaczynasz bilans; łączna waga, łączna długość, gatunki w procentach, cena według cennika Centrali Rybnej, koszta własne, robocizna, koszta ogólnozakładowe, amortyzacja itp., itd.! Potem pan składasz biuro, sprzęt na plecy i do najbliższej placówki związku. Stajesz pan w kolejce do kontroli, przedstawiasz formularz i zdobycz. Pieczątka na formularzu i już po wszystkim, tylko jeszcze do banku na rozliczenie. Piękny, wypoczynkowy sport...

— A kto to będzie sprawdzał?

— Jest NIK i PIH? Jest IRCh-a? Jest Straż Ochrony Przyrody? Jest MO i Inspektorat Kontrolno-Rewizyjny? Jest! A jak zabraknie to nie ma problemu — założy się, dajmy na to, Obywatelską Radę Kontroli i Inspekcji do spraw Nadużyć w Wędkarstwie Rzecznym, Morskim i Śródlądowym oraz Pasożytnictwa Społecznego.

— A co ma z tym pasożytnictwo społeczne?

— Wbrew pozorom, bardzo dużo...

— Bardzo słusznie! — wyrwało się pani Lali, ale zamilkła pod surowym spojrzeniem pana Zenka.

— Do roboty, proszę państwa, przerwa się skończyła — pan Zenek był już niemal zielony ze złości. Trzasnął drzwiami i wyszedł.

— Czego się tak uniósł? W końcu pan Dareczek niewiele przesadził?

— Miał się rozejść z żoną — wszechwiedzący Dareczek uśmiechnął się znacząco — poszedł wycofać pozew... Żona księgowa, kto mu będzie tę całą buchalterię prowadził? Sam nie da rady...

— A ja byłem wczoraj w parku — powoli i tęsknie powiedział pan Henio. — W Poniatowskim...

— I co, po pysku pan dostałeś czy zegarek panu zabrali?

— Że też pan zawsze tak musi!

— Nie muszę, dajmy na to, ale lubię, duszę społecznika mam i człowieka mi żal.

— Nic nie dostałem, nic mi nie zabrali. Tak, popatrzyłem sobie na przyrodę u progu wiosny...

— A ten szyld nad sadzawką pan widziałeś: „Kąpiel w stawie i wędkowanie zabronione"? On, jest, dajmy na to, przestarzały. Tam trzeba jeszcze dopisać: „Karmienie i odstrzał żubrów, jeleni i dzików surowo zabronione". Wtedy będzie komplet.

KAROL M.

2 Pod prąd

Zbrodnia z premedytacją

Jest takie opowiadanie Witolda Gombrowicza, którego bohater — sędzia śledczy — odwiedza pewnego obywatela ziemskiego dla omówienia z nim spraw majątkowych, ale po przyjeździe dowiaduje się, że ten właśnie zmarł w nocy. Sędzia śledczy nie daje jednak temu wiary i wbrew wymowie faktów uparcie dopatruje się... morderstwa przez uduszenie. Nieproszony, przez nikogo nie upoważniony wszczyna natychmiast śledztwo i tak długo nęka pogrążonych w smutku domowników swymi podejrzeniami, tak ich męczy, tak osacza, że w końcu będący już u kresu wytrzymałości psychicznej syn zmarłego dusi zwłoki ojca. Ukryty w szafie sędzia obserwuje to z satysfakcją, a pozostawione na szyi „ofiary" ślady palców dostarczają mu tak potrzebnych dowodów zbrodni z premedytacją. Sprawiedliwość odnosi tryumf.

Oczywiście pozwoliłem sobie przypomnieć ten przewrotny kryminał nie dlatego, by chwalić się publicznie, że i ja kupiłem spod lady za 10 tysięcy złotych polskich wydane niedawno w kraju po raz pierwszy dzieła wielkiego pisarza. Prawdę mówiąc, nie widziałem tych książek jeszcze na oczy, a wszystkie utwory Gombrowicza znam z wydań Instytutu Literackiego w Paryżu, przywożonych niegdyś do Polski nielegalnie. (Jak to się ten nasz świat zmienia, co?).

Ale pomińmy dygresje, zostawiając je na inną okazję. Teraz chodzi o to, że wspomniane opowiadanie Gombrowicza, napisane, nawiasem mówiąc, jeszcze w międzywojennej Polsce, przypomina mi się zawsze, ilekroć stykam się z różnymi przejawami urzędowego braku zaufania do mnie, co zdarza się, niestety, dosyć często.

Na granicy celnik pyta mnie, czy mam coś do ocienia. Odpowiadam, że przecież wypełniłem deklarację celną. Jemu to jednak nie wystarcza — żąda otwarcia walizki, wypróżnienia kieszeni, a gdy wpadnę mu w oko, ciągnie mnie z lubieżnym uśmieszkiem na twarzy na stronę, bym mu pokazał... jak jestem zbudowany. Rzecz jasna, idę, ale ogarnia mnie wstręt do faceta, bo z następnym podróżnym robi dokładnie tak samo.

Wychodzę z fabryki po ośmiu godzinach harówy, a strażnik przy bramie upiera się, by zobaczyć, co jeszcze mam w teczce oprócz zmiętego i zatłuszczonego papieru śniadaniowego, w który żona od tygodnia już pakuje mi kanapki. On także nie ma do mnie zaufania, on też mnie podejrzewa, widzi we mnie złodzieja, oszusta, przemytnika i mordercę. I nie ma znaczenia, że niczego jeszcze w życiu nie ukradłem, nikogo nie pobiłem, a funkcjonariuszy milicji obywatelskiej w mundurach i bez kocham jak rodzonych braci. To się nie liczy. Jestem podejrzany. Jestem potencjalnym przestępcą i tylko czujności różnych służb — zdaje się mówić strażnik — mogę zawdzięczać, że tak długo jeszcze przebywam na wolności. Gdyby nie to, już dawno trafiłbym niechybnie do kamieniołomów lub na galery.

To prawda — myślę sobie w takich razach — ale gdyby tak jednak okazać mi trochę zaufania? Nieduzo, choćby odrobinę — na początek. Wiem, że jestem z natury zły i trzeba mnie nieustannie sprawdzać, pilnować, kontrolować — dla mojego własnego dobra, zgodnie zresztą z tym, co napisał kiedyś Joseph de Maistre: „Nie znam wnętrza łajdaka, ale znam wnętrze uczciwego człowieka — okropne jest". Może jednak ze mną nie jest aż tak źle? Może sam sobie jakoś poradzę? Zawszeć to przyjemniej gdy człowiek zawdzięcza coś samemu sobie, a i bardziej to potem szanuje.

A może okazywane na co dzień zaufanie sprawiłoby, że mniej obywateli podawać będzie w urzędach fałszywe daty urodzenia, imiona rodziców, tudzież nazwiska rodowe matek (jeżeli w ogóle ktoś tak robi!), pracownicy przestaną wynosić z fabryk papier toaletowy (pod warunkiem, że pojawi się go dużo w sklepach) oraz baterie do umywalek, idące na bazarze jak woda? Wreszcie — myślę sobie nieśmiało — może zaufanie tańsze jest po prostu od nieufności i dla dobra ogółu byłoby lepiej zaniechać niektórych form kontroli obywatela takiego, jak ja, co pozwoliłoby zaoszczędzić nam wszystkim mnóstwo czasu i etatów, czyli pieniędzy, za to surowiej karać tych, którzy rzeczywiście łamią przepisy? Jest przecież jeszcze w tym kraju sporo ludzi uczciwych. Sam znam paru takich i wiem też dobrze, jak się czują, gdy na każdym prawie kroku traktuje się ich może nawet grzecznie, ale jednak jak złoczyńców, choć nigdy złoczyńcami nie byli i nie będą, bo... taki już mają charakter, bo tak zostali wychowani. Chyba, że...

Chyba, że osaczeni ze wszech stron bezpodstawnymi podejrzeniami, które jak rzadko co potrafią uprzykrzać życie, dojdą pewnego pochmurnego dnia do wniosku, że uczciwym być po prostu nie warto, skoro wszyscy są podejrzani, choć nie wszystkim jeszcze udowodniono ich winę, ale to tylko kwestia czasu, załamią się psychicznie i...

Przyznam szczerze, że bywają chwile, kiedy ja sam zaczynam podobnie myśleć, a gdyby pod ręką był akurat jakiś świeży nieboszczyk, z prawdziwą przyjemnością zostawiłbym odciski swoich palców na jego gładkiej szyi. Ze zwykłej, ludzkiej przekory!

JÓZEF RETMAN

3 Sport

Szlachcic na zagrodzie...

Polska szlachecka jakby już dawno należała do przeszłości, w szkole dziś o tym uczą, a szlachciców mamy jakby coraz więcej. I każdy z nich czuje się równy wojewodzie, albo jeszcze lepiej. Każdy uważa, że jego jest najlepsze, a on i tylko on o tym decyduje, ocenia, szacuje. On ma rację, jego zdanie nie podlega dyskusji, jego nie wolno krytykować, bo niby w imię jakich racji, skoro liczą się tylko jego. Takich niemianowanych wojewodów — jakby się dobrze rozejrzeć — pełno i jeden lepszy od drugiego. Jakieś zaczadzenie, czy co?

Mamy też waśnie dzielnicowe, choć Polska dzielnicowa należy do bardzo dalekiej przeszłości, o czym też uczą w szkołach. Nawet sobie tego dokładnie nie można wyobrazić, jak to dawniej bywało. A tu, proszę bardzo, waśnie dzielnicowe w Polskim Związku Narciarskim doprowadziły do „wykoszenia się" wzajemnego działaczy z Zakopanego i Beskidów. Dlaczego? — zapyta cepr. Ano dlatego, że Zakopane nie znosi się z Beskidami. W Beskidach i na działaczy sportu narciarskiego mówią: „zakopiańska mafia", a w Zakopanem na działaczy ze Śląska mówią: „beskidzka junta". No i gdy doszło do wybierania nowego Zarządu PZN, to „zakopiańska mafia" wykreślała „beskidzką juntę", a „beskidzka junta" kreśliła „zakopiańską mafię". Do Zarządu PZN weszły niedobitki. Aż się ludzie za głowy łapali, ale wniosków z tego nie wyciągnęli.

Gdy sporty zimowe oglądam w sportowych sudycjach TVP, to mogłabym odnieść nieodparte wrażenie, że jesteśmy narciarską potęgą. Co jakiś czas rusza na ekranie telewizora gromada narciarzy od dużych do małych, od młodych do starych, a wśród nich pełno dziewcząt na nartach. Rozgrywane są już od lat różne biegi narciarskie. Wprawdzie wszyscy narzekają, że sprzęt narciarski jest niebywale drogi, ale jakoś sprzęt ten mają, skoro na nim biegają. Zatem: skoro mamy takie tłumy narciarzy, to i jakaś czołówka powinna być, która liczy się w co najmniej europejskim narciarstwie. Ale gdzie tam! W ogóle się nie liczy.

Mało tego. W Zakopanem, podczas mistrzostw Polski nie odbyły się niektóre konkurencje alpejskie na stokach Kasprowego tylko dlatego, że przyszło ocieplenie i stok zamienił się w grzęzawisko. Specjaliści uznali, że stało się tak dlatego, że od początku zimy stok ten nie był przygotowywany do rozgrywania konkurencji narciarskich, choć za ciężkie dewizy kupiono potrzebny do tego sprzęt. Stok Nosala był przygotowywany i ocieplenie nie przeszkodziło w rozegraniu konkurencji planowanej. Postanowiono więc to, czego nie udało się rozegrać w Tatrach przenieść w Beskidy. Ale tam działacze z „beskidzkiej junty" powiedzieli: — Nie. Nie będziemy tu naprawiali tego, co „oni" tam popsuli. Ano cóż, szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie, a szlachty nam się ostatnio jakby namnożyło.

W szlachectwo poszli nie tylko działacze, ale i zawodnicy. Oto niektórzy kibice piłki nożnej z niejakim zdziwieniem dowiedzieli się, że najlepszym piłkarzem w lidze RFN jest były piłkarz poznańskiego Lecha — Mirosław Okoński. Był to w polskich warunkach piłkarz zdolny, który grał nierówno i jakoś nie mógł na trwałe dostać się do narodowej kadry. Jak twierdzili wtajemniczeni, lubił pożyć i czuł, że i tak nic mu nie zrobią. Bowiem szlachcic na zagrodzie... Resztę znacie.

Pojechał Mirosław Okoński do Hamburga, gdzie dostał koszulkę z numerem 10 w tamtejszym Hamburger Sport Verein i zmienił się nie do poznania. Stał się najlepszym zagranicznym piłkarzem w całe lidze RFN, a pamiętajmy, że są to nadal wicemistrzowie świata. A HSV w lidze przoduje. Jak to, się stało? Czyżby Polak potrafił tylko za marki?

Wojciech Łazarek, który był poprzednio trenerem poznańskiego Lecha, zna Mirosława Okońskiego od lat i zwierzył się dziennikarzowi „itd", że gdyby on wymagał od Mirosława Okońskiego i innych piłkarzy takiej pracy, to oni już by byli ze skargą w zarządzie i PZPN. W Hamburgu Mirosław Okoński wstaje skoro świt, trenuje, ile od niego wymagają i jeszcze więcej. Jest zadowolony. Na skargę nie biega. I sukcesy odnosi. Zapomniał nawet o swoim przywłaszczonym nie wiadomo skąd szlachectwie.

Andrzej Kuczyński w „Sporcie" twierdzi, że Mirosław Okoński w Polsce nie miał z kim grać, otaczali go średniacy, a w RFN trafił na mistrzów i to go odmieniło. Pozwolę sobie nie zgadzać się z takim poglądem. Niemieccy piłkarze są lepsi, ale i tam też bywają średniacy. Tylko, że oni wiedzą, co decyduje o ich pobycie w klubie. — wyniki. I muszą na to pracować. Czasami bardzo ciężko. U nas natomiast wielu piłkarzy — i nie tylko piłkarzy — jest przekonanych, że jak raz trafili do klubu, to żadna siła ich już stamtąd nie wyrzuci. Bo, jak nie w tym, to wezmą w innym. Ktoś przecie musi w klubie piłkę kopać. Jak kopać? — to już inna sprawa. Mało ważna.

A może by tak małą rewolucję zrobić i niektórym durne szlachectwo wybić skutecznie z głowy?

BOGDA MADEJ

Sodoma

„U Witkacym łączy Jacka Krakowskiego skłonność do filozofowania na własny rachunek i chyba równie mało nabożny stosunek do akademickich i w ogóle oficjalnych filozofii. (...) Witkiewicza stać na gwałt, karykaturę i sadyzm w stosunku do intelektualnego języka (...) W SODOMIE parodiuje się filozoficzną oficjalność, nie naruszając w niczym założeń językowej intelektualności powszechnego użytku, konfrontując ją zewnętrznie bądź z niskim językiem wulgarnym, bądź z wysokim językiem natchnionym".

JACEK KRAKOWSKI

(3)

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Wykluczone, krzyknął Lancelot, posłałby po mnie, gdyby naprawdę miał mi coś do przekazania. Zajmuje zbyt odpowiedzialne stanowisko, żeby wyręczać się pośrednikami.

Gdy go opuszczaliśmy, był umierający, powiedział Laurenty.

Wasze kłamstwa są szyte nadzwyczaj grubymi nićmi, zaśmiała się złośliwie Atanazja. Hieronim jest zdrów jak ryba. Dzwonił wczoraj do mnie, opowiadając nadzwyczaj świńskie kawały.

Kiedy wyruszaliśmy w drogę, był ubogim starcem, mieszkającym w rozpadającej się lepiance.

Xenia zaniosła się piskliwym śmiechem i przesłaniając usta dłonią, padła między nas na kanapę. Obok Laurentego usiadła, śmiejąc się, Atanazja, a obok mnie rzucił się na poduszki Lancelot, krztusząc się i kaszląc.

Chyba postradaliście zmysły, zawołał, włączając do kontaktu wtyczkę sznura od telewizora.

Kobiety nadal zanosiły się śmiechem. Po chwili ekran rozjarzył się ukazując kolorowy obraz jakiejś bogato zdobionej świątyni. Olbrzymie łuki sklepień zdawały się giąć pod ciężarem zdobień. Pośrodku sześciobocznej hali stał na podwyższeniu... Hieronim. Zbliżenie ukazało jego głowę pełną powagi i dostojności, na której tkwiła wysoka, szpiczasta czapka suto bramowana złotem i purpurą. Hieronim uniósł w górę ramiona obciążone fałdami ogromnego płaszcza, na którym naszycia ze szlachetnych kamieni tworzyły kształty gwiazdozbiorów na ciemnobłękitnym tle.

SODOMA I

Lancelot zerwał się z kanapy i wyłączył telewizor.

Widzieliście na własne oczy jak wygląda prawda.

Od kilkudziesięciu lat widzimy go i słyszymy przemawiającego, dodała Atanazja.

A jednak dostała pani od niego telegram, zawiadamiający o naszym przyjeździe, zauważył Laurenty.

Ja? Zdaje się, że bierze mnie pan za kogoś innego.

Nie wiedziałem moja droga, że prowadzisz pokątną korespondencję z moim ojcem.

Ależ Lancelocie... Być może leżało w ich intencjach, żebym pokazała im jakiś świstek, ale chyba uwierzysz moim słowom, jeśli zaprzeczę temu wydarzeniu.

Matka ma rację, poparła ją Xenia, siedząc między nami na kanapie i klepiąc nas jednocześnie po kolanach. Twierdzili, że widzieli mnie wcześniej z Felixą, po czym z uwagi na naszą znajomość chcieli dopuścić się na mnie czynów nierządnych. Kłamią jak najęci.

Niczego takiego nie chcieliśmy się dopuścić, zaprzeczył Laurenty, wstając z kanapy. Chodźmy Sylwestrze, powiemy Hieronimowi, że się mylił.

Zaraz, zaraz, powstrzymał nas Lancelot. Może wreszcie powiecie mi, po co właściwie przyszliście.

Nie zatrzymuj ich, rzekła Atanazja, otwierając drzwi. Przypaliliśmy przez nich zupę. Przez pół dnia zawracali mi głowę jakimiś głupotami.

Ponadto kazali sprowadzić mi tutaj mojego byłego narzeczonego, dodała Xenia, aby i jego wykorzystać.

Laurenty, zaczekaj, to nieporozumienie, powstrzymywał mnie Sylwester. Może jednak usiądziemy i spokojnie wyjaśnimy.

Nie ma mowy, zaperzyła się Atanazja. To co powiecie, będzie tak samo zbyteczne jak to, co przemilczycie. Nikt na was tutaj nie czeka. Jesteście niepotrzebni. Lancelocie, powiedz im, żeby wreszcie sobie poszli.

Pracuję bardzo ciężko, rzekł Lancelot kładąc się na kanapie, a wy nie dajecie mi się nawet przespać. To szczyt bezczelności nachodzić kogoś w jego własnym mieszkaniu i namawiać go do jego opuszczenia.

Chcieliśmy tylko wyjaśnić, po co przysłał nas Hieronim, rzekł Laurenty, ale widzę, że pomylił się co do was. Sylwestrze, idziemy.

Szybkim krokiem skierowaliśmy się ku drzwiom i zderzyliśmy się z wchodzącą Felixą, tą brunetką o bladej cerze, którą spotkaliśmy na przystanku.

Wasze wyjaśnienia nic nikomu nie dadzą, powiedziała, wchodząc do pokoju. Są one tyle samo warte, co wasz brak wyjaśnień. Od dłuższego czasu przysłuchuję się waszej paplaninie i nie mogę wyjść z podziwu nad cierpliwością moich rodziców i mojej młodszej siostry. Że też zgadzacie się wysłuchiwać czegoś takiego...

Jesteśmy po prostu zbyt dobrze wychowani, rzekła Atanazja, a tych dwóch wykorzystuje naszą uprzejmość.

Przyszli tu, żeby, zdaje się coś nam powiedzieć, stęknął Lancelot, przewracając się na kanapie. Ale dlaczego właściwie ma to nas obchodzić. Mamy dosyć własnych spraw na głowie.

Siadajcie panowie, rzekła Felixa, wskazując na krzesła. Właściwie nie mam wam nic do zarzucenia, ale wydaje mi się, że coś z nieuchwytnego szaleństwa czai się w waszych słowach. Być może to tylko moje wrażenie, lecz ja odczuwam je właśnie w taki sposób, znaczy to, że coś się w tym kryje... coś się zmienia... coś się zaczyna różnić: jedno od drugiego, poprzednie od następnego. Nieuchwytne szaleństwo — to chyba najwłaściwsze określenie. Chwileczkę, pozwólcie mi dokończyć. Załóżmy, że potrafię odróżnić od siebie dwa krzesła: jedno drewniane i twarde, drugie wyścielane. Jedno nazwę stołkiem, drugie fotelem. Rozróżniam je dlatego, że służą człowiekowi do siedzenia. Gdyby ludzie nie robili użytku z krzeseł, gdyby nie twierdzili, że na jednym siedzi się wygodnie, a na drugim nie, różnica ta byłaby dla mnie nieistotna i w ogóle nie zwróciłabym uwagi na te przedmioty. Zdolność uchwycenia różnicy kryje w sobie nasze przyzwyczajenie klasyfikacji według użyteczności, toteż obawiam się, że rzeczywiste różnice pozostają dla nas nieuchwytne. A może wcale nie ma prawdziwych różnic? Załóżmy, że ludzie zawsze siadali na stołkach i nagle, nie wiadomo skąd pojawia się fotel. Czy myślicie, że potrafiliby go odróżnić od stołka? Wiemy czym się różni uboga chatynka od luksusowej willi, ale czym się różni gwiazda zmienna od purée z ziemniaków? Nie zadajemy sobie takich pytań, gdyż nie jesteśmy w stanie sformułować sensu takiego rozróżnienia. Wpadamy w pustkę, w niebyt sensu...

Zasnęli, powiedziała Xenia. Twój wywód o istocie różnicy jest jak zwykle niezawodny.

Lancelot też śpi, rzekła Atanazja, chociaż początkowo wydawał się być zainteresowany twoją tyradą.

Nie po to przyszliśmy tutaj, aby spać, mruknął Sylwester. W ostatnią noc nie wolno zasypiać.

Być może będzie to tylko ostatnia noc podobna do tych, które były, powiedziała Xenia. Bo któż zaręczy, że po niej nie nastaną noce i n n e, do niczego niepodobne, obłędne i wspaniałe noce świata, którego już nie ma. Jaką macie pewność, że my ich nie chcemy, że trzymamy się tylko tych, które znamy na pamięć. A może właśnie to zniszczenie jest jedyną szansą naszego ocalenia. Może właśnie chcemy zginąć i skrycie marzymy o zagładzie świata, którego nie umiemy zrozumieć, licząc na to, że nareszcie nastanie coś, przeznaczone wyłącznie dla nas. Ocaleni będą skazani na to co jest, zniszczeni znajdą się w Przyszłości.

Przestańcie już, przestańcie wreszcie mówić, bo się zupełnie wybiję ze snu, zawołał Lancelot. O czym te kobiety ciągle gadają? Śpijcie wreszcie, bo jutro będę roztrzęsiony. Tym bardziej jeżeli ma się zdarzyć coś nadzwyczajnego, powinienem zachować przytomność i zdrowy rozsądek. Jeżeli natychmiast nie zaśniecie, wypędzę was z tego domu, a jak zapewne wiecie włóczęgostwo nocne jest u nas surowo karane, a cudzoziemców nie melduje się w hotelach.

Lancelocie, chwileczkę, przerwała mu Atanazja, zdaje się że Laurenty mówi przez sen. Być może jest to właśnie ta prawda, której powinniśmy się wreszcie dowiedzieć.

Zmuszony okolicznościami udałem się do Sodomy, która, jak mnie zapewniano była celem pielgrzymek młodych ludzi pragnących nabrać poloru i doświadczenia i zapisałem się na wykłady w Ezoterycznym Towarzystwie Filozoficznym, gdzie nauczał słynny w swoim czasie profesor Hieronim Quest.

Nie musicie ani zapamiętywać moich wywodów, ani nawet przysłuchiwać się im, mówił Hieronim. Nie jestem w stanie wyrazić tego, co każdemu innemu przyszłoby na moim miejscu z dziecinną łatwością, a jednak mówię do was, gdyż nikt inny nie pozwoliłby sobie na tego rodzaju słowa, będąc przekonanym, że są to bzdury, które niczemu nie służą. Zapewne miałby rację — to co wam przekazuję nie ma i nigdy nie będzie mieć żadnego zastosowania, ba, nie zawiera nawet minimalnej dozy naukowości, którą można by uzasadnić moje stwierdzenia. Mówię do was coś, co nie jest ani filozofią, ani literaturą, ani żadną socjologią, psychologią czy ekonomią, niczym takim — po prostu są to słowa powiązane w zdania, które wygłaszam stojąc na tym podium. Wymawiam je z powagą, odpowiednim timbrem głosu, pozwalając sobie od czasu do czasu na drobne żarciki — i to właściwie wszystko. Przez dwie godziny dziennie mówię do was, a wy mnie słuchacie. Mówię potoczyście, a wy słuchacie w skupieniu. Czy można tej sytuacji nadać inną nazwę niż „wykład"? Poza tym posiadam odpowiednią posturę, a sala ma odpowiednią akustykę, wzajemnie więc dopełniamy się, spełniając naocznie standard wykładu w sposób tak oczywisty i rzeczywisty, że nikt nie ośmieli się zarzucić mi, iż to co tutaj się odbywa, nie stanowi pewnej formy odczytu czy prelekcji, sugerując zarazem istnienie wyższego ciała, sprawującego nadzór nad tą obiektywnie istniejącą sytuacją. Ciało to przebywa zapewne w odpowiednich pokojach i gmachach, porusza się z powagą i odpowiedzialnością, a jego hierarchiczna struktura tym bardziej udowadnia nam, że to, co do was mówię, musi być czymś, gdyż niemożliwym jest, aby tego rodzaju namacalność była ułudą, fantomem czy czczym wymysłem. Słowotok rzeczywistości obwarowany dostojeństwem przedmiotów skłania do głębokiej refleksji, do prowadzenia notatek i otwierania okien podczas ładnej pogody i nikomu nawet przez myśl nie przejdzie, że nic się za tym nie kryje i że ta przez nas tu ad hoc stworzona obiektywność nie ma racji bytu. Musimy uczciwie przyznać, że ona jest, musimy zgodzić się z nią i rozmyślać o niej, zastanawiać się nad moimi słowami, lecz nikt nie zdoła zaprzeczyć realności, która się tutaj roztacza, istniejąc obiektywnie poza tymi, którzy nie słuchają mojego wykładu. Moje „cokolwiek" jest tutaj prawdą, a moje „byle co" obiektywną racją, której nikt nie ośmieli się zarzucić, że nie istnieje. Chyba nie wątpicie w świadectwo waszych zmysłów! W każdej chwili mogę dostarczyć wam danych dotyczących mnie, tej sali, ilości osób et cetera. I któż ośmieli się zwątpić w tak oczywistej sytuacji? Tak moi drodzy, rzeczywistość nie wymaga od nas niczego, poza przyjmowaniem jej do wiadomości. Czy są jakieś pytania?

Ciekawa jestem, dlaczego Laurenty stamtąd uciekł, rzekła Atanazja. Hieronim mówił nadzwyczaj uroczyście.

Podczas końcowego egzaminu, odezwał się Lancelot, ten biedny chłopiec miał odbyć sześć stosunków z atrapą, opowiadając jednocześnie swoje przeżycia. Niestety, zawiodła go elokwencja. Zresztą egzamin z wyższych form uczuciowości oblało trzy czwarte studentów. Był to szalenie trudny sprawdzian, tym bardziej, że atrapę stanowiła nieheblowana deska z dziurą pośrodku.

To smutne... A co się z nim stało?

Skurwił się doszczętnie i nigdy już nie wrócił na uczelnię. Nocami wystawał na rogach ulic i zaczepiał wszystko, co się poruszało. Suka wysoko postawionej osobistości nie zniosła tego i zdechła. Po tym incydencie Laurenty otrzymał nakaz opuszczenia miasta w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Biedaczek, powiedziała Atanazja do Lancelota, smutno potrząsając głową. Rozumiem teraz, że jego powrót był raczej ukradkowy. Nie pojmuję jednak po co przyciągnął z sobą tego obleśnego Sylwestra.

To sprawka Hieronima, odparł Lancelot. Trzymał on zawsze na zapleczu drugiego chłopca, w razie gdyby nie powiodło mu się z tym właściwym. Laurenty wyleciał już po pierwszym roku studiów, Sylwester dopiero po drugim, ja, jak ci wiadomo, wytrzymałem przez trzy lata. Pamiętam, że kiedyś podczas seminarium Sylwester zadał takie pytanie: Czy nie moglibyśmy robić w ogóle coś innego?

Dość głupio to sformułował, zauważyła Atanazja. Zresztą wydaje mi się, że jest trochę głupkowaty, co potwierdzałoby moje przypuszczenie, że Hieronim lubił otaczać się ludźmi niespełna rozumu.

Wydaje mi się, że zbyt pochopnie go sądzisz. Sam nigdy nie grzeszył rozumem, więc nie mógł przestawać z ludźmi, którzy by wykraczali swą mądrością ponad jego mniemanie o sobie. Mówiąc między nami nawet to mniemanie było pobieżne i byle jakie.

Mój drogi, chyba nie mamy przed sobą tajemnic. On po prostu o niczym nie miał pojęcia. Był tępy jak stołowa noga. Ale ciekawa jestem co odpowiedział Sylwestrowi.

Jego odpowiedź była równie głupia jak jego wygląd. Wiadomo ci zapewne, że był w tym czasie onanistą totalnym, co stwierdzało odpowiednie zaświadczenie wydane przez komisję poborową. Papier ten pozwolił mu na prowadzenie niczym nie skrępowanej działalności...

Lancelocie, przerwała mu Atanazja, może powiesz mi wreszcie co odpowiedział Sylwestrowi twój ojciec.

Niewykluczone, że moglibyśmy robić coś zupełnie innego, rzekł Hieronim, ale czy to komu się chce? Czy warto zabierać się do czegoś, o czym nie mamy pojęcia? Nie wiedząc jakie to pociągnie za sobą skutki i przyczyny... A przecież mamy dookoła siebie tyle spraw rzeczywistych i nieprzeniknionych. Coś się zaczyna, coś się kończy, a my nic o tym nie wiemy. Kogoś gdzieś pogryzł pies, a my w ogóle nie zdajemy sobie z tego sprawy, tym bardziej, że pies był wściekły i miał żółtą plamę na lewym oku. Co to ma do rzeczy, spytacie. Nic, odpowiem, albowiem wszystko ma nic do rzeczy. Co ma wspólnego wścieklizna psa z topieniem się lodów na biegunie północnym? Nic, a jednak są to postacie oczywistej rzeczywistości, do której należy podchodzić poważnie. Ktoś piernął na posiedzeniu, a w papierosie był kolek. Rozumiecie teraz? Wszystko jest inne i robić coś innego, to znaczy tyle samo co robić jedynie coś dodatkowego, gdyż wszelkie inności są już zawarte w tym, co takie samo i niezmienne.

Oto wszechobecny trik rzeczywistości. Nikt nie wie, co wyciągnie magik z kapelusza, ale cokolwiek by nie wyciągnął, nic nie pozwoli nam zwątpić w oglądanie tego seansu. Założę się, że żaden z widzów nie zgodziłby się przyznać, że jest tylko trikiem magika, który w ten sposób zapewnia sobie publiczność dla swoich pokazów. Przyznaję, że przykład jest prymitywny, ale czyż rzeczywistość wymaga od nas czegoś więcej niż prymitywizmu i dosłowności. Być to znaczy tyle co być przekonanym o tym, że się jest. Powody zawsze się znajdą.

Odpowiedź ta zapewne nie zadowoliła Sylwestra, rzekła Atanazja. Przy jego ociężałości umysłowej, trudno przecież pojąć cokolwiek.

Dlatego właśnie przepadł na drugim roku podczas egzaminu z gwałcicielstwa, odrzekł Lancelot. Nie dość, że nikogo nie zgwałcił, to jeszcze dostał sraczki ze zdenerwowania. Właściwie to cały dzień spędził w ustępie. Sama chyba przyznasz, że nie należało oczekiwać, iż profesor Quest połatyguje się do jego kabiny.

Tak, tak... To smutny przypadek... Potem, oczywiście opuścił miasto?

Niezupełnie. Został wędrownym ekshibicjonistą i od czasu do czasu zahaczał o Sodomę. Jednak pewnego wieczoru spotkał w parku kochankę prezydenta — kobietę o niezaspokojonych ambicjach i żądzach. Kiedy natknął się na niego nocny patrol policji obyczajowej, leżał bez zmysłów na klombie lilii. Po kilkudniowym pobycie na oddziale intensywnej terapii doszedł do siebie i na skutek interwencji owej kobiety, która czuła się absolutnie niezaspokojona, został wydalony z Sodomy.

Chodźmy już stąd Lancelocie, chce mi się spać. Mam nadzieję, że wyprosisz jutro rano tych przybłędów. Xeniu, Felixo, dlaczego szepczecie w kącie, zamiast się położyć?

Musimy się sobie zwierzyć, rzekła Felixa. Nasze dziewczęce serduszka pełne są rozterek i niepokojów. Wyznamy sobie tylko najskrytsze pragnienia i zaraz idziemy spać.

Atanazja i Lancelot wyszli z pokoju, a ich córki usiadły obok siebie na kanapie i zaczęły szeptać między sobą.

C.D.N.